

KRYMINAL HORROR OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

# GOOSE

## NA PROGU

ARKHAM  
REVELM

HOWARD PHILLIPS  
LOVECRAFT

# Spis treści

*Karta tytułowa*

*Karta redakcyjna*

*OGAR*

*PIEKIELNA ILUSTRACJA*

*COŚ NA PROGU*

*W GROBOWCU*

*ŚWIĄTYNIA*

*PRZYCZAJONA GROZA*

*GROBOWIEC*

*PRZYBYSZ*

*PRZEKLĘTY DOM*

*ZIMNO*

*ON*

*SNY W DOMU WIEDŹMY*

H.P. Lovecraft

„COŚ NA PROGU”  
(AT THE MOUNTAINS OF MADNESS)

Przełożył: Robert P. Lipski

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo: Zysk i S-ka 1999

Zysk i S-ka 1999  
Wybór z tomu „The Dunwich Horror and Others ”  
by Arkham House 1963

Tłumaczył Robert P. Lipski

# OGAR

**W** mych udręczonych uszach pobrzmiwa nieustannie koszmary furkot i trzepot oraz jakby słabe, odległe ujadanie jakiegoś wielkiego ogara. Nie jest to sen ani, jak się obawiam, szaleństwo, zbyt wiele się bowiem wydarzyło, abym mógł mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

St John jest zmasakrowanym trupem; tylko ja wiem dlaczego i wiem też, że wkrótce palnę sobie w łeb, strwożony, by i mnie nie spotkał równie okropny los. W głębi mrocznych pośepnych korytarzy upiornych fantazji krąży czarna bezkształtna Nemezis, która przywiedzie mnie ku samozagładzie.

Niechaj Niebiosa wybaczą głupotę i upodobanie okropieństw, które sprowadziły na nas obu tak potworny los! Znużeni pospolitością prozaicznego świata, gdzie nawet radości przygód i romansów mogą się z czasem znudzić, St John i ja zgłębialiśmy radośnie tajniki wszelkich estetycznych i intelektualnych prądów, obiecujących odsunięcie choć na chwilę przytłaczającej nas nudy. W swoim czasie interesowaliśmy się jednocześnie tajemnicami symboli stów i ekstazami prerafaelitów, lecz każdy nowy trend wkrótce tracił dla nas swój urok, przestawał być pociągający i pokrywał się patyną.

Pomóc nam mogła jedynie pośepna filozofia dekadentów, w której odnaleźliśmy moc, zwiększając stopniowo głębię i diabolizm naszych penetracji. Niebawem Baudelaire i Huysman przestali budzić w nas dreszczyk emocji, aż koniec końców pozostały nam jeszcze bardziej bezpośrednie bodźce nadnaturalnych osobistych przygód i przeżyć. Te właśnie zatrwające potrzeby emocjonalne przywiodły nas ostatecznie,

szlakiem plugawym i mrocznym, do miejsca, gdzie z trwogą i wstydem snuję swą opowieść, przepelniony dławiającą grozą, o tym, jak poszukując ekstremalnych doznań, podjęliśmy się odrażających czynów, takich jak plądrowanie grobów.

Nie potrafię wyjawić szczegółów naszych szokujących wypraw ani nawet po części wymienić najbardziej plugawych trofeów zdobiących sekretne muzeum, urządzone przez nas w wielkim kamiennym domu, gdzie wspólnie zamieszkiwaliśmy, tylko we dwóch, bez służby. Muzeum nasze było bluźnierczym, mrozącym krew w żyłach miejscem, gdzie z szatańskim gustem neurotycznej wirtuozerii zebraliśmy i stworzyliśmy całe uniwersum grozy, by pobudzić nimi naszą złąknioną doznań perwersyjną wrażliwość.

Był to pokój tajemny, mieszczący się głęboko, bardzo głęboko pod ziemią, gdzie ogromne, skrzydlate demony wykute z bazaltu i onyksu wyrzygiwały z wykrzywionych diabelskim uśmiechem ust strugi zielonego i pomarańczowego światła, a ukryte pneumatyczne rury wprawiały w kalejdoskopowy tan śmierci rzędy czerwonych, trupich istot przyobleczonych w fałdziste, obszerne czarne szaty.

Przez rury te płynęły wonie, jakich w danym momencie byliśmy spragnieni. Niekiedy był to zapach bladych cmentarnych lilii, innym razem narkotyczna woń kadzideł przywodząca na myśl wschodnie świątynie podczas pochówku tamtejszych władców, kiedy indziej zaś - aż drzę na to wspomnienie! - przerażający, rozdzierający duszę odór świeżo rozkopanego grobu.

Wzdłuż ścian tej odrażającej sali stały sarkofagi pradawnych mumii ustawione na przemian z udatnymi, wyglądającymi jak żywe ciałami, dziełami doskonale przygotowanymi według najlepszych przepisów sztuki wypychania zwierząt, oraz kamiennymi nagrobkami skradzionymi z najstarszych cmentarzy świata. W niszach tu i ówdzie umocowane były najróżniejszych kształtów czaszki i głowy, zachowane w różnym

stadium rozkładu. Można tu było napotkać zarówno gnijące, łyse czerepy szlachciców, jak i świeże, promieniejące złociste główki niedawno pogrzebanych dzieci. Wszystkie malowidła i posągi przedstawiały diabły i demony, niektóre z nich były moim i St Johna dziełem.

Zamknięta na klucz aktówka oprawna w wygarbowaną ludzką skórę zawierała pewne nie znane i nie nazwane rysunki będące rzekomo dziełem Goi, które autor popełnił, lecz nigdy nie ośmielił się ich opublikować. Były tam upiorne instrumenty muzyczne, smyczkowe, dęte drewniane i dmuchane, z których od czasu do czasu z St Johnem dobywaliśmy kakofonii przerażających swym dysonansem przenikliwych dźwięków, w wyłożonych zaś hebanem gablotach umieszczona była najbardziej nieprawdopodobna i niewyobrażalna w swej różnorodności kolekcja cmentarnych łupów, jaką zdołała kiedykolwiek zgromadzić ludzka perwersja i szaleństwo. Szczególnie o tej kolekcji wolałbym się nie wypowiadać. Dzięki Bogu, że miałem odwagę ją zniszczyć, nim podjąłem decyzję o unicestwieniu samego siebie! Łupieżcze wyprawy, podczas których gromadziliśmy nasze niewypowiedziane skarby, zawsze były pamiętnymi pod względem artystycznym wydarzeniami.

Nie byliśmy prymitywnymi hienami cmentarnymi, jedynie pracowaliśmy ogarnięci specyficznym nastrojem, który tworzyły krajobraz, otoczenie, pogoda, pora roku i blask księżyca. Rozrywki owe stanowiły dla nas najbardziej wyrafinowaną formę ekspresji, toteż staraliśmy się, by wszystko dopięte było na ostatni guzik. Niewłaściwa pora, światło błyskawic czy rozmiękła po deszczu, mlaskająca gleba w zupełności zniweczyłyby ekstatyczną radość, jaka ogarniała nas po ekshumacji kolejnego złowrogo uśmiechniętego, skrywanego przez ziemię sekretu.

Z nienasyceciem, gorączkowo poszukiwaliśmy nowych miejsc i oczekiwaliśmy na właściwe naszym dziełom warunki - St John zawsze był

przywódcą i to on doprowadził nas w końcu w to drwiące, przekłete miejsce, które sprowadziło na nas obu odrażającą i nieuchronną zgubę.

Jakiż posepny i złośliwy los ściągnął nas na ten upiorny holenderski cmentarz? Wydaje mi się, że to mroczna plotka i legendy, opowieści o śmiałku, pogrzebanym przed pięcioma stuleciami, który ongiś sam był łupieżcą grobów i skradł ze starego grobowca pewien potężny przedmiot.

Pamiętam ostatnie chwile owej sceny - blady jesienny księżyc wiszący nad grobami, rzucającymi długie cienie, groteskowe drzewa o koronach zwieszających się nisko ku bujnej, nie przyciętej trawie i murszejącym płytom; ogromne legiony dziwnych, gigantycznych nietoperzy przelatujące na tle tarczy księżyca; prastary, obrośnięty bluszczem kościół wskazujący długim, widmowym palcem w zagniewane niebo; świecące owady, które tańczyły jak błędne ognie pod cisami nieopodal; smród zgnilizny, roślinności i trudniej rozpoznawalnych rzeczy mieszał się niesiony podmuchami wiatru płynącego od odległych bagien i mórz i, najgorsze z tego wszystkiego, słabe, lecz słyszalne, ujadanie jakiegoś ogromnego psa, którego nie mogliśmy dojrzeć ani nawet umiejscowić. Na ten dźwięk zadrżeliśmy, przypominając sobie opowieści wieśniaków, ten bowiem, którego szukaliśmy, wiele stuleci temu znaleziony został martwy, okrutnie rozszarpany kłami i pazurami jakiejś nieznanej, niewyobrażalnej bestii.

Pamiętam, jak rozkopaliśmy grób cmentarnego rabusia i jak byliśmy przejęci, wyobrażając sobie siebie, grób, blady łypiący księżyc, upiorne cienie, groteskowe drzewa, gigantyczne nietoperze, prastary kościół, dławiące wyziewy, tańczące błędne ogniki, delikatne pojękiwanie nocnego wiatru i dziwaczne, na wpół słyszalne, dochodzące nie wiadomo skąd ujadanie, co do którego nie byliśmy pewni, czy rozlegało się naprawdę, czy też tylko się nam zdawało.

Nagle nasze łopaty zgrzytnęły o coś twardszego niż ziemia i oczom naszym ukazała się gnijąca trumna pokryta substancjami mineralnymi,



które osadziły się na niej przez stulecia. Wieko było niesamowicie grube i twarde, lecz w końcu sforsowaliśmy je i nasyciliśmy oczy widokiem tego, co znajdowało się wewnątrz. Dużo, zdumiewająco dużo pozostało w trumnie mimo upływu pięciuset lat.

Szkielet, choć w wielu miejscach pogruchotany szczękami istoty, która go zabiła, trzymał się w kupie ze zdumiewającą trwałością, my natomiast napawaliśmy się widokiem białej czaszki, długich, mocnych zębów i bezokich oczodołów, w których niegdyś, tak jak w naszych, płonął żar. W trumnie leżał amulet o osobliwym, egzotycznym wzorze, który śpiący nosił zapewne na szyi. Przedstawiał on dziwnie wyrzeźbioną figurkę warującego skrzydlatego psa lub sfinksa z na wpół psim pyskiem, wykonaną na modłę orientalną z małego kawałka nefrytu. Rysy istoty były ze wszech miar odrażające, jakby pławiła się ona ongiś i syciła śmiercią, zwierzęcym bestialstwem i czystym, niepohamowanym złem.

U podstawy znajdowała się inskrypcja w języku, którego ani ja, ani St John nie potrafiliśmy zidentyfikować, od spodu zaś jak pieczęć wytwórcy wyrzeźbioną była groteskowa, niesamowita czaszka.

Gdy tylko go ujrzelśmy, wiedzieliśmy, że musimy mieć ten amulet, bo tylko on mógł być godziwym łupem, pamiątką z tego, liczącego sobie pięć stuleci, grobu. Pożądaliśmy go, nawet gdyby jego kształty nie były nam znajome, ale były, stwierdziliśmy to, gdy przyjrzelśmy mu się bliżej. Mogły wydawać się obce wszystkim tym, którzy znają jeno sztukę i literaturę dostępną trzeźwym na umyśle, zrównoważonym koneserom, my jednak rozpoznaliśmy w tym przedmiocie rzecz wzmiankowaną w zakazanym „Necronomiconie” szalonego Araba, Abdula Alhazreda, upiorny duchowy symbol pożerającej umarłych sekty z niedostępnego Leng w Azji Środkowej. Nazbyt dobrze rozpoznaliśmy złowrogie rysy opisywane przez starego arabskiego demonologa, rysy, jak pisał, nakreślone na wzór

jakiejś niejasnej, nadnaturalnej manifestacji dusz tych, którzy niepokoją umarłych i żywią się nimi.

Zabrawszy zielony nefrytowy obiekt, raz jeszcze spojrzeliśmy w ziejące pustką oczodoły w zapadłej twarzy jego właściciela i zasypaliśmy grób, by wyglądał tak, jak go zastaliśmy. Gdy pospiesznie opuszczaliśmy owo odrażające miejsce, a skradziony przedmiot spoczywał w kieszeni St Johna, mieliśmy wrażenie, że nietoperze całym stadem zanurkowały ku ziemi, którą niedawno rozkopywaliśmy, jakby zamierzały poszukiwać w niej jakichś plugawych i przeklętych, acz smacznych kąsków. Jesienny księżyc był jednak blady i świecił słabo, toteż nie mogliśmy tego potwierdzić.

Następnego dnia, gdy opuszczając Holandię, wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu, wydawało się nam, że z oddali dobiega nas słabe ujadanie jakiegoś gigantycznego psa. Jesienny wiatr zawodził jednak smętnie i żałośnie, toteż nie mogliśmy stwierdzić tego na pewno.

W niecały tydzień po naszym powrocie do Anglii zaczęły dziać się osobliwe rzeczy. Żyliśmy jak para odludków, bez przyjaciół czy służby, tylko my dwaj w starej posesji stojącej wśród rzadko uczęszczanych posepnych trzęsawisk.

Do drzwi naszych nieczęsto zatem pukali goście.

Od tej pory wszelako niepokoiły nas nocne drapania i szurania, nie tylko do drzwi, lecz również do okien, zarówno na parterze, jak i na piętrze. Pewnego razu dostrzegliśmy wielkie, nieprzejrzyste cielsko mroczniejące w oknie biblioteki, gdy wpływał przez nie blask księżyca, kiedy indziej zaś wydawało się nam, że gdzieś nieopodal rozlega się głośny ni to furgot, ni trzepotanie. W obu przypadkach poszukiwania nasze spełzły na niczym i zaczęliśmy nawet przypisywać te wydarzenia wybujałej wyobraźni, podczas gdy w uszach naszych wciąż rozlegało się słabe ujadanie, które, jak nam się zdawało, usłyszeliśmy po raz pierwszy na holenderskim cmentarzu. Nefrytowy amulet znajdował się obecnie w jednej z nisz naszego muzeum i

czasami zapalaliśmy przed nim roztaczającą dziwną woń świecę. W Necronomiconie wyczytaliśmy sporo o jego właściwościach, jak również o relacjach między duszami duchów a obiektami, które symbolizował - i to, czego się dowiedzieliśmy, wprawiło nas w przerażenie.

A potem nadeszła groza.

W nocy, dwudziestego czwartego września 19... roku, usłyszałem pukanie do drzwi mego pokoju. Sądząc, że to St John, zaprosiłem pukającego do środka, ale odpowiedział mi tylko ochrypły śmiech. W korytarzu nie było nikogo. Kiedy obudziłem St Johna, okazało się, iż nie wie nic o niedawnym zdarzeniu i zmartwił się nim jeszcze bardziej ode mnie. Tej właśnie nocy słabe, odległe ujadanie nad trzęsawiskami stało się dla nas bezsprzecznie przeraźliwą rzeczywistością.

Cztery dni później, gdy obaj przebywaliśmy w sekretnym muzeum, dało się słyszeć ciche, ukradkowe skrobanie do jedynych drzwi, wiodących na schody prowadzące do naszej tajemnej biblioteki. Byliśmy zaniepokojeni w dwojnasób.

Zawsze lękaliśmy się, że nasza upiorna, makabryczna kolekcja może zostać odkryta. Wygasiwszy wszystkie światła, podeszliśmy do drzwi i otworzyliśmy je gwałtownie na oścież - po czym omiótł nas silny podmuch powietrza i usłyszeliśmy jakby niknącą w oddali osobliwą mieszaninę szelestów, chichotów i mamrotania. Nie próbowaliśmy oceniać, czy byliśmy obłąkani, przy zdrowych zmysłach, czy może wszystko to tylko się nam przyśniło. Ze zgrozą stwierdziliśmy jeno, że owo przeraźliwe, bezcielesne mamrotanie tworzyły słowa w języku flamandzkim.

Od tej pory żyliśmy w narastającym przerażeniu i fascynacji. Przed wszystkim staraliśmy się trzymać teorii, że wskutek naszych perwersyjnych zainteresowań obaj popadliśmy w obłąd. Bywały chwile, że wyobrażaliśmy sobie, iż padliśmy ofiarami jakiejś zatrważającej, zbliżającej się ku nam zguby. Osobliwych manifestacji było teraz zbyt wiele, by można je zliczyć.

Nasz samotny dom ożył obecnością jakiejś złowrogiej istoty, której natury nie potrafiliśmy się nawet domyślić, a każdej nocy coraz głośniejsze nad moczarami przetaczało się groźne ujadanie niewidzialnego ogara. Dwudziestego dziewiątego października w ziemi pod oknem biblioteki odnaleźliśmy niemożliwe do opisu ślady. Były równie deprymujące jak hordy wielkich nietoperzy, które nawiedzały starą posiadłość w niespotykanej dotąd liczbie.

Koszmar osiągnął swą kulminację dziewiętnastego listopada, kiedy St John, zmierzając do domu po zmierzchu ze stacji kolejowej, został pochwycony i rozdarty na strzępy przez jakiegoś przerażającego, drapieżnego stwora. Jego wrzaski dotarły aż do domu, a gdy pospieszyłem z pomocą, dotarłszy na miejsce upiornego mordy, usłyszałem trzepot skrzydeł i ujrzałem niewyraźną, mglistą istotę odcinającą się na tle wschodzącego księżyca.

Mój przyjaciel umierał, gdy do niego przemówiłem, i mówił bardzo niespójnie. Słyszałem jedynie: - Amulet... ta przeklęta rzecz...

A potem zległ, stając się pozbawioną życia bryłą zmasakrowanego mięsa. Następną nocą pogrzebałem go w jednym z naszych zaniedbanych ogrodów, wypowiadając nad jego ciałem inkantację z pewnego diabelskiego rytuału, który tak lubił za życia. Gdy skończyłem demoniczną sentencję, usłyszałem dochodzące od strony trzęsawisk słabe ujadanie jakiegoś gigantycznego ogara. Księżyc wzeszedł, ale nie odważyłem się unieść wzroku. Kiedy zaś ujrzałem na słabo oświetlonych moczarach ogromny cień przepływający od jednego pagórka do drugiego, zamknąłem oczy i rzuciłem się na ziemię.

Kiedy się podniosłem, rozdygotany, wiele chwil później, chwiejnym krokiem wróciłem do domu i złożyłem korny pokłon przed wyniesionym na piedestał amuletem z zielonego nefrytu.

Lękając się mieszkania samotnie w starym domu na moczarach, następnego dnia wyjechałem do Londynu, zabierając ze sobą amulet i uprzednio niszcząc, przez spalenie bądź zakopanie, zbiory znajdujące się w naszym osobliwym muzeum. Jednak już trzy noce później znowu usłyszałem ujadanie, a zanim tydzień dobiegł kresu, poczułem na sobie po zmierzchu spojrzenie niewidzialnych oczu. Pewnego wieczoru podczas przechadzki po Victoria Embankment ujrzałem czarny kształt przesłaniający blask latarni i odbijający się w wodzie. Wiatr, silniejszy niż nocna bryza, omiół mnie i zrozumiałem, że to samo, co spotkało St Johna, spotka wkrótce i mnie.

Następnego dnia starannie owinąłem nefrytowy amulet i popłynąłem do Holandii. Nie wiedziałem, czy zwracając przedmiot jego uśpionemu, milczącemu właścicielowi, uzyskam przebaczenie, ale czułem, że muszę spróbować każdej możliwej alternatywy. Wciąż nie do końca wiedziałem, czym był ogar i dlaczego mnie ścigał, ale po raz pierwszy usłyszałem ujadanie na starym cmentarzu i każdy późniejszy wypadek, w tym także ostatnie słowo, jakie wyszeptał do mnie St John, zdawały się łączyć klątwę z kradzieżą amuletu. Nic przeto dziwnego, że pogrążyłem się w czarnej rozpacz, kiedy w gospodzie w Rotterdamie odkryłem, iż złodzieje pozbawili mnie jedynej nadziei ocalenia.

Tego wieczoru ujadanie było głośniejsze niż zazwyczaj, rankiem zaś dowiedziałem się o potwornej, nie wyjaśnionej zbrodni, jaka wydarzyła się w najplugawszym zakątku miasta.

Szumowiny wpadły w przerażenie, nigdy bowiem, nawet w tej zakazanej dzielnicy, nie dokonano równie okrutnego i odrażającego czynu.

W złodziejskiej melinie cała rodzina została rozdarta na strzępy przez nieznaną istotę, która nie pozostawiła po sobie śladów, a ci, którzy znajdowali się w okolicy, słyszeli przez całą noc głębokie, niezbyt głośne ujadanie wielkiego psa.

W końcu jednak znalazłem się znów na zapomnianym, odrażającym cmentarzu, gdzie blady zimowy księżyc malował upiorne cienie, a pozbawione liści drzewa pochylały się ponuro na spotkanie wyschłej, oszronionej trawy i zmurszałych płyt. Kościół o ścianach obrośniętych bluszczem mierzył drwiąco palcem dzwonnicy w nieprzyjazne niebo, nocny wiatr natomiast zawodził opętańczo, napływając znad zamarzniętych bagien i skutych lodem mórz. Ujadanie było teraz bardzo słabe i umilkło zupełnie, gdy zbliżyłem się do grobu, który ongiś zbecześciłem, płosząc swym pojawieniem się osobliwie liczne stado nietoperzy, nie wiedzieć czemu kołujących właśnie nad tą mogiłą.

Nie miałem pojęcia, dlaczego tam przybyłem, chyba tylko po to, by odmówić modlitwę bądź histerycznie błagać o przebaczenie, starając się ułagodzić cichą, białą istotę spoczywającą w tym miejscu, a jednak wbrew rozsądkowi zaatakowałem na wpół zamarzniętą ziemię z rozpaczą po części przynależną do mnie, po części zaś do owej dominującej woli istniejącej poza mną.

Wykopanie truchła było łatwiejsze, niż się spodziewałem, choć w pewnej chwili me poczynania zostały w osobliwy sposób zakłócone - nagle bowiem z zimnego nieba spikował chudy sęp i zaczął dziobać zajadle ziemię mogiły, póki nie zabiłem go jednym ciosem łopaty. W końcu dokopałem się do gnijącej, podłużnej skrzyni trumny i usunąłem przeżarte wilgocią wieko. I to ostatnia racjonalna czynność, jaką pamiętam.

Wewnątrz liczącej sobie setki lat trumny, pokrytej koszmarną zbitą warstwą ogromnych błoniastoskrzydłych uśpionych nietoperzy, spoczywała koścista istota, którą wraz z przyjacielem okradliśmy. Nie była wszelako czysta i spokojna jak wówczas, gdy ją ujrzeliśmy, lecz pokryta zaschniętą warstwą krwi i obcych szczątków oraz włosów. Łypała na mnie bezokimi, jarzącymi się osobliwą fosforescencją oczodołami, a ostre, okrawione kły kłapały ironicznie i złowrogo zarazem, dworując sobie z mej nieuchronnej

zguby. A gdy spomiędzy tych uśmiechniętych upiornie szczęk dobyło się głębokie, sardoniczne ujadanie, niby jakiegoś gigantycznego ogara, i ujrzałem, że w brudnych, skąpanych w posoce, zaciśniętych niczym szpony palcach tkwi utracony przeze mnie, złowróźbny amulet z nefrytu, wrzasnąłem na całe gardło i pobiegłem jak szalony, a mój krzyk niebawem przerodził się w wybuch histerycznego śmiechu.

Szaleństwo płynie z gwiazdnym wiatrem... pazury i kły ostrzone na trupach przez stulecia... ociekająca śmierć dosiadająca stad nietoperzy wylatujących z czarnych jak noc ruin zapomnianych, z dawna pogrzebanych świątyń Beliala... Teraz, gdy ujadanie owej umarłej, odartej z ciała potworności narasta coraz bardziej, a ukradkowe łopotanie i trzepot tych przeklętych błoniastych skrzydeł z każdą chwilą się przybliża i przybiera na sile, poszukam z moim rewolwerem zapomnienia, które jest dla mnie jedyną ucieczką przed tym, co nie nazwane i czego nie sposób nazwać.

# PIEKIELNA ILUSTRACJA

**P**oszukiwacze koszmarów odwiedzają dziwne, odległe miejsca. Dla nich ptolemejskie katakumby i rzeźbione mauzolea koszmarnych krain. Wspinają się na oświetlone blaskiem księżyca wieżycy nadreńskich zamków i schodzą po czarnych, pokrytych pajęczynami stopniach do uśpionych pod gruzami zapomnianych miast Azji. Nawiedzone lasy i odległe góry są ich świątyniami, krążą również wokół złowrogich monolitów na nie zamieszkanym wyspach.

Prawdziwym jednak majstersztykiem horroru, gdzie przeszywająca do szpiku kości zgroza jest koszmarem samym w sobie i przyczyną istnienia, są pradawne, samotne chaty farmerów w najdalszych leśnych zakątkach Nowej Anglii, tam bowiem mroczne elementy siły, samotności, groteskowości i ignorancji łączą się, tworząc istną perfekcję ohydy.

Najbardziej przerażający widok stanowią niewielkie, nie malowane, drewniane chaty stojące z dala od wędrownych szlaków, zazwyczaj na podmokłym trawiastym stoku lub przylegające do gigantycznego występu skalnego. Dwieście lat z okładem spędziły w tych miejscach, podczas gdy winorośle położyły się wokoło nich, a drzewa rozrastały się, stając się coraz bardziej strzeliste i bujne. Obecnie są prawie niewidoczne, tonąc w przepychu zieloności i bezpiecznym cieniu, niemniej okna o maleńkich szybkach wciąż gapią się w wyrazie szoku, jakby mrugały w zabójczym oświeceniu, które nie dopuszcza doń szaleństwa, tłumiąc wspomnienia niewyobrażalnych koszmarów.

W takich właśnie chatach mieszkały pokolenia dziwnych ludzi, którym podobnych świat ten nigdy nie widział. Wyznający posępne i fanatyczne



wierzenia, przez które stali się wyrzutkami swej własnej rasy, ich przodkowie poszukiwali wolności w leśnych ostępach. Tu właśnie potomkowie rasy zdobywców mogli działać swobodnie, nie skrepowani restrykcjami swych pobratymców, i oddawać się w niewolę przerażającym fantazjom ich własnych umysłów. Oderwani od zdobyczy cywilizacji, moc owych purytan skierowała się szczególnymi torami, a w skutek izolacji, okrutnych autorepresji oraz nieustannej walki z nieustępliwą naturą odezwały się w nich mroczne, dotąd ukryte cechy z prehistorycznej głębi ich zimnej, północnej spuścizny. Z konieczności praktyczni, a z natury srodzy, ludzie ci popełniali największe z możliwych grzechów. Błądząc, co wszak jest rzeczą ludzką, zostali zmuszeni swym ścisłym i surowym kodeksem, aby przede wszystkim poszukiwać schronienia, aż koniec końców zaczęli tracić zamiłowanie do tego, co przykazane mieli skrywać. Jedynie milczące, uśpione, zapatrzone chaty w lasach mogą opowiedzieć o wszystkim, co było ściśle zatajane w tym wczesnym okresie, a nie należą one do rozmownych i niechętnie przerywają kojącą drzemkę, która pomaga im zapomnieć. Czasem wydaje się, że litościwym gestem byłoby zburzyć wszystkie te chaty, muszą one bowiem często śnić.

Do jednego z takich domów, który właśnie opuściłem, przywiodła mnie w pewne listopadowe popołudnie silna ulewa; deszcz był tak zimny, że nawet najgorsze schronienie stanowiło wybawienie. Podróżowałem już od jakiegoś czasu, odwiedzając mieszkańców doliny Miscatonic w poszukiwaniu pewnych danych genealogicznych, i zważywszy na odległą, niejasną oraz problematyczną naturę mej wędrówki, pomimo nie sprzyjającej pory roku wygodniejsze okazało się dla mnie skorzystanie z roweru.

Tak oto znalazłem się na całkiem opuszczonej drodze, którą wybrałem, by dostać się skrótem do Arkham, gdy daleko od miasta złapała mnie paskudna ulewa, a jak okiem sięgnąć nie było żadnego innego schronienia

prócz starej, odrażającej, drewnianej chaty, która mrugała na mnie zaspanymi oczyma okien spomiędzy dwóch pozbawionych liści wiązów opodal kamienistego pagórka. Leżący na uboczu, z dala od drogi, dom ów nie wywarł na mnie dobrego wrażenia. Szczerze mówiąc, budowle mające dobrą aurę nie łypią na wędrowców tak dwuznacznie i niepokojąco - a w mych genealogicznych badaniach napotkałem legendy sprzed stu lat, które stanowczo przestrzegały mnie przed odwiedzaniem podobnych miejsc. Niemniej siła ulewy przemogła me skrupuły i nie zawahałem się skierować mego jednoślada w górę trawiastego, zachwaszczonego wzniesienia do zamkniętych drzwi, które wydały mi się zrazu tak sugestywne i tajemnicze.

Nie wiedzieć czemu, niejako z założenia przyjąłem, że dom był nie zamieszkały, aczkolwiek gdy się zbliżyłem, nie byłem już tego taki pewien, bo choć ścieżkę przed domem porastały chwasty, nie były one dość gęste, by świadczyć, że miejsce to było całkiem opuszczone.

Dlatego też zamiast od razu pchnąć drzwi, zapukałem, a gdy to uczyniłem, ogarnął mnie niezrozumiały niepokój. Czekając na szorstkim, omszałym kamieniu służącym jako próg, zajrzałem do pobliskich okien i w szyby transomu nade mną, by stwierdzić, że choć stare, rozchybotane i niemal matowe od brudu, żadna nie była stłuczona. Budynek musiał być przeto zamieszkały pomimo swego odosobnienia i ogólnego zaniedbania. Moje pukanie pozostało jednak bez odpowiedzi, toteż spróbowawszy raz jeszcze, poruszyłem zardzewiałą klamką i stwierdziłem, że drzwi były otwarte.

Wewnątrz znajdował się niewielki westybul o ścianach, z których odpadał tynk, a od wejścia popłynął ku mnie słaby, lecz nader nieprzyjemny odór.

Wszedłem, wprowadzając swój rower, i zamknąłem za sobą drzwi. Przede mną wznosiły się wąskie schody z niewielkimi drzwiczkami z

boków, prowadzącymi zapewne do piwnicy, podczas gdy po lewej i prawej stronie znajdowały się zamknięte drzwi do pokoi na parterze.

Oparwszy rower o ścianę, otworzyłem drzwi po lewej i wszedłem do małego pomieszczenia o niskim sklepieniu, słabo oświetlonego nawet mimo dwóch okien - szyby były bowiem brudne - którego wystrój był iście spartański, żeby nie powiedzieć prymitywny. Wyglądało to na pokój dzienny, znajdował się tu stół, kilka krzeseł oraz ogromny kominek, na obramowaniu którego tykał antyczny zegar. Książek i gazet było bardzo niewiele, a w panującym tu półmroku nie byłem w stanie odczytać tytułów. Moje zainteresowanie wzbudziła panująca tutaj, widoczna w każdym szczególe, aura archaiczności.

Większość domów w tym rejonie była - jak sam stwierdziłem - pełna reliktyw przeszłości, tu jednak archaiczność sięgnęła nieomal szczytu; w całym bowiem pomieszczeniu nie natrafiłem na chociażby jeden artykuł noszący postrewolucyjną datę. Gdyby wystrój był jeszcze skromniejszy, miejsce to stałoby się istnym rajem dla zbieracza.

Rozglądając się po pokoju, poczułem narastającą we mnie awersję, którą po raz pierwszy wzbudził posępny widok fasady domu. Nie potrafiłem powiedzieć, czego się lękałem ani co wzbudziło we mnie tę odrazę - niemniej tutejsza atmosfera zdawała się przesiąknięta nieprzyjemną wonią bluźnierczej starości, odrażającego okrucieństwa i tajemnic, które powinny popaść w zapomnienie. Z prawdziwą niechęcią usiadłem i zacząłem przeglądać artykuły. Zainteresowała mnie książka średniej wielkości leżąca na stole i dotycząca rzeczy tak pradawnych, że zdziwiłem się, widząc ją tu, miast w jakimś muzeum lub bibliotece. Była oprawna w skórę, z metalowymi okuciami i doskonale zachowana - księga sama w sobie również była niezwykła i fakt, że się tu na nią natknąłem, zaskoczył mnie w dwójnasób.

Kiedy ją otworzyłem na stronie tytułowej, moje zdumienie urosło jeszcze bardziej, gdyż okazała się ona ni mniej, ni więcej tylko białym krukiem, księgą Pifagetty dotyczącą regionu Konga spisaną po łacinie na podstawie relacji marynarza Lopexa i opublikowaną w 1598 roku we Frankfurcie.

Często słyszałem o tym dziele zaopatrzonym w niezwykle ilustracje braci de Bry, tak więc przez chwilę zapomniałem o zaniepokojeniu, ogarnięty nagłym pragnieniem przerzucenia stronic owego białego kruka. Ryty były naprawdę interesujące, powstałe wyłącznie na bazie wyobraźni i pobeżnych opisów.

Przedstawiły Negrów o białej skórze i kaukaskich rysach - zapewne niedługo zamknąłbym wolumin, gdyby zwykły zbieg okoliczności nie ożywił we mnie uspiętego niepokoju i nie pobudził uspokojonych nerwów.

Rozdrażniło mnie to, iż księga otworzyła się - niejako samorzutnie - na tablicy dwunastej przedstawiającej w upiornych szczegółach rzeźnię kanibali Anziques. Moja wrażliwość ucierpiała nieco, gdy usiłowałem potraktować pobeżnie upiorny rysunek, który przyciągał mnie z niepokojącą intensywnością, zwłaszcza w połączeniu z krótką adnotacją dotyczącą szczegółów kuchni Anziques.

Odwróciłem się w stronę najbliższej półki i przejrzałem jej skąpą zawartość; Biblia z osiemnastego wieku, Pilgrim Progress z tego samego okresu, ilustrowane groteskowymi drzeworytami i wydane przez twórcę almanachów Izajasza Thomasa, nadgniła Magnolia Christi Americana Cottona Mathera i kilka innych ksiąg równie starych jak tamte. Nagle mą uwagę przykuł niemożliwy do pomylenia odgłos kroków w pokoju powyżej. W pierwszej chwili zdumiony i zaskoczony, zważywszy na fakt, że moje wcześniejsze pukanie do drzwi pozostało bez odpowiedzi, natychmiast domyśliłem się, że gospodarz musiał dopiero co się obudzić z głębokiego snu, toteż z mniejszym już zaskoczeniem przysłuchiwałem się

krokom na trzeszczących drewnianych schodach. Stąpienie było ciężkie, aczkolwiek osobliwie ostrożne, co, zważywszy na ciężki chód, wydało mi się trochę niepokojące. Kiedy wszedłem do pokoju, zamknąłem za sobą drzwi. Teraz, po chwili ciszy, kiedy gospodarz mógł oglądać mój rower pozostawiony w holu, usłyszałem gmeranie przy zamku i ujrzałem, że panelowe odrzwia otwierają się ponownie.

W progu stanął osobnik o tak szczególnym wyglądzie, że gdyby nie zasady dobrego wychowania, bez wątpienia krzyknąłbym w głos. Stary, siwobrody i odziany w łachmany gospodarz swą postawą i wyglądem wzbudzał zarazem szacunek i zdumienie. Musiał mieć dobrze ponad sześć stóp wzrostu i pomimo podeszłego wieku oraz ubóstwa wciąż wydawał się silny i potężny.

Jego oblicze nieomal nikło pośród długiej, gęstej brody porastającej policzki, które wydawały się nienaturalnie rumiane i mniej pomarszczone, niż można by się spodziewać. Na wysokie czoło mężczyzny spadała kaskada siwych włosów, nieco tylko przeredzonych przez lata. Jego niebieskie oczy, choć odrobinę przekrwione, zdawały się niewytłumaczalnie bystre, czujne i przenikliwe.

Pomimo upiornego, niechlujnego wyglądu mężczyzna wywarł na mnie piorunujące wrażenie. Jego abnegacja czyniła go odpychającym i natarczywym. Nie potrafię stwierdzić, w co był odziany, aczkolwiek w moim mniemaniu ubiór jego stanowiła masa strzępów i łachmanów sięgających aż do cholewek wysokich, ciężkich butów; brak zamiłowania tego mężczyzny do czystości był niemal nie do opisania.

Jego wygląd oraz wzbudzony przezeń instynktowny strach przygotował mnie na pewne przejawy wrogości, dlatego też nieomal zadrzałem, zdumiony i poruszony niesamowitą absurdalnością, kiedy gospodarz wskazał mi krzesło i odezwał się do mnie głosem pełnym uniżonego szacunku i zachęcającej gościnności. Mówił bardzo dziwną i rzadką

odmianą jankeskiego dialektu, który, jak sądziłem, od dawna już był nie używany - przysłuchiwałem się uważnie, kiedy usiadł naprzeciwko mnie, nawiązując rozmowę.

– Dyszcz pana ułapił, co ni? - rzucił na powitanie. - Dobrze, co był pan blisko chałupy i nie zbyło panu oleju we w głowie, co by tu wnijść. Chyba żem uciół komara, bo żem pana nie usłyszał - nie jezde już taki młody, muszem co dnia przysypiać wiela czasu jak nimowle. A pan gdzie się udai? Nie widuje żem sporo ludzi na tej drodze, odkąd pobudowali szos do Arkham.

Odparłem, że udawałem się do Arkham, i przeprosiłem za moje wtargnięcie do jego chaty, po czym mężczyzna podjął swój monolog.

– Cieszem się, co pana tu widzę, młodzieńcze, rzadko bywi, co chtoś tu się pokazui, ostatniemi czasy mało je rzeczy, coby sprawiali mię radość. Jak mię się wydai, jesteś pan z Bostingu, co? Nigdy żem tam nie był, ale na pierwszy rzut oka potrafię poznać miastowego - w łosiemdziesionym czwartym mieli my tu łokrengowego nałuczyciela, ale nagle zrezygnował z roboty i jak wsiunk dzieś, nikt go już po tym nie uwidzial. - Tu stary nagle zachichotał, a gdy poprosiłem go o wyjaśnienie przyczyny owej wesołości, nie odpowiedział. Wydawał się w wyśmienitym humorze, acz jego zachowanie musiało być wynikiem pustelniczego trybu życia. Przez pewien czas paplał nieomal gorączkowo, gdy wtem, nie wiedzieć czemu, zapytałem go, w jaki sposób zdobył tak rzadką księgę jak Regnum Congo Pifagetty. Wciąż nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na mnie ów wolumin, i gdy zacząłem o nim mówić, uczyniłem to nie bez wahania. Ciekawość jednak przemogła wszystkie niejasne lęki, które stopniowo narastały we mnie, odkąd po raz pierwszy ujrzałem ten stary dom. Poczulem ulgę, stwierdziwszy, że pytanie nie okazało się nietaktowne, gdyż starzec odpowiedział na nie swobodnie i z emfazą.

– A, ta ksiunżka p Efryce? Kapitan Ebenezer Holt sprzedał mnie ją w sześćdziesiątym ósmym - tyn, co potym zginął we wojnie.

Coś, być może imię Ebenezera Holta, sprawiło, że gwałtownie uniosłem wzrok. Napotkałem je już wcześniej podczas mych prac genealogicznych, ale ani razu nie natknąłem się nań po rewolucji. Zastanawiałem się, czy gospodarz mógłby dopomóc mi w zadaniu, nad którym właśnie pracowałem, i postanowiłem zapytać go o to później. Mówił dalej.

– Ebenezer łod lat pływał na statkach handlowych ze Salem i we w każdym porcie widział rozmaite, dziwne rzeczy. Wziun to gdzieś we w Londynie, jak mię się wydai, lubił kupywać takowe rzeczy w sklepach. Byłżem raz w jego domie na zgórz, coby pohandlować, i właśnie tedy zobaczyłem te ksiunżke.

Jakżem pobaczył rysunki, od razu zachciałem ją mieć. I wymienił się ze mno.

To je dziwna ksiunżka - daj jom pan, dzie som moje patrzyły. - Starzec zaczął gmerać wśród łachmanów, wydobył parę brudnych i zdumiewająco starych okularów o niewielkich, ośmiokątnych szklach i stalowych oprawkach.

Nałożywszy je, sięgnął po leżący na stoliku wolumin i pieczołowicie zaczął przewracać stronice.

– Ebenezer umiał trochę czytać po ty... po łacinie, ja nie umie. Miałżem dwu czy czech nauczycieli, co mię próbowali nałuczyć, a Paster Clark, tyn, co mówili, że siem łutopił w stawie - umiesz pan coś ze z tego wyrozumieć?

Odparłem, że tak, i przetłumaczyłem jeden z pierwszych akapitów z początku książki. Nawet gdybym się pomylił, nie miał dość wykształcenia, by mnie poprawić, i wydawał się zadowolony jak dziecko z mego przekładu. Jego bliskość napawała mnie odrazą, ale nie wiedziałem, jak mam się od niego uwolnić, jednocześnie go przy tym nie urażając. Bawiło

mnie jego dziecinne wręcz umiłowanie, jakie żywił do rysunków w książce, której nie potrafił przeczytać. Zastanawiałem się, czy w ogóle znał angielski i czy przeczytał którąś z nielicznych angielskich książek znajdujących się w tym pokoju.

Ta demonstracja prostoty usunęła w cień nieokreślone lęki, jakie mnie dręczyły, i uśmiechnąłem się, podczas gdy mój gospodarz mówił dalej: - To dziwne, jak łobrazki mogom pływać na luckie myślenie. Weźmy tyn, ło z przodu. Widział pan kiedy drzewa jak te, ło tu, z wielkimi listyama chłopoczącymi we w górę i na dół. A te ludzie - to nie mogom być Murzyni - one som najlepsze. Trochie jak Indjanie, jak się mnie wydai, ale pochodzom ze z Efryki. Niechtórzy z nieich wyglondajom jak mały albo półludzie, ale o takim jak tyn jeszcze zem nie słyszał.

Wskazał na bajeczny twór artysty, który można by opisać jako smoka z łbem aligatora.

- Tera pokazem panu same najlepsze - to je gdzieś we w samym środku.  
- Głos mężczyzny stał się nieco bardziej ochrypły, a w jego oczach rozbłysły jaśniejsze iskierki. Dłonie, choć wydawały się jeszcze bardziej niezgrabne niż dotychczas, pochłonięte były tylko jednym celem. Książka rozłożyła się niemal samoistnie, jak gdyby często otwierana była właśnie w tym miejscu - na odrażającej dwunastej tablicy ukazującej rzeźnię kanibali Anzique.

Powróciło uczucie niepokoju, ale nie dałem tego po sobie poznać. Najdziwniejsze było, że dzięki inwencji artysty Afrykanie wyglądali jak biali - kończyny i ćwierci wiszące na ścianach ubojni były wręcz upiorne, rzeźnik zaś, zaopatrzony w toporzysko, osobliwie rażący. Pomimo iż mój gospodarz zdawał się uwielbiać ów rysunek, mnie wydawał się nieodmiennie odpychający.

- I co pan o tym myślisz - nigdy żeś pan nie widział czegoś takiego, co ni?



Kiedy żem to zobaczył, powiedziałem Ebowi Holtowi: „Łod czegoś takiego aże skóra cierpnie, a krew mrozi siem w żyłach”. Kiedy przeczytałem we w Piśmie o rzezi - jak o tyj rzezi niewiniątek - to sporom o tym myślał, ale nie potrafiłem sobie tego wyłobrazić. Tu szystko widać, jako jest i basta - po prawdzie to chiba grzech, ale czyż wszyscy nie rodzimy siem we w grzechu?

Tyn porąbany gość sprawia, że czujem zimne ciarki za każdą razą, jak na niego spoglondam - a nie chcem, ale muszem - widzisz pan, jak tyn rzeźnik łodrabiał mu obie stopy? Jego głowa na tamty ławie, jedna renka z boku i druga na pieńku do rombania mięs.

Kiedy mężczyzna mamrotał w wyrazie szokującej ekstazy, jego owłosione, przyozdobione okularami oblicze było niemożliwe do opisania, ale głos, miast przybierać, raczej tracił na sile. Moich własnych odczuć raczej nie potrafię określić. Cała groza, którą wcześniej ledwie odczuwałem, runęła na mnie tak silną i żywą falą, że odraza, jaką żywiłem wobec tej prastarej, obrzydliwej istoty, urosła do niewyobrażalnych rozmiarów. Jego szaleństwo lub przynajmniej częściowa perwersja wydawały się niezaprzeczalne. Teraz mówił prawie szeptem, który jednak wydawał się bardziej przerażający od krzyku, i słuchając go, przeszły mnie dreszcze.

– Ta jak mówię, to dziwne, jak łobrazki mogom pływać na luckie myślenie.

Wiesz, młody panie, mówiem tera o tym ło, tutaj. Kiedy już wyhandlowałem ty ksiunżke łod Eba, często żem ją przyglondał, zwłaszcza po tem, jak słyszałem Pastera Clarka prawioncego w niedziele we swy wielki peruce.

Raz sprobował-żem czegoś zabawnego - tylko coby siem pan nie przeraził, młody panie - wszystko, com zrobił, to spojrzełem na rysunek przed zabiciem owcy na targ - zabicie owcy było o wiewa zabawniejsze po

tem, jakżem przykikował na tyn łobrazek... - Ton starca stał się jeszcze słabszy, czasami słowa były wręcz niesłyszalne. Przysłuchiwałem się odgłosom deszczu, dudnieniu kropel o małe, niemal nieprzejrzyste szybki, a mą uwagę zwrócił niezwykle, jak na tę porę roku, huk grzmotu. Raz przeraźliwy błysk i łoskot grzmotu niemal zatrzęsły domem aż do fundamentów, ale szepczący starzec nawet tego nie zauważył.

– Zabicie owcy było stokroć bardziej zabawne - ale wiesz pan, nie dość satysfakcjonujące. Dziwne, jak łobrazek i pragnienie może wziąć człowieka we w karby. Na miłość Boga Łojca, młody człowiecze, nie mów to nikomu, ale przysiengam się na Pana Naszego, że tyn rysunek łobudził we mnie głód wiktuałów, których nie można wyhodować ani normalnie kupić - ejże, siedź ino spokojnie, coś panu dolega? Nic żem nie zrobił, zastanawiałem się tylko, jak by to było, gdybym się zdecydował. Mówią, że mięso tworzy krew i ciało, że dai nam nowe życie - a ja zacząłem się zastanawiać, czy człowiek nie mógłby przedłużyć sobie życia, jedząc stale to samo... -

Szepczący nie zdołał jednak dokończyć. I to nie przez mój lęk ani gwałtownie przybierającą na sile burzę, której wściekłość mogłem podziwiać na własne oczy, kiedy je w końcu otwarłem w przesyconej dymem samotności wśród poczerniałych ruin. Sprawilo to coś absolutnie niesamowitego.

Otwarta księga leżała pomiędzy nami, z rysunkiem łypiącym obrazoburczo ku górze, a kiedy starzec wyszeptał słowa: - Stale to samo... - rozległ się delikatny, niemal niedosłyszalny plusk i coś rozprysło się na pożółkłym papierze rozłożonego woluminu. Pomyślałem, że to deszcz, ale przecież jego krople nie są czerwone. Mała czerwona kropla błyszczała wyraźnie na rysunku przedstawiającym rzeźnię kanibali Anzique, dodając upiornemu sztychowi jeszcze bardziej posępnego i przerażającego wyrazu. Starzec dostrzegł to i zamilkł, zanim jeszcze nakłonił go do tego wyraz

zgrozy przepełniający moje oblicze; ujrzał to i pospiesznie uniósł wzrok ku pomieszczeniu, które opuścił przed godziną. Podążyłem za jego spojrzeniem i ujrzałem tuż nad nami, na tynkowanym, starym suficie wielką, nieregularną plamę wilgotnego szkarłatu, która powiększała się na moich oczach. Nie krzyknąłem ani nawet nie drgnąłem, a jedynie zmrużyłem powieki. W chwilę później rozległ się przeraźliwy ryk, huk tysięcy zespolonych gromów.

Potężny piorun trafił prosto w przeklęty dom pełen niewypowiedzianych tajemnic, przynosząc zapomnienie, dzięki któremu pozostałem przy zdrowych zmysłach.

# COŚ NA PROGU

## I

**P**rawdą jest, że wystrzeliłem sześć kul w głowę mego najlepszego przyjaciela, ale mam nadzieję wyjaśnić tym wyznaniem, że nie jestem jego mordercą.

Początkowo zostanę uznany za szaleńca, bardziej obłąkanego niżli człowiek, którego zastrzeliłem w celi Zakładu Psychiatrycznego w Arkham. Później niektórzy z mych czytelników rozważą niewątpliwie treść mego oświadczenia, powiążą je ze znanymi faktami i zadadzą sami sobie pytanie, czy mogliby żywić inne niż ja przekonanie, po tym jak stanąłem oko w oko z jawnym dowodem tego niewyobrażalnego koszmaru - z czymś na progu.

Do tej pory ja również miałem wrażenie, iż zdarzenia, w których uczestniczę, są wytworem czystego szaleństwa. Nawet teraz zapytuję siebie, czy nie zostałem w jakiś sposób omamiony lub być może postradałem zmysły. Nie wiem, jak to tłumaczyć, lecz są inni, którzy mogą opowiedzieć dziwne historie o Edwardzie i Asenath Derbych, i nawet stojący twardo na ziemi stróżę prawa głowią się nad wyjaśnieniem tej ostatniej przerażającej wizyty.

Starali się, co prawda, sklecić dość niespójną teorię o upiornym żarcie lub ostrzeżeniu ze strony zwolnionej z pracy służby, jednak wszyscy oni w

głębi serca czują, że prawda jest nieskończenie bardziej przerażająca i niewiarygodna.

Powiadam przeto, że nie zamordowałem Edwarda Derby'ego. Rzekłbym raczej, iż go pomściłem, a czyniąc to, uwolniłem ziemię od koszmaru, który pozostawiony przy życiu mógłby przynieść całej ludzkości niewyobrażalne zło, grozę i cierpienia. Blisko naszych ścieżek codziennych czyhają czarne splachcie cienia i od czasu do czasu jakaś zabłąkana dusza wyrywa się z nich na wolność. Gdy do tego dochodzi, człowiek tego świadomy musi działać i reagować, nie bacząc na konsekwencje swych czynów. Znałem Edwarda Pickmana Derby'ego przez całe jego życie. Mimo iż młodszy o osiem lat, był przedwcześnie rozwinięty, do tego stopnia, że mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, mimo iż on był ośmio-, a ja szesnastolatkiem. Był najbardziej fenomenalnym uczniem, jakiego znałem, a mając siedem lat, pisywał strofy tak posępne, fantastyczne i mroczne, że zdumiewały one grono otaczających go nauczycieli. Może z owym przedwczesnym rozkwitem miał coś wspólnego fakt, iż trzymał się na uboczu, niczym odludek, a lekcji udzielali mu prywatni autorzy. Był jedynakiem, do tego chorowitym, co kompletnie zdumiało i zaskoczyło jego rodziców, a także spowodowało, iż trzymali go krótko.

Nigdy nie pozwalali mu wychodzić bez pielęgniarki, rzadko też zdarzało się, by Edward bawił się swobodnie z innymi dziećmi. Bez wątplenia dzięki temu chłopiec zaczął żyć innym, wewnętrznym życiem, gdzie wyobraźnia stanowiła dlań jedyną drogę ku wolności.

Tak czy inaczej, młodzieniec ów był cudownym dzieckiem, obdarzonym osobliwymi talentami, a jego wczesne teksty zafascynowały mnie, mimo znacznej różnicy wieku. W tym mniej więcej czasie zacząłem interesować się sztuką nieco groteskowej natury i odkryłem w tym chłopcu prawdziwie bratnią duszę. Tym, co leżało poza łączącym nas zamiłowaniem do cieni i cudowności, było bez wątplenia prastare, gnijące i z lekka przerażające

miasto, w którym mieszkaliśmy, przesycone aurą dawnych mrocznych czasów, polowań na czarownice i posepnych legend Arkham, którego umieszczone jeden przy drugim, obwisłe, dwuspadowe dachy i murszejące georgiańskie balustrady pamiętały zamorskie stulecia, przycupnięte nad brzegami mrocznie szemrzącego Miskatonicu.

Czas płynął, zainteresowałem się architekturą i zarzuciłem pomysł sporządzenia ilustracji do zbioru demonicznych wierszy Edwarda. Przyjaźń nasza wciąż trwała nie wzruszona. Geniusz młodego Derby'ego rozwinął się znacznie i w osiemnastym roku jego życia zbiór mrocznej, pełnej grozy poezji pt. „Azathoth i inne koszmary” wywołał na rynku niemałą sensację.

Edward korespondował regularnie z baudelaireowskim poetą Justinem Geoffre'yem, autorem „Ludu monolitu”, który zmarł, wrzeszcząc przeraźliwie, w zakładzie dla obłąkanych w 1926 roku, po wizycie w pewnej mrocznej, ogarniętej złą sławą wiosce na Węgrzech.

Jeżeli jednak chodziło o pewność siebie i sprawy natury praktycznej, Derby był w dużym stopniu opóźniony, głównie dlatego, że prowadził życie odludka. Jego zdrowie znacznie się poprawiło, ale nadopiekuńczość rodziców zrodziła w nim nawyk do zależności od innych ludzi, toteż nigdzie nie podróżował samotnie, nie podejmował decyzji ani nie brał na siebie za nic odpowiedzialności. Bardzo szybko okazało się, że nie nadawał się do pracy w biznesie czy zażartych walk na arenie zawodowej, niemniej dysponował pokaźną rodzinną fortuną, toteż nie było to dla niego wielką tragedią.

Osiągnąwszy wiek męski, wciąż oczarowywał zwodniczym chłopięcym wdziękiem. Blondwłosy i niebieskooki, miał zdrową, gładką, dziewiczą cerę, mimo wysiłków zaś, aby zapuścić wąsy, nie mógł poszczycić się bujnym zarostem. Jego głos był pełen miękkości i łagodności, a życie pozbawione ćwiczeń sprawiło, że miał męskiej, młodzieńczej sylwetki,

wydawał się niemal dziecięco pulchny i delikatny. Był słusznego wzrostu, a przystojne oblicze pozwoliłoby mu zapewne zyskać opinię bawidamka, gdyby nie jego nieśmiałość, zamiłowanie do samotności i natura mola książkowego.

Rodzice Derby'ego zabierali go każdego lata za granicę, toteż szybko zaznajomił się on z europejskimi sposobami myślenia i wyrazu. Jego talenty, dorównujące niemal Poemu, kierowały go coraz bardziej ku dekadencji i innym rodzajom artystycznej wrażliwości oraz tęsknot, które zaczynały się budzić w jego wnętrzu. W owych dniach sporo rozmawialiśmy. Skończyłem Harvard, studiowałem architekturę w Bostonie, ożeniłem się i w końcu wróciłem do Arkham, by praktykować w swoim zawodzie i osiąść w mej rodzinnej posesji przy Saltonstall Street, skąd ojciec mój, ze względów zdrowotnych, przeprowadził się na Florydę. Edward dzwonił prawie co wieczór, aż w końcu zacząłem uważać go za domownika. Miał charakterystyczny sposób dzwonienia dzwonkiem lub stukania kołatką, który rychło stał się jego sygnałem, i zwykle po kolacji nasłuchiwałem trzech szybkich uderzeń, po których następowały dwa wolniejsze i cisza. Teraz rzadko odwiedzałem go w jego domu, aczkolwiek zawsze z zazdrością patrzyłem na opasłe, tajemnicze woluminy należące do jego wciąż powiększającego się księgozbioru.

Derby skończył studia na Uniwersytecie Miskatonic w Arkham, gdyż rodzice nie pozwolili mu opuścić miasta i uczyć się gdzie indziej. Zaczął, mając szesnaście lat i po trzech latach zdobył magisterium z angielskiego i literatury francuskiej oraz szczyił się najwyższymi ocenami, z wyjątkiem matematyki i nauk ścisłych. Nie zaprzyjaźnił się zbytnio z innymi studentami, aczkolwiek z zazdrością popatrywał na tych „śmielszych”, o „artystycznych duszach”, których napuszony przemądrzały język i bezsensowną ironiczną pozę nieodparcie wyszydzał, gdyż brakowało mu odwagi, by samemu spróbować tego zakazanego owocu.

Stał się tymczasem niemal fanatycznym miłośnikiem mrocznej, magicznej spuścizny, z której słynęła i po dziś dzień słynie biblioteka uczelni. Zawsze żyjący w domenie osobliwości i fantazji Edward poświęcił się teraz studiowaniu prastarych runów i zagadek pozostawionych przez przodków z zamierzchłych, pełnych magii czasów dla potomnych, by mogli czerpać z ich nierzadko zagadkowych treści radość, zadziwienie i naukę. Przeczytał takie dzieła, jak przerażająca „Księga Eibonu”, „Unaussprechlichen Kultem” von Junzta i zakazany „Necronomicon” szalonego Araba, Abdula Alhazreda, choć nie wspomniał rodzicom, że miał z nimi do czynienia. Edward skończył dwadzieścia lat, kiedy przyszedł na świat mój syn - jedyny potomek - i chyba bardzo się ucieszył, gdy nazwałem go, na jego cześć, Edward Derby Upton.

W wieku lat dwudziestu pięciu Edward Derby był geniuszem nauki oraz dość znanym poetą i fantastą, aczkolwiek niechęć do brania na siebie odpowiedzialności i do kontaktów z ludźmi spowolniły nieco jego pisarski rozwój, sprawiając, że tworzone przez niego dzieła były coraz bardziej osobliwe i osobiste. Byłem chyba jego najbliższym przyjacielem i uważałem go za niewyczerpaną kopalnię ważkich tematów natury teoretycznej, niemniej zwrócił się on do mnie z prośbą o poradę w sprawach, którymi nie chciał dzielić się z rodzicami. Pozostał samotnikiem bardziej przez swą nieśmiałość, inercję i nadopiekuńczość rodziców niż z zamiłowania, a w towarzystwie bywał tylko od wielkiego dzwonu. Gdy wybuchła wojna, z uwagi na słabe zdrowie i wrodzoną bojaźliwość pozostał w domu. Co do mnie, wybrałem się do Plattsburga, by się zaciągnąć, lecz na front ostatecznie nie trafiłem.

I tak mijały lata. Gdy miał lat trzydzieści cztery, umarła mu matka. Po tej tragedii Edward długo nie był w stanie dojść do siebie, trawiony zagadkową, psychologiczną chorobą. Ojciec zabrał go jednak do Europy i tam przyjaciel mój doszedł do siebie na tyle, że po jego przypadłości nie



pozostał żaden widoczny ślad. Później zaczął przejawiać on jakąś osobliwą, nieco groteskową wesołość, jakby zdołał zerwać bliżej nieokreślone więzy. Zaczął spotykać się z pewnymi studentkami z wyższych roczników i był obecny przy ich kilku niechlubnych, żeby nie rzec plugawych, wyczynach, w jednym przypadku zaś zmuszony był zapłacić sporą sumkę (nawiasem mówiąc, pożyczoną ode mnie), gdyż szantażowano go, iż jego ojciec dowie się o dziwacznych zainteresowaniach ukochanego potomka. Niektóre z plotek związanych z grupą studentów uczelni Miskatonic były zaiste niewiarygodne.

Mówiono nawet o czarnej magii i wydarzeniach wykraczających poza zdolności ludzkiego pojmowania.

## II

Edward miał trzydzieści osiem lat, kiedy spotkał Asenath Waite. Miała wtedy, jak oceniłem, dwadzieścia trzy lata i uczęszczała na zajęcia specjalne z metafizyki średniowiecznej na Uniwersytecie Miskatonic. Córka mego przyjaciela spotkała ją wcześniej w Hali School w Kingsport i z uwagi na podejrzaną reputację starała się jej unikać. Asenath była śniada, drobna i bardzo ładna, z wyjątkiem nieco zbyt wyłupiastych oczu, niemniej coś w jej zachowaniu i wyglądzie wzbudzało osobliwe odczucia u bardziej wrażliwych ludzi. Natomiast ci zwyczajni unikali jej z uwagi na jej pochodzenie i plotki z nią związane. Pochodziła z Waite'ów z Innsmouth, a przez wiele pokoleń zebrało się całe mnóstwo mrocznych legend związanych z na wpół opuszczonym, podupadającym Innsmouth i jego mieszkańcami. Opowieści mówią o upiornych paktach zawieranych w połowie dziewiętnastego stulecia oraz o dziwnym, „nie całkiem ludzkim”

pierwiastku u pradawnych rodzin zamieszkujących ów zapuszczony port rybacki, historie, które mogli wymyślić jedynie starzy Jankesi, by powtarzać je później z wyraźną trwogą.

Asenath nie mogła poszczycić się chlubną reputacją również dlatego, że była córką Ephraima Waite'a, spłodzoną, gdy był on już w podeszłym wieku, z nikomu nie znaną żoną, której twarz zawsze przesłaniała gruba, ciemna woalka. Ephraim mieszkał w Innsmouth w na wpół zrujnowanej posesji przy Washington Street, a ci, co widzieli owo miejsce (mieszkańcy Arkham starali się unikać odwiedzin w tym mieście), twierdzili, iż okna na poddaszu były zabite deskami, a z wnętrza z nadejściem zmierzchu dochodziły niekiedy dziwne odgłosy. Stary cieszył się reputacją nader zdolnego ucznia sztuk magicznych i legendy głosiły, że potrafił na zawołanie wywoływać lub uciszać sztormy na morzu. W czasach mej młodości widziałem go raz czy dwa, kiedy zjawił się w Arkham, by zajrzeć do zakurzonych woluminów przechowywanych w uczelnianej bibliotece, i widok jego wilczego, posępnego oblicza ozdobionego stalowosiwą brodą z miejsca przepełnił mnie odrazą i niepokojem. Umarł jako obłąkaniec, w dość osobliwych okolicznościach, na krótko przed tym, jak córka (zgodnie z jego wolą powierzona opiece dyrektora szkoły) rozpoczęła naukę w Hali School. Odziedziczyła ona po ojcu kontrowersyjną urodę i niekiedy wyglądała równie złowieszczo i odpychająco.

Przyjaciół, którego córka uczęszczała do szkoły z Asenath Waite, wielokrotnie opowiadał o niej zdumiewające historie, gdy ni stąd, ni zowąd rozeszły się plotki o jej bliższym związku z Edwardem. Asenath, jak się zdawało, miała opinię szkolnej czarodziejki i rzeczywiście potrafiła dokonywać rzeczy niesamowitych. Rzekomo była w stanie przywoływać burze z piorunami, choć tak naprawdę jej sukcesy można prawdopodobnie złożyć na karb szczególnej wrażliwości i spełniających się przeczuć.

Wszystkie zwierzęta jawnie jej nie znosiły i wystarczyło kilka ruchów jej prawej dłoni, by psy w okolicy zaczynały wyć wniebogłosey. Zdarzały się również sytuacje, kiedy ujawniała swą wiedzę i zdolności językowe nader osobliwej - i budzącej grozę - natury, jak na dziewczynę w tak młodym wieku. Potrafiła przerazić koleżanki i kolegów w nie wyjaśniony bliżej sposób samymi tylko uśmieszkami, mrugnięciami i mimiką twarzy, a obecna sytuacja zdawała się napawać ją dziwnym w swej istocie cynizmem.

Najbardziej niezwykle były wszelako potwierdzone sytuacje, kiedy to ujawniała swój wpływ na ludzi. Bez wątpienia była utalentowaną hipnotyzerką. Wystarczyło, że przyjrzała się baczniej wybranemu uczniowi, a doświadczał on niewytłumaczalnego wrażenia zamienionej tożsamości, jak gdyby znalazł się na chwilę w ciele czarodziejki i mógł patrzeć zeń na swe prawdziwe ciało o pałających oczach przepełnionych wyrazem dziwnej obcości.

Asenath często snuła wynaturzone teorie o naturze świadomości oraz jej niezależności od fizycznego naczynia, a w każdym razie od procesów życiowych powłoki. Najbardziej jednak złościło ją, że nie była mężczyzną, wierzyła bowiem, iż męski umysł dysponował pewnymi szczególnymi i dalekosiężnymi kosmicznymi mocami. Dysponując mózgiem mężczyzny, oznajmiła, nie tylko mogłaby dorównać, lecz nawet prześcignąć swego ojca w posługiwaniu się niezbadanymi, nieznanymi potęgami.

Edward spotkał Asenath na zebraniu „inteligencji”, odbywającym się w pokoju jednego z uczniów, i gdy spotkaliśmy się dzień później, nie był w stanie mówić o niczym innym. Uznał ją za pełną najróżniejszych zainteresowań erudytkę, co szczególnie go urzekło, lecz największe wrażenie wywarł na nim jej wygląd. Nigdy jej nie widziałem i plotki na jej temat docierały do mnie stosunkowo rzadko, lecz od razu zorientowałem się, o kogo chodzi. Trochę się boczyłem, że Edward zainteresował się właśnie nią, lecz nie powiedziałem nic, by go do niej zniechęcić, gdyż

mogłoby to mieć zupełnie odmienny skutek. Jak wyznał, nie powiedział o niej ojcu.

W następnych tygodniach Derby mówił niemal wyłącznie o Asenath. Inni zaczęli teraz zwracać uwagę na dostojną galanterię i rycerskość Derby'ego, choć wszyscy bez wyjątku przyznawali, że nie wyglądał na swoje lata, i wydawało się to dziwne z uwagi na rzeczy, jakimi się parał. Miał tylko nieduży brzusek, choć w ogóle nie dbało linię ani nie ćwiczył, a na jego twarzy nie było choćby jednej zmarszczki. Asenath natomiast miała w kącikach oczu kurze łapki, efekt długotrwałych ćwiczeń siły woli.

Mniej więcej wtedy Edward zjawiał się, by przedstawić mi swoją dziewczynę, i w mig zorientowałem się, że jego zainteresowania nie pozostają nie odwzajemnione. Patrzyła nań nieustannie, jak dzika kotka, i zrozumiałem, że nic nie było w stanie przerwać łączącej ich więzi. Wkrótce potem odwiedził mnie stary pan Derby, którego zawsze podziwiałem i szanowałem. Usłyszał on o przyjaciółce swego syna i wyciągnął od „chłopca” całą prawdę. Edward zamierzał poślubić Asenath i rozglądał się za domem na przedmieściach.

Wiedząc, że zawsze miałem na jego syna ogromny wpływ, pan Derby zastanawiał się, czy mógłbym pomóc jakoś w zerwaniu tej podejrzanej znajomości, ja wszelako z żalem podzieliłem się z nim swymi wątpliwościami. Tym razem nie chodziło o słabą wolę Edwarda, lecz o silną wolę kobiety. Wieczne dziecko przeniosło swe uzależnienie z ojca na nowego, silniejszego opiekuna i nie sposób było temu zaradzić.

Ślub odbył się miesiąc później, przed obliczem sędziego pokoju, zgodnie z życzeniem panny młodej. Pan Derby za moją radą nie wyraził sprzeciwu i wraz ze mną, moją żoną i synem wziął udział w krótkiej ceremonii, w której uczestniczyła również grupka studentów z college'u. Asenath nabyła stary dom Crowninshieldów na przedmieściu, przy końcu High Street, gdzie młodzi mieli zamieszkać po krótkiej wycieczce do Innsmouth, skąd

planowali sprowadzić trzech służących, trochę książek i mebli. Prawdopodobnie życzeniem zarówno Edwarda, jak i jego ojca było, aby młodzi zamieszkali niedaleko uczelni, tamtejszej biblioteki i rzeszy kolegów, i głównie dlatego Asenath zdecydowała się pozostać w Arkham, miast powrócić na stałe do rodzinnej miejscowości.

Kiedy Edward zadzwonił do mnie po miodowym miesiącu, wydawało mi się, że trochę się zmienił. Asenath poleciła mu zgolić rzadki wąsik, ale chodziło o coś jeszcze. Wydawał się bardziej poważny i zamyślony, dziecięcą buntowniczość zastąpił w nim wyraz szczerego smutku. Trudno mi było określić, czy ta zmiana przypadła mi do gustu czy też nie. Naturalnie wydawał się teraz znacznie doroślejszy, dojrzalszy niż dotychczas. Może małżeństwo mu „posłużyło”, sprawiło, że nie tyle zmienił obiekt swego uzależnienia, ile był bliski zupełnej neutralizacji prowadzącej z kolei do osiągnięcia ostatecznej dojrzałości i odpowiedzialności. Zjawił się sam, Asenath była bowiem bardzo zajęta. Sprowadziła z Innsmouth mnóstwo książek i najróżniejszych urządzeń (wymawiając nazwę miasta, Derby wyraźnie się wzdrygnął) i kończyła właśnie odnawianie posesji Crowninshieldów.

Jej dom w owym mieście był raczej odrażającym budynkiem? lecz dzięki znajdującym się tam sprzętom Edward zdołał nauczyć się wielu zdumiewających rzeczy. Pod kierunkiem Asenath szybko poznawał wiedzę ezoteryczną. Niektóre z proponowanych przez nią eksperymentów były nader śmiałe - nie wyznał mi, na czym konkretnie polegały - lecz wierzył w jej intencje oraz moce, jakimi dysponowała. Trójka służących była wyjątkowo dziwaczna - niewiarygodnie stara para, która najwyraźniej służyła jeszcze staremu Ephraimowi i w zagadkowy sposób zwracała się niekiedy do niego i nieżyjącej matki Asenath, oraz młoda śniada dziewczyna o osobliwym wyglądzie, niemal stale wydzielająca nieprzyjemny rybi odór.

### III

Przez następne dwa lata widywałem Derby'ego coraz rzadziej. I dwa tygodnie mijały niekiedy bez znajomego, charakterystycznego pukania do drzwi, a kiedy się zjawiał lub, co zdarzało się coraz częściej, gdy ja zaglądałem do niego, nie przejawiał zbytnej ochoty do rozmów na ważne tematy. Stał się skryty, stronił od opowieści o naukach okultystycznych, którymi się parał i o których zwykle mówił nader wylewnie, i unikał rozmów o swojej żonie. Od czasu ich małżeństwa znacznie się postarzała i obecnie - co mogło wydawać się nieprawdopodobne - wyglądała na starszą od Edwarda. Na jej twarzy widniał przeważnie wyraz zaciętej determinacji, a całą postawą wzbudzała trudną do wytłumaczenia odrazę. Moja żona i syn również zwrócili na to uwagę i stopniowo przestaliśmy ją odwiedzać całą rodziną, za co, jak wyznał Edward w jednym z rzadkich już przejawów chłopięcego nietaktu, była nam nieskończenie wdzięczna. Od czasu do czasu Derby'owie wybierali się w długie podróże - zazwyczaj do Europy, aczkolwiek Edward napomykał niekiedy o nieco bardziej mrocznych i złowrogich punktach docelowych.

Po pierwszym roku ich małżeństwa ludzie zaczęli plotkować o zmianie, jaka zaszła w Edwardzie Derby'm. Mówiono ogólnikami, gdyż zmiana była czysto psychologiczna, niemniej zwrócono uwagę na kilka wyjątkowo ciekawych spraw. Zauważono, iż Edward dziwnie wygląda i robi rzeczy, od których zazwyczaj stronił. Na przykład w przeszłości nigdy nie prowadził auta, nie umiał prowadzić, a widziano go nieraz, jak wyjeżdżał bądź wjeżdżał na podjazd przed domem potężnym packardem należącym do Asenath, radząc sobie niczym mistrz kierownicy, w labiryncie ulic

natomiast wykazywał zręczność i determinację obcą dotąd jego naturze. Zawsze widywano go, gdy wracał lub udawał się dokądś. Nikt jednak nie potrafił stwierdzić dokąd, choć zwykle dostrzegano go, gdy zjeżdżał na szosę lub z szosy prowadzącej do Innsmouth.

To zdumiewające, lecz przemiana owa nie wyszła mu wcale na lepsze. Ludzie mówili, że nazbyt w tych momentach przypominał swoją żonę lub samego starego Ephraima Waite'a, lecz może chwile owe wydawały się tak osobliwe z uwagi na to, iż były rzadkie. Czasami, w kilka godzin po takim wyjeździe, powracał do domu rozciągnięty bezwładnie na tylnym siedzeniu auta, podczas gdy za kierownicą siedział niewątpliwie wynajęty przezeń kierowca lub mechanik. Jego coraz częstsze wyjazdy odbiły się niekorzystnie na wizytach u znajomych i przyjaciół (w tym także u mnie), niemniej wszyscy zauważali, że to, co stanowiło wizytówkę Edwarda - jego chłopięcy wygląd, nie zmieniło się ani na jotę. Podczas gdy oblicze Asenath się starzało, Edwarda, z rzadkimi wyjątkami, przyjmowało wyraz pełnej odprężenia, przesadnej wręcz niedojrzałości, zmieniając się tylko czasami, gdy padł na nie cień jakiegoś nieokreślonego smutku lub zrozumienia.

Wszystko to było nader zagadkowe. Tymczasem Derby'owie prawie zupełnie przestali spotykać się z grupą studentów z college'^ i to nie dlatego, iż byli zniesmaczeni występkami, w jakich brali udział, lecz, jak słyszeliśmy, to właśnie owi studenci, w tym także najbardziej dekadency spośród nich, byli wstrząśnięci plugawością badań prowadzonych przez młode małżeństwo.

W trzecim roku swego małżeństwa Edward zaczął otwarcie nadmieniać mi o pewnych trapiących go lękach i zawodach, jakich doznał. Wspominał, że pewne sprawy „zaszły za daleko”, i choć nie pojmowałem, co miał na myśli, perorował o potrzebie odzyskania swej tożsamości. Początkowo ignorowałem jego słowa, lecz po pewnym czasie zacząłem go ostrożnie wypytywać, przypomniawszy sobie, co córka mego przyjaciela mówiła o

hipnotycznym wpływie Asenath na inne dziewczęta w szkole (sytuacje, kiedy to uczniowie i uczennice mieli wrażenie, jakby znajdowali się w jej ciele i jej oczyma wpatrywali się w swoje własne ciała stojące nieopodal). Pytania z mojej strony w pewnym stopniu go uspokoiły, ale i zaniepokoiły, i choć był mi wdzięczny, któregoś razu mruknął pod nosem, iż będzie musiał odbyć później ze mną poważną rozmowę.

Mniej więcej w tym właśnie czasie zmarł stary pan Derby i później bardzo się z tego cieszyłem. Dla Edwarda był to wielki wstrząs, choć ta tragedia nie zdeorganizowała bynajmniej jego poczynań. Od dnia ślubu prawie nie widywał się z ojcem, gdyż w osobie Asenath zogniskował całą swą potrzebę przynależności i rodzinnego uzależnienia. Niektórzy zaczęli uważać go za nieczułego, zwłaszcza że odtąd jego chimeryczne nastroje i tajemnicze wyjazdy stały się znacznie częstsze. Pragnął wprowadzić się na powrót do starej rodowej posesji, lecz Asenath uparła się, by pozostali w domu Crowninshieldów, do którego już się przyzwyczała.

Wkrótce potem moja żona usłyszała od przyjaciółki (jednej z niewielu, które jeszcze odwiedzały Derbych) coś nader osobliwego. Wybrała się ona pewnego dnia z wizytą do Derbych. Gdy dochodziła do High Street, ujrzała wyjeżdżające z podjazdu z piskiem opon auto, za kierownicą którego siedział pewny siebie Edward Derby z drwiącym uśmiechem na ustach. Gdy zadzwoniła do drzwi, odrażająca służąca poinformowała ją, że Asenath również nie ma w domu, zanim jednak odeszła, zauważyła coś, co ją zafrapowało. W oknie biblioteki Edwarda dostrzegła twarz, która pospiesznie odsunęła się od szyby, oblicze, na którym malował się niemożliwy do opisanego wyraz bólu, porażki i kompletnej beznadziei. Była to - i fakt ten mocno ją zdziwił, gdyż to ona wszak była w związku Derbych stroną dominującą - twarz Asenath, a jednak przyjaciółka mojej żony przysięgała, że w tej krótkiej chwili ujrzała smutne, jakby oszołomione oczy nieszczęsnego Edwarda.



Odwiedziny Edwarda stały się w owym okresie trochę częstsze, a jego aluzje bardziej konkretne. W to, co powiedział, trudno było uwierzyć nawet w słynącym z mrocznych tajemnic, nawiedzonym Arkham, niemniej wyjawiał mi swój sekret tak szczerze i przekonująco, że zacząłem lękać się o jego zdrowe zmysły. Opowiedział mi o potwornych spotkaniach w odludnych miejscach, gigantycznych ruinach w leśnej głuszy, gdzieś w Maine, i ogromnych schodach pod nimi, wiodących ku otchłaniom mrocznych sekretów, o sposobach przenikania niewidzialnych murów oddzielających domeny czasu i przestrzeni, jak również o odrażających wymiarach jaźni pozwalających na prowadzenie badań w odległych i zakazanych miejscach, innych światach i odmiennych kontynuach czasoprzestrzennych.

Od czasu do czasu na poparcie swych szalonych wywodów pokazywał mi pewne przedmioty, zbijając mnie kompletnie z tropu - były to obiekty, które pod względem budowy, kształtów i barwy nie miały swych odpowiedników na Ziemi, ich obłądne krzywizny i powierzchnie nie posiadały, zdawałoby się, żadnego logicznego wyjaśnienia i zastosowania, nie zachowywały również praw znanej człowiekowi geometrii. Przedmioty te, wyjaśnił, pochodziły „z zewnątrz”, i to jego żona umiała je zdobywać. Czasami pełnym trwogi i niepewności szeptem rzucał niejasne aluzje dotyczące starego Ephraima Waite’a, którego dawno temu widywałem od czasu do czasu w uczelnianej bibliotece. Nigdy nie mówił o nim nic konkretnego, lecz z jego słów domyślałem się, iż wątpił on, czy stary czarownik był istotnie martwy, zarówno w sensie cielesnym, jak i duchowym.

Niekiedy Derby przerywał gwałtownie swe wyznania i zastanawiałem się, czy Asenath zorientowawszy się, co akurat czynił, nie uciszała go zdalnie za pomocą jakiejś nieznannej techniki telepatycznego mesmeryzmu, mentalną mocą, którą demonstrowała jeszcze w college’u. To oczywiste, że

podejrzewała, iż mi się zwierzał, gdyż usiłowała spojrzeciami i słowami o niezwykłej sile powstrzymać go przed wizytami w moim domu. Docierał do mnie z największą trudnością, bo choć udawał zwykle, że wybiera się gdzie indziej Jakaś niewidzialna siła krępowała jego ruchy lub sprawiała, że na pewien czas zapominał, kogo zamierzał odwiedzić. Zazwyczaj zjawiał się, gdy Asenath gdzieś wyjeżdżała - w swoim własnym ciele - jak dodał któregoś dnia, zabijając mi tymi słowy niełichego ćwieka. Później i tak się o tym dowiadywała-służący kontrolowali, kiedy wychodził i o której wracał, lecz najwyraźniej nie uznała, jak na razie, za stosowne posunąć się do bardziej drastycznych rozwiązań.

## IV

Gdy otrzymałem telegram z Maine w ów sierpniowy dzień, Derby'owie byli ponad trzy lata po ślubie. Nie widziałem Edwarda od dwóch miesięcy, lecz słyszałem, że wyjechał dokądś w interesach. Rzekomo towarzyszyła mu Asenath, choć plotki głosiły, iż w pokoju na poddaszu za podwójnymi zasłonami ktoś się ukrywał. Bacznie śledzono zakupy dokonywane przez służących. Teraz zaś szeryf z Chesuncook donosił mi telegraficznie o bełkoczącym szaleńcu, który wyłonił się z lasu, plotąc coś trzy po trzy i wołając, bym go chronił. Był to Edward, pamiętający jedynie swoje nazwisko i adres.

Chesuncook znajduje się w pobliżu najdzikszego, najszerszego i najmniej zbadanego pasa leśnego w Maine. Dotarcie tam automobilem zajęło cały dzień, dzień gorączkowej szaleńczej jazdy pośród fantastycznego, groźnego i posępnego krajobrazu. Odnalazłem Derby'ego w celi miejskiego aresztu.

Balansował mentalnie pomiędzy szaleńczą furią i apatią. Rozpoznał mnie od razu, wyrzucając z siebie potok na wpół sensownych słów.

– Dań, na miłość Boską! Jama Shoggothów! Sześć tysięcy stopni w dół...

koszmar koszmarów... nie pozwoliłbym, aby mnie przejęła, i nagle znalazłem się tam... la! ShubNiggurath!... Kształt podniósł się z ołtarza, a pięćset zawyło w głos... Istota w kapturze zabeczała: Kamog! Kamog!... tak brzmiało sekretne imię starego Ephraima w Kowenie... Byłem tam, gdzie obiecała nigdy mnie nie zabierać... Minutę wcześniej siedziałem zamknięty w bibliotece, a potem znalazłem się tam, dokąd udała się z moim ciałem... w miejscu największej plugawości, bluźnierczej jamie, gdzie zaczyna się czarna domena, a strażnik strzeże bramy... ujrzałem Shoggotha... to zmieniło kształt... nie zniosę tego... zabiję ją, jeśli wyśle mnie tam ponownie... zabiję tego stwora-jego, ją, to - zabiję ją, zabiję to! Zabiję to moimi własnymi rękoma!

Godzinę zajęło mi uciszanie go, lecz w końcu się uspokoił. Następnego dnia w wiosce nabyłem dla niego porządne ubranie i udałem się wraz z nim do Arkham. Histeryczny gniew już w nim wygasł i Edward przeważnie pogrążony był w milczeniu, raz tylko zamruczał coś posepnie pod nosem, gdy przejeżdżaliśmy przez Augustę, jakby widok tego miasta obudził w nim niemiłe wspomnienia. Nie ulegało wątpliwości, że nie chciał wracać do domu, a zważywszy na fantastyczne urojenia związane z jego żoną, urojeni a będące zapewne wynikiem hipnotycznego seansu, jakiemu został poddany, uznałem, iż byłoby dla niego lepiej, gdyby trzymał się z dala od tego miejsca.

Postanowiłem na pewien czas zatrzymać go u siebie, niezależnie od tego, jak bardzo narażę się przez to Asenath. Później zamierzałem pomóc mu przy rozwodzie, byłem wszak przekonany, że istniały pewne czynniki mentalne, które czyniły ów związek zabójczym dla mego przyjaciela. Gdy

znów znaleźliśmy się na otwartym terenie, mamrotanie Derby'ego przycichło i po pewnym czasie druh mój zapadł w płytki, niespokojny sen.

Gdy o zmierzchu przejeżdżaliśmy przez Portland, Edward ponownie zaczął bełkotać, bardziej zrozumiale niż dotychczas, i gdy się wsłuchałem, wychwyciłem fragment długiej, kompletnie obłąkanej tyrady, której tematem była Asenath. Nietrudno było wy wnioskować, jak okrutnie zszargała nerwy nieszczęsnego Edwarda, utkał on bowiem wokół jej osoby gruby całun urojeń i halucynacji. Jego obecna przypadłość stanowiła zaledwie pojedynczy element długiej serii. Zamykała wokół niego swój uścisk i wiedział, że któregoś dnia już go nie wypuści. Nawet teraz uczyniła to zapewne z konieczności, gdyż nie potrafiła jeszcze zapanować nad nim na dłużej. Raz po raz przejmowała jego ciało i udawała się do zapomnianych, nie nazwanych miejsc, by odprawiać tam zakazane rytuały, pozostawiając go w jej własnej powłoce, zamkniętego w pokoiku na piętrze. Niekiedy jej moc słabła i oto znajdował się nagle znowu w swej własnej powłoce cielesnej, w jakimś odległym, przerażającym i może również nieznanym miejscu. Czasami udawało się jej przejąć go ponownie, innym razem nie. Często pozostawiała go, by błądził po nie znanej mu okolicy, tak jak wtedy, gdy go odnalazłem, zmuszony przez okoliczności do szukania drogi do domu z przerażających, najbardziej odludnych zakątków kraju, skłoniwszy uprzednio kogoś do poprowadzenia dłań auta.

Najgorsze zaś było to, że za każdym razem przejmowała jego ciało na trochę dłużej. Chciała być mężczyzną, pragnęła być w pełni człowiekiem i dlatego w nim upatrzyła sobie ofiarę. Wyczuła w nim bystry umysł i słabą wolę.

Któregoś dnia przejęłaby go całkowicie i zniknęła wraz z jego ciałem, aby stać się wielkim czarownikiem, jak jej ojciec, pozostawiając Edwarda w tej kobiecej skorupie, która na dodatek nie była nawet w pełni ludzka. Tak, teraz wiedział już o krwi mieszkańców Innsmouth. Zawierano pakt z

istotami zamorskich odmętów... to było przerażające... I stary Ephraim... on znał tajemnicę, a gdy posunął się w latach, uczynił odrażającą rzecz, by pozostać przy życiu... pragnął nieśmiertelności... Asenath mogło się udać... jedna skuteczna demonstracja już się wydarzyła.

W miarę jak Derby szeptał pod nosem, odwróciłem się, by przyjrzeć mu się uważniej, weryfikując wrażenie zmiany, którą zauważyłem u niego wcześniej. Paradoksalnie wydawał się w lepszej formie niż zazwyczaj... twardszy, rozwinięty nieco bardziej niż normalnie, bez oznak chorobliwej miękkości i ślamazarności będących efektem jego lenistwa i samotniczych nawyków. Zupełnie jakby teraz zaczął żyć w pełnym tego słowa znaczeniu, może nawet ćwiczył dla zachowania kondycji - uznałem, że swoją mocą Asenath musiała skłonić go do wyrobienia w sobie większej czujności i większego wysiłku fizycznego, do którego wcześniej nie nawykł. Jego umysł wszelako był w opłakanym stanie, przyjaciel mój bez przerwy snuł obłądne teorie dotyczące jego małżonki, bełkotał o czarnej magii, o starym Ephraimie i wyjawiał pewną rewelację, która nawet mnie była w stanie przekonać.

Powtarzał nazwy i imiona, które znałem dzięki lekturze w przeszłości pewnych zakazanych woluminów, i dreszcz nieraz przeszedł mi po plecach, gdy skonstatowałem, że w jego szaleństwie była jednak pewna metoda. Raz po raz przerywał, jakby zbierał w sobie odwagę do finalnego, mrozącego krew w żyłach wyznania.

– Dań, Dań, nie pamiętasz go... dziki wzrok i zmierzwiona broda, która nigdy nie posiwała? Spojrzał na mnie jeden jedyny raz i nigdy tego nie zapomniałem. Teraz ona patrzy w ten sam sposób. I wiem już dlaczego. To ta formuła... odnalazł ją w „Necronomiconie”. Nie odważę się jeszcze podać ci strony, ale gdy to uczynię, będziesz mógł sam to przeczytać, a wtedy pojmiesz. I zrozumiesz, co mną owładnęło. Z ciała do ciała, z ciała do ciała, z ciała do ciała... on nie zamierza umrzeć. Nigdy. Płomyk życia...

umie przerwać więź... płomyk może płonąć jeszcze przez czas jakiś po śmierci ciała. Rzucę kilka aluzji, może się domyślisz. Posłuchaj, Dań, czy wiesz, dlaczego mojej żonie sprawia tyle trudu pisanie odręczne tymi drobnymi, pochylonym do tyłu literami? Czy widziałeś kiedy rękopis starego Ephraima?

Chcesz wiedzieć, dlaczego przeszły mnie dreszcze na widok kilku odręcznych notatek sporządzonych naprędce przez Asenath?

Asenath. Czy w ogóle istnieje ktoś taki? Dlaczego pewne plotki głosiły, że w żołądku starego Ephraima znajdowała się trucizna? Dlaczego Gilmanowie szeptem opowiadają o tym, jak krzyczał, niby przerażone dziecko, kiedy stracił zmysły, a Asenath zamknęła go w wytłumionym pokoju na poddaszu, gdzie odtąd - on lub ktoś inny - przebywał? Czy to dusza starego Ephraima została uwięziona? Kto kogo uwięził? Dlaczego wiele długich miesięcy poszukiwał kogoś o bystrym umyśle i słabej woli? Dlaczego zżymał się, że miał córkę, a nie syna? Odpowiedz, Danielu Upton, jakaż szatańska wymiana dokonała się w tym domu grozy, gdzie na łasce bluźnierczego, plugawego monstrum znalazło się ufne, pokorne, na wpół ludzkie dziecko? Czyżby nie udało mu się osiągnąć zupełnej wymiany, jak ta, którą w końcu przeprowadzono na mnie? Powiedz, dlaczego to coś, co nazywa siebie Asenath, miewa napady mimowolnego, mechanicznego pisania i wtedy jej pisma nie sposób odróżnić od...

I wtedy to się stało. Głos Derby'ego przeszedł w cichy, drżący krzyk i nagle ucichł, zupełnie jakby ktoś lub coś go wyłączyło. Niemal słyhać było trzask mechanicznego przełącznika. Sięgnąłem pamięcią wstecz, do innych tego typu przypadków, jeszcze w moim domu, kiedy druh mój nagle tracił pewność siebie, ja zaś usiłowałem wyobrazić sobie tajemniczą falę mentalnej energii Asenath napływającą, by go uciszyć. To wszakże było coś innego - i jak mi się wydało, stokroć bardziej przerażającego. Twarz obok mnie przez chwilę była wykrzywiona nie do poznania, przez całe ciało

natomiast przechodziło silne drżenie, zupełnie jakby kości, organy, mięśnie, nerwy i gruczoły przystosowywały się do całkowicie odmiennej osoby, pełnej stresów, o zupełnie innej osobowości.

Nie potrafię stwierdzić, co było w tym najstraszniejsze, ale nagle ogarnęła mnie przyprawiająca o mdłości fala wstrętu i odrazy, mrozące krew w żyłach wrażenie kompletnej obcości i chorobliwej odmienności, tak silne, że chwyt mych dłoni na kierownicy stał się w jednej chwili słaby i niepewny. Postać obok mnie bardziej niż mego długoletniego przyjaciela przypominała monstrum z kosmosu, plugawą, przekłętą i złowrogą ogniskową nieznaną, a złowieszczych kosmicznych sił.

Zmitygowałem się już po chwili, gdy wtem towarzysz mój schwycił za kierownicę i zmusił, bym zamienił się z nim na miejsca. Zapadł zmierzch, światła Portland zaś zostały daleko w tyle, dlatego nie widziałem dobrze jego twarzy. Blask jego oczu był jednak niesamowity; wiedziałem, że musiał znajdować się w stanie osobliwej tryskającej energią witalności, tak dla niego nietypowej, a obserwowanej zarówno przeze mnie, jak i przez wielu innych.

Wydawało się dziwne i niewiarygodne, że apatyczny Edward Derby, nie potrafiący przyjąć na siebie żadnego psychicznego brzemienia i nie umiejący prowadzić, mógł mi rozkazywać i zmusić do oddania mu kierownicy, ale tak właśnie było. Przez pewien czas nie odzywał się do mnie, za co, ogarnięty niewyjaśnioną trwogą, byłem mu niezmiernie wdzięczny.

W światłach Biddeford i Saco ujrzałem jego zacięte usta i zadrzałem, widząc pałające wewnętrznym ogniem oczy. Ludzie mieli rację, w tym stanie wyglądał kubek w kubek jak jego żona i jak stary Ephraim. Nie dziwiło mnie, że nie przepadano za jego humorami, niewątpliwie było w nich coś nienaturalnego, mnie natomiast ów element wydał się jeszcze bardziej złowieszczy z uwagi na usłyszane niedawno szaleńcze majaczenia.

Ten człowiek, którego od lat znałem jako Edwarda Pickmana Derby'ego, był kimś obcym - intruzem z nieznanego i nienazwanego mrocznego otchłani.

Gdy się w końcu odezwał, jego głos wydał mi się całkowicie obcy. Był głębszy, pewniejszy i bardziej zdecydowany niż ten, który znałem, podczas gdy akcent i wymowa zupełnie inne. Niemniej jednak w jego głosie wychwyciłem coś, co obudziło z dawna uspięte, choć, jak na razie, bliżej niesprecyzowane i niepokojące wspomnienia. Odniosłem wrażenie, że słyszę pobrzmiewającą w tembrze głosu nutę silnej i szczerzej ironii, nie tej jednak rażącej i pozbawionej znaczenia pseudoironii, którą określał mianem „przemądrzałej” i z którą się niekiedy obnosił, lecz coś pierwotnego, posępnego, rozprzestrzeniającego się i potencjalnie złego. Zachodziłem w głowę nad jego osobliwą pewnością siebie, która pojawiła się tak szybko po okresie bełkotliwego, wywołanego paniką majaczenia.

– Mam nadzieję, że zapomnisz o moim niedawnym ataku, Upton - powiedział.

– Wiesz, w jakim stanie są moje nerwy, i wierzę, że potrafisz wybaczyć podobne wybryki. Jestem ci, oczywiście, ogromnie wdzięczny, że odwiozłeś mnie do domu. Musisz też zapomnieć szalone teorie, jakie mogłem snuć o mojej żonie i o innych sprawach. Tak to już bywa, gdy ktoś przesadzi z badaniami związanymi z dziedziną, którą się param. Moja filozofia pełna jest dwuznacznych pojęć i koncepcji, a kiedy umysł pęka od ich natłoku, zaczyna wymyślać najbardziej nieprawdopodobne brednie. Teraz będę musiał odpocząć - przez jakiś czas się nie zobaczymy i nie wiń za ten stan rzeczy Asenath. Podróż była dość niezwykła, choć wszystko to jest w gruncie rzeczy proste. W północnych lasach istnieją pewne prastare indiańskie relikty, słupy kamienne, mające olbrzymie znaczenie pod względem folklorystycznym, o czym Asenath i ja niedawno się dowiedzieliśmy. To bardzo nas zaniepokoiło.



Poszukiwania były dość wyczerpujące i dlatego mogło się wydawać, że straciłem rozum. Kiedy wrócę do domu, będę musiał posłać kogoś po samochód. Miesiąc odpoczynku i znów stanę na nogi. Nie pamiętam swego udziału w tej rozmowie, gdyż pochłonięty byłem bez reszty wychwytywaniem oznak obcości u mego towarzysza podróży. Z każdą chwilą narastało we mnie uczucie ulotnej, kosmicznej zgrozy, które przerodziło się w nie dające mi spokoju pragnienie jak najszybszego zakończenia tej przejażdżki. Derby nie oddał mi kierownicy, a ja byłem rad, że tak szybko zostawiliśmy za sobą Portsmouth i Newburyport.

Na skrzyżowaniu, gdzie główna autostrada skręca w głąb lądu i omija Innsmouth, przeżyłem chwilę trwogi, lękając się, że mój szofer wybierze posępną, mroczną szosę wiodącą do tej przeklętej miejscowości. Nie uczynił tego jednak, lecz w pędzie przemknął przez Rowley i Ipswich, zmierzając ku naszemu wspólnemu celowi. Dotarliśmy do Arkham przed północą, światła w starym domu Crowninshieldów wciąż się paliły. Derby wysiadł z auta, powtarzając pospiesznie słowa podziękowania, ja natomiast z niewyjaśnioną ulgą czym prędzej pojechałem do domu. To była potworna przejażdżka, tym straszniejsza, że nie potrafiłem powiedzieć, dlaczego taką mi się jawiła, i nie żałowałem wcale zapowiadanej przez Derby'ego dłuższej przerwy w naszych spotkaniach. Następne dwa miesiące obfitowały w plotki. Ludzie mówili, że coraz częściej widywali Derby'ego w stanie nietypowego dlań ożywienia i ekscytacji, Asenath natomiast pokazywała się nad wyraz rzadko. Edward odwiedził mnie tylko raz, krótko, przyjeżdżając autem Asenath, które, jak mi wyjawiał, pozostawił gdzieś w Maine, aby odebrać pożyczone mi ongiś książki. Był odmieniony i odjechał, wymieniwszy tylko parę zdawkowych uprzejmości. Nie ulegało wątpliwości, że w tym nowym stanie nie ma ze mną zbytnio o czym rozmawiać, ja natomiast zwróciłem uwagę, iż dzwoniąc do drzwi, zrezygnował ze swego tradycyjnego sygnału trzy na dwa. Podobnie tamtego

wieczoru, w aucie, poczułem trawiący mnie gdzieś w środku niesprecyzowany lęk, którego nie potrafiłem wyjaśnić, niemniej gdy się w końcu rozstaliśmy, poczułem niemal cudowną ulgę.

W połowie września Derby wyjechał na tydzień, a kilka osób spośród dekadencjonalnej sekretnej grupy w college'u jęło żywo rozpowiadać, co rzekomo miało być celem owej wyprawy. Sugerowali mianowicie, iż Edward zamierzał spotkać się z pewnym znanym przywódcą sekty, niedawno wydalonym z Wielkiej Brytanii, który założył nową siedzibę swego kultu w Nowym Jorku. Co do mnie, nie byłem w stanie zapomnieć o naszej dziwnej przejażdżce z Maine do Arkham. Przemiana, której byłem świadkiem, wywarła na mnie wstrząsające wrażenie i przyłapywałem się, że raz po raz próbuję wyjaśnić sobie owo zdarzenie, głównie z uwagi na trwogę, jaką we mnie wzbudziło.

Najdziwniejsze wszelako plotki dotyczyły płaczu dochodzącego z wnętrza domu Crowninshieldów. Głos zdawał się kobiecy, niektórzy, zwłaszcza ci młodszy, upierali się, że należał do Asenath. Słyszany był z rzadka i niekiedy urywał się nagle, jakby zdławiono go siłą. Mówiono o dochodzeniu, lecz zostało ono wstrzymane, gdy pewnego dnia Asenath pojawiła się w mieście, rozmawiając z wieloma ludźmi, przepraszając za swą przedłużającą się nieobecność i opowiadając niejako na marginesie o załamaniu nerwowym oraz napadach hysterii pewnego gościa z Bostonu. Gościa tego nikt nigdy nie widział, lecz pojawienie się Asenath położyło kres plotkom. I wtedy ktoś dolał oliwy do ognia, twierdząc, że raz czy dwa słyszał dochodzący z poddasza szloch mężczyzny.

Pewnego wieczoru w połowie października usłyszałem znajomy sygnał dzwonka u drzwi. Otworzywszy je, ujrzałem w progu mężczyznę i w okamgnieniu zorientowałem się, że był to mój stary druh we własnej osobie, którego nie spotkałem od dnia owej przerażającej przejażdżki z Chesuncook.

Jego oblicze pulsowało, przepełnione mieszaniną różnych emocji, w których prym wiodły lęk i triumf. Edward z niepokojem obejrzał się przez ramię, kiedy zamknąłem za nim drzwi.

Podążając za mną niezdarnie do gabinetu, poprosił o szklaneczkę whisky, by ukoić stargane nerwy. Z pytaniami wstrzymałem się, czekając, że sam powie mi to, co miał do powiedzenia. Wreszcie przemówił drżącym głosem: - Asenath odeszła, Dań. Odbyliśmy ostatniej nocy długą rozmowę, służących nie było już w domu i zmusiłem ją, by obiecała, że przestanie na mnie zerować. Oczywiście miałem pewne... pewne okultystyczne środki obronne, o których nigdy ci nie wspomniałem. Musiała się poddać, choć ogarnęła ją straszliwa wściekłość. Po prostu spakowała się i wyruszyła do Nowego Jorku.

Wyszła, żeby zdążyć na ten o ósmej dwadzieścia do Bostonu. Przypuszczam, że ludzie będą plotkować, lecz nic nie mogę na to poradzić. Nie musisz nikomu o tym mówić, powiedzmy, że wybrała się na długą wyprawę badawczą. Prawdopodobnie zostanie z którąś z tych jej przerażających sekt.

Mam nadzieję, że uda się na zachód i zażąda rozwodu, tak czy inaczej, wymusiłem od niej obietnicę, że będzie się trzymać z dala i zostawi mnie w spokoju. To było straszne, Dań, ona kradła moje ciało, wypierała mnie, czyniła ze mnie więźnia. Stuliłem uszy po sobie i udawałem, że jej na to wszystko pozwalałam, lecz musiałem zachować czujność. Mogłem opracowywać swój plan, przy zachowaniu pewnej ostrożności, gdyż ona nie potrafiła, ani w przenośni, ani dosłownie, czytać w moich myślach.

Domyśliłaby się, że coś knuję jedynie po nagłej zmianie mego nastroju na buntowniczy i pełen werwy, ale ona zawsze sądziła, że jestem kompletnie bezradny. Nigdy nie brała pod uwagę, że mógłbym ją wywieść w pole... aczkolwiek raz czy dwa pokonałem ją koncertowo.

Derby obejrzał się przez ramię i upił łyk whisky.

– Dziś rano, kiedy ci przekłęci służący wrócili, z miejsca ich zwolniłem.

Niezbyt im się to spodobało i zadawali mnóstwo pytań, ale w końcu wzięli swoją odprawę i poszli sobie. Są z tej samej gliny co ona - to ludzie z Innsmouth i byli jej oczyma i uszami. Mam nadzieję, że zostawią mnie w spokoju. Nie spodobało mi się, jak się śmiali, gdy odchodzili. Muszę znów nająć możliwie jak najszybciej starych służących mojego ojca. Wracam do domu. Podejrzewam, że uznasz mnie za obłąkanego, Dań, lecz w historii Arkham znajdziesz pewne szczegóły, które mogłyby potwierdzić prawdziwość mych słów, tego, co już wiesz i co zamierzam dopiero ci wyjawić. Ty również byłeś świadkiem jednej z przemian, wtedy w twoim samochodzie, po tym, jak opowiedziałem ci o Asenath. Właśnie wtedy znów mnie dopadła, wyrugowała mnie-z mego ciała. Ostatnie, co pamiętam, to jak próbowałem zebrać się w sobie i powiedzieć ci, czym jest ta diablica. I wtedy mnie pochwytiła, a w chwilę potem znów byłem w swoim domu, w bibliotece, gdzie zamknęli mnie ci przekłęci służący, i w ciele tej przekłętej diablicy... która nie jest nawet istotą ludzką... Wiesz zapewne, że to z nią - tą waderą w ludzkim ciele - wracałeś wtedy do Arkham. Powinieneś był wychwycić różnicę!

Derby przerwał, a ja wzdrygnąłem się mimowolnie. Oczywiście, że wychwyciłem różnicę, lecz czy mogłem przyjąć tak obłądne i niesamowite wyjaśnienie? Po chwili wypowiedź mego rozgorączkowanego gościa stała się jeszcze bardziej szalona.

– Musiałem siebie ocalić, musiałem, Dań! Nie dalej jak do Hallowmass przejeżdżałyby mnie całkowicie, oni urządzają sabat w górach niedaleko Chesuncook, i złożona tam ofiara przypieczetowałyby proces wymiany. Na dobre znalazłbym się w jej mocy, stałaby się mną, a ja nią, na zawsze - za późno - moje ciało byłoby jej, na stałe, stałaby się mężczyzną i człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, jak tego pragnęła, mnie natomiast zapewne by usunęła, zabiłaby swoje stare ciało, z moją jaźnią w środku. Niech ją

piekło pochłonie. Tak zrobiła już wcześniej, w przeszłości - ona, on, lub może raczej to...

Twarz Edwarda Derby'ego wykrzywił teraz drapieżny grymas, gdy nachyliwszy się w moją stronę, zaczął szeptać z szaleńczym zapałem.

– Musisz wiedzieć prawdę, w samochodzie próbowałem wyjawić ci ją półsłówkami - Asenath nie jest w rzeczywistości żadną Asenath, lecz starym Ephraimem w przejętym przezeń ciele. Domyśliłem się tego półtora roku temu, teraz zaś mam niezbitą pewność. Widać to po jej charakterze pisma, kiedy się zapomni, czasami litery wydają się kubek w kubek takie same jak w manuskryptach jej ojca, niekiedy też mówi coś, czego nie powiedziałby nikt poza starym Ephraimem. Zamienił się z nią na ciała, kiedy poczuł, że zbliża się śmierć, nie miał prócz niej nikogo obdarowanego odpowiednim umysłem i dostatecznie słabą wolą - przejął jej ciało na stałe, tak jak ona nieomal owładnęła moim, a potem otruł stare ciało, do którego przesłał wyrugowaną jaźń. Czy nigdy nie zauważyłeś, jak w oczach tej diablicy błyszczą ogniki duszy Ephraima, a w jej źrenicach moje, gdy przejmowała kontrolę nad moim ciałem?

Mój szepczący przyjaciel zadyszał się i zrobił chwilę przerwy, aby odsapnąć. Nie odezwałem się ani słowem, kiedy zaś ponownie podjął swój wywód, jego głos brzmiał prawie normalnie. Podejrzewałem, iż był to przypadek nadający się do zakładu dla obłąkanych, lecz nie ja poślę tam Edwarda. Może upływ czasu i brak Asenath okażą się dla Derby'ego cudownym lekarstwem. Byłem pewien, że nigdy już nie będzie parał się okultyzmem.

– Więcej opowiem ci później - teraz muszę odpocząć, i to długo. Opowiem ci co nieco o zakazanych koszmarach, które nawet teraz pienią się w mrocznych, cuchnących śmiercią i zgnilizną zakątkach, podtrzymywane przy życiu przez oddanych im kapłanów. Są ludzie, co wiedząc wszechświecie rzeczy, które nikomu nie powinny być wiadome, i

potrafią czynić rzeczy, do których dokonania nikt nie powinien być zdolny. Siedziałem w tym po uszy, lecz teraz definitywnie z tym kończę. Gdybym był bibliotekarzem w Miskatonic, dziś jeszcze spaliłbym ten przeklęty „Necronomicon” i całą resztę owych plugawych ksiąg.

Wiem wszelako, że ona nie może mnie już osiągnąć. Muszę wynieść się z tego przeklętego domu, najszybciej jak to możliwe, i wrócić do mej rodzinnej posesji. Gdybym potrzebował pomocy, wiem, że mi jej nie odmówisz.

Wiesz, ci diabelscy służący... i natrętni ludzie, mogą za bardzo wypytywać o Asenath. Rozumiesz, że nie mogę podać im jej adresu... Poza tym są jeszcze grupy poszukiwaczy... pewne sekty, których członkowie mogliby opacznie pojąć przyczyny naszego rozstania... niektórzy z nich wyznają nader osobliwe idee i miewają doprawdy zdumiewające pomysły. Wiem, że jeśli coś się wydarzy, staniesz po mojej stronie, nawet gdybym miał wyjawić ci prawdy, od których włos jeży się na głowie...

Edward został u mnie i tę noc spędził w jednej z gościnnych sypialni, rankiem zaś wydał mi się spokojniejszy. Rozmawialiśmy o możliwościach poczynienia pewnych przygotowań do jego powrotu na posesję Derbych i miałem nadzieję, że nie będzie z tym zwlekał. Nie zjawił się następnego wieczoru, lecz przez następne tygodnie widywałem go dosyć często.

Rozmawialiśmy możliwie jak najmniej o rzeczach dziwnych i nieprzyjemnych, natomiast chętnie dyskutowaliśmy o odnowieniu starego domu Derbych i podróżach, w jakie Edward obiecywał zabrać mnie i mego syna latem przyszłego roku.

O Asenath nie mówiliśmy prawie w ogóle, wiedziałem bowiem, iż był to dla mego druha wyjątkowo trudny i drażliwy temat. Plotek pojawiło się, rzecz jasna, co niemiara, nie były one wszelako niczym nowym, skoro chodziło o dziwnych mieszkańców domu Crowninshieldów. Nie przypadła mi do gustu jedynie nadmierna hojność bankiera Derby’ego, wysyłającego

na polecenie Edwarda spore sumki Mosesowi i Abigail Sargentom oraz Eunice Babson z Innsmouth. Wyglądało na to, że służący o złych twarzach wymusili od niego jakiś haracz, choć nie wspomniał mi o tym ani słowem.

Pragnąłem, by nadeszło już lato i rozpoczęły się wakacje studiującego na Harvardzie mego syna, abyśmy we trzech, wraz z Edwardem, mogli wybrać się do Europy. Wkrótce przekonałem się, iż nie dochodził on do siebie tak szybko, jak sądziłem. W jego sporadycznych wybuchach wesołości wyczuwało się histerię i zbyt często ogarniały go mroczne depresje i tajemnicze stany lękowe.

Stary dom Derbych był gotowy z początkiem grudnia, niemniej Edward uparcie odwlekał przeprowadzkę. Choć nie znosił i wyraźnie bał się domu Crowninshieldów, wydawał się jego karnym niewolnikiem. Nic nie wskazywało, by zaczął się pakować, i wymyślał coraz to nowe wymówki opóźniające przenosiny. Gdy mu o tym wspomniałem, wydał mi się śmiertelnie przerażony. Stary kamerdyner jego ojca, którego ponownie najął wraz z resztą służby, wyjawiał mi któregoś dnia, że Edwardowi zdarza się krążyć po domu, jakby czegoś szukał. Ulubionym miejscem owych wędrówek zaś zdawały się piwnice ogromnej posesji; wtedy też Derby sprawiał wrażenie osobliwie zamyślonego, jak gdyby nie był sobą. Służącemu nie przypadło to do gustu i nie omieszkał podzielić się ze mną swymi obawami. Zastanawiałem się, czy Asenath przysyłała mu niepokojące listy, lecz kamerdyner powiedział, że jego pan nie otrzymywał od niej żadnej poczty. Około Bożego Narodzenia Derby podczas wizyty u mnie kompletnie się załamał. Kierowałem właśnie rozmowę ku wyprawie zaplanowanej na przyszłe wakacje, gdy nagle zerwał się z krzykiem z krzesła, w napadzie kosmicznej paniki i odrazy, którą do zdrowego umysłu mogą przywieść jedynie najdalsze otchłanie niewyobrażalnych koszmarów.

– Mój umysł! Mój umysł! Boże, Dań... to mnie ciągnie, z otchłani... rozbija... szarpie... wdziera się... ta diablica... właśnie teraz... Ephraim...

Kamog! Kamog!... jamaShoggotów... la! ShubNiggurath! Koza z Tysiącem Młodych!... Ogień... ogień... poza życiem... na ziemi... o Boże!

Posadziłem go z powrotem na krzesło i gdy wlałem mu do gardła trochę wina, uspokoił się, zapadając w stan posępnej apatii. Nie opierał się, lecz jego wargi poruszały się, jakby mówił do siebie. W końcu zrozumiałem, że próbował mówić coś do mnie, i nachyliłem się, by wychwycić szeptane słowa.

– Znowu, znowu... to ona, próbuje... powinienem był wiedzieć... tej siły nic nie powstrzyma, ani odległość, ani magia, ani nawet śmierć... pojawia się raz po raz, głównie nocami... nie mogę stamtąd odejść... to okropne... o Boże, Dań, gdybyś tylko tak jak ja wiedział, jakie to okropne, przerażające.

Gdy popadł w stan odrętwienia, obłożyłem go poduszkami i pozwoliłem mu zasnąć. Nie zadzwoniłem po lekarza, wiedziałem bowiem, co powiedziałyby o jego zdrowiu psychicznym, ja natomiast, jeśli to było możliwe, chciałem dać szansę naturze. O północy obudził się i położyłem go do łóżka w sypialni na piętrze, rano jednak już go tam nie zastałem. Wyszedł cichaczem, a jego kamerdyner, kiedy zatelefonowałem, wyjawiał, że pan był w domu, w bibliotece, przechadzając się po niej nerwowo.

Po tym zdarzeniu Edward gwałtownie podupadł na zdrowiu. Nie odwiedził mnie ponownie, lecz ja codziennie bywałem u niego. Siedział zwykle w swej bibliotece, patrząc tępo w przestrzeń lub zdawał się czegoś z przejęciem nasłuchiwać. Czasami mówił z sensem, zwykle jednak na banalne tematy.

Byle wzmianka o jego problemach, planach na przyszłość lub Asenath przyprawiała go o wściekłość. Kamerdyner powiedział, że nocami miewał przerażające ataki, i lękał się o zdrowie swego pana.

Odbyłem długie rozmowy z jego lekarzem, bankierem i prawnikiem i w końcu ten pierwszy złożył mu wizytę wraz z dwoma specjalistami,



kolegami po fachu. Po pierwszych kilku pytaniach przyjaciel mój dostał gwałtownych spazmów - wyglądał przy tym żałośnie - i jeszcze tego wieczoru zamkniętą karetką przewieziono wijącego się okrutnie nieszczęśnika do zakładu dla obłąkanych. Przydzielono mi opiekę nad nim i dwa razy w tygodniu dzwoniłem do niego, by niemal wybuchnąć płaczem na dźwięk jego dzikich wrzasków, przeraźliwych szeptów i uporczywego, syczącego powtarzania zdań w rodzaju: - Musiałem to zrobić... tam, na dole... na dole, w ciemnościach... Matko! Matko! Dań! Ocal mnie... ocal mnie...

Nikt nie potrafił stwierdzić, jakie były szanse na jego wyzdrowienie, lecz ja nie traćłem nadziei. Po wyjściu z zakładu Edward musiał mieć odpowiedni dla siebie dom, toteż przenieśliśmy jego służbę do posesji Derbych, co z pewnością uczyniłby, będąc przy zdrowych zmysłach. Nie potrafiłem podjąć decyzji, co zrobić z domem Crowninshieldów, ze znajdującymi się w nim zbiorami i mnóstwem najróżniejszych, służących Bóg wie czemu sprzętów, toteż pozostawiłem go, polecając służbie sprzątać raz na tydzień w tamtejszych pokojach, a palaczowi, by w tych dniach rozpalał w piecu.

Ostatni koszmar wydarzył się przed świętem Matki Boskiej Gromniczej, poprzedzony, o okrutna ironio, fałszywym promykiem nadziei. Pewnego styczniowego poranka zadzwoniono z zakładu, by donieść mi, że Edward niespodziewanie ozdrowiał. Powiedziano mi przy tym, że cierpi co prawda na zaburzenia pamięci, lecz mogę być pewien, iż całkowicie odzyskał zmysły.

Naturalnie muszą jeszcze zatrzymać go na pewien czas na obserwacji, lecz nie powinienem lękać się co do wyników badań. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, powinien zostać wypisany do domu w przeciągu tygodnia.

Pospieszyłem tam w przypływie nagłej radości, lecz stanąłem jak wryty, gdy pielęgniarka zaprowadziła mnie do pokoju Edwarda. Pacjent wstał, by

się ze mną przywitać, wyciągając prawą dłoń, na jego ustach zaś wykwił przyjazny uśmiech; natychmiast jednak zorientowałem się, iż w ciele mego przyjaciela tkwi ta sama, znana mi już, pełna osobliwej energii i witalności jaźń, zupełnie obca jego prawdziwej naturze, zimna, zuchwała jaźń, która kilkakrotnie już przepełniła mą duszę zgrozą i która w przekonaniu Edwarda była wypierającą jego własną osobowość duszą istoty znanej pod imieniem Asenath. Ujrzałem te same gorejące oczy, charakterystyczną cechą wyglądu Asenath i starego Ephraima, te same zacięte usta, a kiedy przemówił, w jego głosie usłyszałem nutę tej samej posępnej, przenikliwej ironii, tak głębokiej, że niosącej w sobie zapowiedź potencjalnego zła. To ta osoba prowadziła mój wóz w nocy, przed pięcioma miesiącami. Nie widziałem jej od tamtej krótkiej wizyty, gdy rzekomo przez zapomnienie nie posłużyła się, dzwoniąc do mych drzwi, znajomym, charakterystycznym sygnałem i gdy obudziła we mnie tak wiele mglistych, niesprecyzowanych bliżej lęków... by teraz, ponownie, wzbudzić w moim sercu mroczne uczucie obcowania z czymś złym i plugawym, jakimś nienazwanym kosmicznym okropieństwem.

Mówił z ożywieniem o warunkach uwolnienia, którego spodziewał się niebawem, ja natomiast mogłem jedynie wyrazić na to zgodę, gdyż pacjent poza niewielkimi lukami w pamięci wydawał się w pełni zdrowy. Niemniej jednak czułem, że coś było nie tak, i to nawet bardzo, byłem o tym przekonany. Ta istota miała w sobie coś przeraźliwego, roztaczała wokół aurę grozy, której przyczyn nie potrafiłem zidentyfikować. Była to osoba zdrowa psychicznie, lecz czy była również Edwardem Derbym, którego znałem? A jeśli nie, to kim lub czym było to coś... i gdzie się podział Edward? Czy powinno się to uwolnić, czy uwięzić na zawsze, a może zupełnie zetrzeć z powierzchni Ziemi? We wszystkim, co mówiła owa istota, wyczuwało się dziwną, przeraźliwie sardoniczną nutę... spojrzenie oczu Asenath zdawało się nadawać drwiący wyraz jej słowom o

spodziewanym, bliskim uwolnieniu po nieprzyjemnym okresie wyjątkowo dokuczliwej izolacji.

Przez cały ten i następny dzień rozważałem ów problem. Co się stało? Jakiż umysł wyzierał przez obce oczy osadzone w ciele Edwarda? Nie potrafiłem myśleć o niczym innym z wyjątkiem tej mrocznej, przeraźliwej zagadki i porzuciłem próżne wysiłki skoncentrowania się na mej własnej pracy.

Następnego ranka zatelefonowano ze szpitala, by powiadomić mnie, iż stan ozdrowiałego pacjenta nie uległ zmianie, przed wieczorem zaś byłem bliski załamania nerwowego, wyznaję to szczerze, choć znajdzie się wielu, którzy uznają moje słowa za przejaw wybujałej fantazji i pragnienie ubarwienia przedstawionych tu wydarzeń. W tej sprawie nie mam do powiedzenia nic z wyjątkiem tego, że nawet moje szaleństwo nie tłumaczy wszystkich dowodów i zdarzeń związanych z owym osobliwym przypadkiem.

## V

To stało się w nocy, po tamtym drugim wieczorze. Wtedy to nieokreślona bezcielesna groza dopadła mnie, obarczając mą duszę brzemieniem ślepej nie pohamowanej paniki, od której nigdy już nie zdołałem się uwolnić. Wszystko zaczęło się od telefonu, który zadzwonił tuż przed północą. Tylko ja byłem jeszcze na nogach i zaspany odebrałem telefon w bibliotece. Zdawało się, że po drugiej stronie linii nie ma nikogo, i już miałem odwiesić słuchawkę, by udać się na spoczynek, kiedy moje ucho wychwyciło dochodzący z przeciwległego końca łącza cichutki dźwięk. Czyżby ktoś z olbrzymim trudem pragnął mi coś przekazać?

Nasłuchiwałem i wydawało mi się, że odbieram słabe, dziwnie bulgoczące, wodniste odgłosy: - Chlup... chlup... chlup - zdające się sugerować, aczkolwiek nader mgliście, podobieństwo do słów i sylab, choć w tym przypadku niezrozumiałych i nieartykułowanych.

Zapytałem: - Kto tam? - W odpowiedzi usłyszałem jednak tylko to ciche: chlup... chlup. Mogłem tylko domyślać się, że dźwięki te miały mechaniczną naturę, lecz domniemając, że ktoś, kto do mnie dzwonił z uszkodzonego aparatu, może mnie słyszeć, choć sam nie jest dobrze słyszalny, dodałem:

– Nie słyszę cię. Lepiej odłóż słuchawkę i zadzwoń do informacji. - W tej samej chwili usłyszałem, jak ktoś po drugiej stronie łącza odkłada słuchawkę na widełki.

Stało się to, jak powiedziałem, tuż przed północą. Gdy później sprawdzono ten telefon, okazało się, iż dzwono do mnie ze starego domu Croninshieldów, choć sprzątająca posesję pokojówka miała zjawić się w nim nie wcześniej niż za pół tygodnia. Nie wyjawię otwarcie, co odnaleziono wewnątrz domu, niechaj wystarczy wzmianka o potwornym bałaganie w piwnicznym składziku, śladach ziemi, szafie, z której ktoś powyrzucał ubrania, zagadkowych smugach na telefonie, materiałach piśmiennych używanych wyjątkowo niezdarnie, i odrażającym fetorze, który był obecny we wszystkich pomieszczeniach w tym domu. Nieszczęśni stróże prawa, mieli, rzecz jasna, swoje własne, wydumane teorie i w dalszym ciągu poszukują zwolnionych przez Derby'ego odrażających służących, którzy po tym zdarzeniu jakby zapadli się pod ziemię. Mówią o upiornej zemście za występne czyny, jakie tam popełniono, i twierdzą, że mam z tym coś wspólnego, gdyż byłem najlepszym przyjacielem i doradcą Edwarda.

Idioci! Czy wydaje im się, że ta banda tępych błaznów byłaby w stanie podrobić ów charakter pisma? Czy sądzą, że mogliby przynieść to, co

zjawiło się później u mych drzwi? Czy są ślepi i naprawdę nie dostrzegają zmian w ciele należącym do Edwarda? Co do mnie, teraz wierzę już we wszystko, co słyszałem od Edwarda Derby'ego. Istnieją koszmary, których istnienia nawet nie podejrzewamy, ale od czasu do czasu występne czyny pewnych ludzi pozwalają nam zetknąć się z nimi. Ephraim-Asenath - ten diabeł wywołał je i pochłonęły Edwarda, a przy tym także mnie.

Czy mogę mieć pewność, że jestem bezpieczny? Moce owe żyją w ciele, które zajmują. Następnego dnia, po południu, gdy otrząsnąłem się już z szoku i byłem w stanie mówić i działać rozumnie, udałem się do zakładu dla obłąkanych i zastrzeliłem go za Edwarda i dla dobra całego świata, lecz czy mogę być pewien, że umarł na dobre, póki nie skremują jego ciała?

Przetrzymują ciało, by jacyś kretynscy lekarze mogli przeprowadzić autopsję, ja natomiast upieram się, że powinno się je jak najszybciej spopielić. On musi zostać spalony... On, ten, który nie by ł Edwardem Derbyem, kiedy go zastrzeliłem.

Stracę zmysły, jeśli tak się nie stanie, ja bowiem mogę być następny. Tyle że moja wola nie jest słaba i nie pozwolę, by osłabiły ją koszmary, z obecności których w naszym świecie zdaję już sobie sprawę. Jedno życie... Ephraim, Asenath, Edward... kto będzie następny? Nie pozwolę wyrzucić się z własnego ciała... nie dokonam zamiany dusz z tym podziurawionym przez kule umarlakiem z zakładu dla obłąkanych.

Pozwólcie mi jednak opowiedzieć po kolei o tym ostatnim koszmarze. Nie wyjawię tego, co policja skrzętnie i z uporem ignoruje... doniesień o skarłalej, groteskowej, cuchnącej piekielnie istocie, którą na High Street tuż przed drugą widziało co najmniej trzech nocnych marków, jak również o pewnych dość szczególnych śladach odnalezionych w kilku miejscach.

Powiem tylko, że około drugiej w nocy obudziły mnie dźwięki dzwonka i kołatki równocześnie, odgłosy ciche, jakby niepewne, rozbrzmiewające na

przemian, lecz nieodmiennie układające się w znajomy, używany tylko przez Edwarda, sygnał trzy na dwa.

Wybity ze snu miałem w głowie mętlik. Czyżby Derby zjawiał się z wizytą i nie zapomniał swego starego sygnału! Nowa osobowość go nie pamiętała... czyżby więc Edward wrócił do normalności? Czemu się tak spieszył, najwyraźniej coś go bardzo ponaglało. Ale co? Czyżby został wcześniej zwolniony z zakładu... a może uciekł? Możliwe, skonstatowałem, nakładając szlafrok i schodząc na dół, że odzyskawszy swą jaźń, ponownie zaczął majaczyć i miewać napady wściekłości, i co bardzo prawdopodobne, zapragnął za wszelką cenę wydostać się na wolność. Cokolwiek się wydarzyło, był to znów mój stary druh Edward i zamierzałem mu pomóc.

Kiedy otworzyłem drzwi, by wyjrzeć w okolony wiązami mrok, o mało nie zwałił mnie z nóg podmuch powietrza przesyconego odrażającym, niesamowitym fetorem. Pohamowałem mdłości i przez sekundę zaledwie widziałem na schodach przede mną przygarbioną, jakby skuloną postać.

Sygnał był typowy dla Edwarda, lecz kim był ten cuchnący garbaty karzeł, ta odrażająca parodia człowieka? Gdzie zniknął Edward? Czy miał na to dość czasu? Wszak dzwonek brzmiał jeszcze na sekundę przed tym, jak otworzyłem drzwi.

Gość miał na sobie jeden z płaszczy Edwarda, którego połami niemal zamiętał po ziemi, a rękawy, choć podwinięte, skutecznie zasłaniały dłonie.

Na głowie miał kapelusz z opuszczoną połową ronda, twarz natomiast przesłaniał czarny jedwabny szalik. Gdy niepewnie postąpiłem naprzód, postać wydała na wpół bulgoczący dźwięk, taki sam, jaki usłyszałem przez telefon: chlup... chlup... i wysunęła w mą stronę sporych rozmiarów gęsto zapisaną kartkę papieru nadzianą na ostry koniec długiego ołówka. Dusząc się ciągle od zatykającego gardło potwornego fetoru, zdjąłem kartkę z

ołówka i usiłowałem odczytać jej treść w świetle płynącym z wnętrza domu.

Bez wątpienia było to pismo Edwarda. Ale dlaczego pisał, skoro był tak blisko, że mógł przecież w każdej chwili zadzwonić... i czemu litery były tak koślawe i niezgrabne? W słabym świetle nic nie mogłem odczytać, toteż wycofałbym się do sieni, a odrażający garbaty karzeł podążył za mną, by zatrzymać się w progu. Odór tego szczególnego posłańca był zaiste powalający i miałem nadzieję (dzięki Bogu, nie płonną), że moja żona nie obudzi się i nie ujrzy go stojącego w drzwiach.

Kiedy zaś przeczytałem treść listu, kolana ugięły się pode mną, a obraz przed oczyma pociemniał. Gdy doszedłem do siebie, leżałem na podłodze, wciąż ściskając w zeszywniałej ze zgrozy dłoni ten przerażający w swej treści kawałek papieru. Treść listu była następująca:

*Dan, pójdź do zakładu dla obłąkanych i zabij to. Zniszcz to za wszelką cenę. To nie jest już Edward Derby. Dopadła mnie, to Asenath... a ona nie żyje od trzech i pół miesiąca. Skłamałem, kiedy powiedziałem ci, że odeszła. Zabiłem ją. Musiałem. To stało się nagle, ale byliśmy wtedy sami, a ja w moim właściwym ciele. Schwyciłem lichtarz i roztrzaskałem jej głowę. Przed dniem Wszystkich Świętych opanowałaby mnie bez reszty.*

*Pogrzebałem ją w piwnicznym składziku pod paroma starymi skrzynkami i dokładnie pozacieralem ślady. Następnego ranka służący zaczęli coś podejrzewać, ale mają na sumieniu tyle ciemnych spraw, że nie odważą się pójść na policję. Odprawiłem ich, lecz Bóg jeden wie, co mogą zrobić - oni i inni członkowie sekty.*

*Przez pewien czas wydawało mi się, że wszystko w porządku, aż nagle zacząłem odczuwać, jakby coś ciągnęło mój umysł. Wiedziałem, co to było... powinienem był pamiętać. Dusza taka jak jej, czy raczej starego Ephraima, oddala się tylko częściowo od ciała, pozostając przy nim dopóty, dopóki nie szcześnie ono zupełnie. Próbowwała mnie dopaść, chciała zmusić mnie do wymiany ciał, aby przejąć moją fizyczną powłokę, a jażn umieścić w jej truchle, które pogrzebałem w piwnicy.*

*Wiedziałem, co ma się stać - właśnie dlatego przeżyłem to ostatnie załamanie, wskutek czego trafiłem do zakładu dla obłąkanych. I wtedy to się stało... ocknąłem się, dławiąc się pośród ciemności, w gnijącym ciele Asenath zagrzebanym przeze mnie pod stertą pudeł w piwnicznym składziku.*

*Wiedziałem, że ona musi być teraz w moim ciele w zakładzie dla obłąkanych, na dodatek posiadała je zapewne na stałe, gdyż było już po dniu Wszystkich Świętych i ofiara musiała spełnić swe zadanie, nawet jeśli sama Asenath nie uczestniczyła w rytuale. Zdawałem sobie sprawę, że oszust w mej powłoce uznany za zdrowego na umyśle i gotowy do zwolnienia z zakładu może stanowić olbrzymie zagrożenie dla całego świata. Byłem zdesperowany i wbrew wszystkiemu wygrzebałem się z grobu, gdzie spoczywałem.*

*Moje naczynie jest zbyt mocno uszkodzone, bym mógł normalnie mówić, nie jestem w stanie rozmawiać przez telefon, ale wciąż mogę pisać. Zbiorę się jakoś w sobie i dostarczę mój ostatni list, słowa przestrogi zarazem i pożegnania.*

*Zabij tego czorta, jeśli są ci drogie pokój i dobro świata. Dopilnuj, by skremowano jego zwłoki. Jeśli tak się nie stanie, on będzie żył bez końca, przechodząc z jednego ciała w inne, a ja nie mogę wyjawić ci, do czego jest zdolny. Trzymaj się z dala od czarnej magii, Dań, to domena Złego. Żegnaj, byłeś mi drogim przyjacielem. Policji powiedz coś, w co zdołają uwierzyć, przykro mi, że wciągnąłem cię w to wszystko. Już wkrótce zaznam upragnionego spokoju. To coś, czym teraz jestem, nie pociągnie długo. Mam nadzieję, że zdołasz odczytać moje bazgroły. I zabij tę istotę... zniszcz ją raz na zawsze.*

*Twój stary przyjaciel Ed*

Dopiero w jakiś czas później przeczytałem drugą połę we tego listu, gdyż zemdlałem już podczas czytania trzeciego akapitu. Zemdlałem powtórnie, kiedy ujrzałem i poczułem woń tego, co zalegało na progu mego domu, gdzie dosięgnął go powiew ciepłego powietrza. Poślaniec nie poruszał się i nie tliła się w nim nawet iskierka życia.



Kamerdyner, ulepiony z twardszej niżli ja gliny, nie stracił przytomności, ujrawszy rankiem spoczywający w sieni, upiornie cuchnący koszmar.

Zadzwoił po policję. Gdy zjawili się stróże prawa, ja byłem na piętrze w sypialni, lecz... tamta masa... pozostała na progu, w tym samym miejscu, gdzie zległa minionej nocy.

Policjanci, wszyscy bez wyjątku, przyłożyli do nosów chustki.

Pośród dość dziwnie dobranych elementów odzieży Edwarda natrafili głównie na rozpływające się, wskutek daleko posuniętego rozkładu, szczątki tkanek. Były wśród nich jednak także kości... oraz czaszka z wyraźnym wgnieceniem po uderzeniu jakimś twardym, o tępych krawędziach, narzędziem. Analiza uzębienia pozwoliła na ustalenie ponad wszelką wątpliwość, iż czaszka owa należała do Asenath.

# W GROBOWCU

**W** moim mniemaniu nie ma nic bardziej absurdalnego niż skojarzenia tego, co swojskie, z tym, co zdrowe, które są typowe dla psychologii tłumu.

Wystarczy wspomnieć sielską, jankeską okolicę, gruboskórnego wioskowego przedsiębiorcę pogrzebowego - partacza i nieopisany bałagan w grobowcu, a każdy przeciętny czytelnik mógłby oczekiwać zdrowej dawki groteskowego czarnego humoru. Bóg mi jednak świadkiem, że prozaiczna historia, którą wolno mi już opowiedzieć z uwagi na śmierć George'a Bircha, zawiera w sobie dawkę grozy, przy której bledną nasze najmroczniejsze tragedie.

Birch otrzymał prekluzję i zmienił swój fach w 1881 roku, niemniej nigdy nie rozmawiał na ten temat, jeżeli tylko mógł go uniknąć. Podobnie jak jego stary lekarz, doktor Davis, zmarły wiele lat temu. Uznano, że obrażenia i szok zostały spowodowane wskutek niefortunnego poślizgnięcia, w czasie gdy Birch zamknął się na dziewięć godzin w grobowcu - przechowalni cmentarza Peck Valley, skąd wydostał się nie bez trudu i użycia siły. Podczas gdy wszystko to było bez wątpienia prawdą, cała afera miała jeszcze swoją mroczną stronę, o której Birch szepnął mi w pijanym widzie, w stanie silnego delirium, pod koniec swego życia. Zwierzył mi się, gdyż byłem jego lekarzem i prawdopodobnie po śmierci Davisa poszukiwał kogoś, z kim mógłby podzielić się swymi zgrzyzotami. Był kawalerem, nie miał krewnych.

Przed rokiem 1881 Birch był wioskowym przedsiębiorcą pogrzebowym w Peck Valley, tak gruboskórnym, opryskliwym i prymitywnym, jak tylko można sobie wyobrazić. Praktyki, które, jak zasłyszałem, mu

przypisywano, byłyby dziś - przynajmniej w mieście - nie do pomyślenia. Jednak nawet Peck Valley zdrząło na wieść o elastycznych zasadach etyki przejawianych przez owego „artystę śmierci” w sprawach takich, jak wartościowe rzeczy drogich świętej pamięci zmarłych, niewidoczne przecież pod wiekiem trumny, czy układanie i dopasowywanie niewidocznych członków nieboszczyków, wewnątrz skrzyń nie zawsze wykonanych z idealną, nienaganną dokładnością.

Najkrócej mówiąc, Birch był niedbały, nieczuły i niekompetentny, niemniej wciąż twierdzę, że nie był on złym człowiekiem. Był co najwyżej bryłą tkanek, mięśni i kości, wykonującą pewne czynności - bezmyślną, nieostrożną i ze słabością do butelki, co udowadnia incydent, łatwy przecież do uniknięcia, jak również pozbawioną tej krztyny wyobraźni, która nie pozwala przeciętnemu człowiekowi przekroczyć pewnej granicy dobrego smaku.

Nie mam wprawy w opowiadaniu tego typu historii i trudno mi zdecydować, od czego zacząć opowieść Bircha. Przypuszczam, że powinno się zacząć od zimnego grudnia 1880 roku, kiedy ziemia zamarzła i grabarze nie mogli kopać grobów aż do wiosennych roztopów. Na szczęście wioska była mała, a śmiertelność niska, tak że wszystkich nieboszczyków Bircha można było umieścić tymczasowo w prastarym „przejściowym” grobowcu. Złe warunki pogodowe wpłynęły dwakroć bardziej rozleniwiające na próżniaczego z natury przedsiębiorcę pogrzebowego, który teraz jak nigdy dotąd zaczął zaniedbywać swoje obowiązki.

Jeszcze nigdy nie zbijał trumien równie niedbale i niezdarnie ani nie przejmował się stanem zardzewiałego zamka w drzwiach grobowca, które otwierał na siłę, a zatrząskiwał z impetem lekceważącym pchnięciem albo kopniakiem.

Wreszcie nadeszły wiosenne roztopy i przygotowano skrzętnie groby dla dziewięciu ofiar Posępnego Żniwiarza, oczekujących w grobowcu. Birch,

choć wzdragał się zarówno przed przeniesieniem ciała, jak i przed pochówkiem, rozpoczął owo żmudne zajęcie pewnego kwietniowego poranka, lecz musiał je przerwać przed południem z powodu silnej ulewy, która najwyraźniej zdenerwowała jego konia. Do tej pory udało mu się złożyć na spoczynek zaledwie jedno ciało. Należało do małoletniego Dariusza Pecka, którego mogiła znajdowała się niedaleko od grobowca. Birch postanowił, że następnego dnia zacznie od małego starego Mathew Fennera, gdyż jego grób również był dość blisko, lecz koniec końców odłożył zajęcie aż na trzy dni, do Wielkiego Piątku, piętnastego kwietnia. Nie był przesądny, nie przejął się więc wcale dniem, w którym przystąpił do pracy, choć od tamtej pory odmawiał wykonania jakichkolwiek posług szóstego dnia tygodnia, który okazał się dlań feralny. Nie ulega wątpliwości, że wypadki, jakie zaszły owego wieczoru, wielce zmieniły George'a Bircha.

W piątkowe popołudnie, piętnastego kwietnia, Birch z koniem i wozem wyruszył do grobowca po ciało Mathew Fennera. Później potwierdził, że nie był wtedy całkiem trzeźwy, ale i nie pił na umór, jak później, gdy próbował o pewnych rzeczach zapomnieć. Miał po prostu w czubie i był na tyle nieostrożny, że rozdrażnił swego wrażliwego konia, który zbliżając się do grobowca, zaczął rzeć, bić kopytami i targać łbem, jak podczas ulewy przed kilkoma dniami. Dzień był pogodny, ale zerwał się silny wiatr. Birch cieszył się więc, że wchodzi do zamkniętego pomieszczenia. Otworzył żelazne drzwi i znalazł się wewnątrz grobowca wykutego w zboczu wzgórza. Ktoś inny mógł poczuć odrazę do wilgotnego, cuchnącego pomieszczenia, wewnątrz którego znajdowało się osiem ułożonych niedbale trumien, Birch wszakże był w owym czasie absolutnie nieczuły i jedyne, co go interesowało, to przewieźć właściwą trumnę do właściwego grobu. Nie zapomniał zjadliwej krytyki, kiedy krewni Hanny Bixby, pragnąc przenieść

jej zwłoki na cmentarz w mieście, do którego się przeprowadzili, zastali pod płytą cmentarną trumnę sędziego Capwella.

Światło było słabe, ale Birch miał dobry wzrok i nie wybrał trumny Asapha Sawyera przez pomyłkę, mimo iż była podobna. Prawdę mówiąc, wykonał tę trumnę dla Mathew Fennera, jednakże odrzucił ją, uznając za wybrakowaną, zbyt marnie i niedokładnie wykonaną, w przypływie osobliwego sentymentalizmu, kiedy przypomniał sobie, jak miły, hojny i dobry okazał się dlań mały staruszek przed pięcioma laty, kiedy splajtował jego poprzedni interes. Dał staremu Mattowi najlepszy ze swoich wyrobów, ale z wrodzonej oszczędności zachował również wybrakowaną trumnę i zrobił z niej użytek, gdy Asaph Sawyer zmarł, powalony śmiertelną gorączką. Sawyer nie należał do nazbyt lubianych mieszkańców wioski. Krążyło wiele opowieści na temat jego nieludzkiej mściwości i pamiętliwości za prawdziwe bądź wymaginowane krzywdy. Birch bez skrupułów przeznaczył dlań niedbale wykonaną trumnę, którą teraz właśnie wyciągnął, poszukując trumny Fennera.

I właśnie w chwili gdy rozpoznał starą trumnę Matta, wiatr zatrzasnął drzwi, pozostawiając go w głębszym niż dotychczas półmroku. Przez niewielkie okienko wpadało niewiele światła, a przewód wentylacyjny u góry nie dopuszczał nawet najsłabszych promieni słońca. Tym oto sposobem Birch zmuszony był gmerać po omacku, poszukując między trumnami zamka żelaznych drzwi. W półmroku zagrzechotał zardzewiałą klamką, pchając z całej siły żelazne okno, i nagle zaczął zastanawiać się, czemu masywny portal stał się nieoczekiwanie tak oporny. W półmroku również zaczął uświadamiać sobie prawdę i krzyknął głośno, jakby jego koń na zewnątrz mógł w odpowiedzi uczynić coś więcej, niż tylko zarzeć żałośnie. Zaniedbany od dawna zamek najwyraźniej zepsuł się na amen, pozostawiając nieostrożnego przedsiębiorcę pogrzebowego uwięzionego w grobowcu, jako ofiarę własnej niefrasobliwości.

Musiałoby się to wydarzyć około wpół do czwartej po południu. Birch, z natury flegmatyczny i praktyczny, nie krzyczał długo, zaczął natomiast poszukiwać wokoło narzędzi, które, o ile dobrze pamiętał, powinny znajdować się w kącie grobowca. Wątpliwe jest, czy poruszyła go choć odrobinę groza i niezwykłość jego obecnego stanu, niemniej z całą pewnością uwięzienie na odludziu, z dala od uczęszczanych ścieżek wstrząsnęło nim do głębi.

Przerwano jego pracę i gdyby nie został uwolniony przez jakiegoś zbłąkanego wędrowca, musiałoby pozostać w grobowcu przez całą noc, a może nawet dłużej. Niebawem odnalazł stertę narzędzi i wybrawszy młotek oraz dłuto, Birch powrócił, przestępując trumny, do drzwi. Zaczęło się robić duszno i nieprzyjemnie, ale na ten szczegół gruboskórny mężczyzna nie zwrócił najmniejszej uwagi, pracując, niejako na wycucie, przy ciężkim, mocno skorodowanym metalu zamka. Wiele był gotów oddać za latarnię, lampę albo ogarek świeczki, w tej jednak sytuacji zmuszony był polegać niemal wyłącznie na dotyku.

Kiedy stwierdził, że zamek zatrzasnął się na dobre i raczej nie zdoła go otworzyć, dysponując tak skąpą liczbą narzędzi, Birch zaczął poszukiwać innych możliwości wydostania się z zamknięcia. Grobowiec wykuty został w zboczu wzgórza, tak że wąski kanał wentylacyjny powyżej biegł na długości kilku stóp w głębi ziemi i wydostanie się przezeń w ogóle nie wchodziło w grę. Jednakowoż wysoko nad drzwiami widniało małe okienko wykute w ceglanej ścianie i choć wąskie, dawało szansę uwolnienia komuś, kto żmudną pracą zdecydowałby się je poszerzyć. Jego wzrok spoczął na otworze, a mózg zaczął głowić się nad sposobem dostania się na sporą, bądź co bądź, wysokość. W grobowcu nie było wszak drabiny, a nisze trumienne po bokach i z tyłu pomieszczenia, z których Birch właściwie nie korzystał, również nie umożliwiały osiągnięcia okienka nad drzwiami. Pozostały jedynie same trumny jako potencjalne stopnie, a Birch,

rozważając ów pomysł, zastanawiał się nad najlepszym sposobem ich ułożenia. Trzy warstwy trumien - oszacował - powinny wystarczyć, aby dosięgnął okna, ale jeszcze lepiej sprawiłby się przy czterech. Skrzynie były prawie równe i można je było układać jak cegły - teraz zaczął zastanawiać się, jak z ośmiu trumien ułożyć czterowarstwową platformę, która byłaby dostatecznie stabilna i na którą mógłby się wdrapać.

Planując, mógł jedynie w głębi duszy żałować, że poszczególne „elementy” jego „schodów” nie były sporządzone solidniej. Wątpliwe jest, czy miał dość wyobraźni, aby równocześnie życzyć sobie, by były puste. Wreszcie zdecydował się ułożyć podstawę z trzech skrzyń ustawionych równolegle do ściany - miała to być pierwsza platforma. Zadanie to wymagało najmniej wysiłku, a pozwalało na osiągnięcie żądanej wysokości. W końcu postanowił jednak sporządzić podstawę z dwóch tylko skrzyń, pozostawiając jedną „w rezerwie” na wypadek, gdyby do odzyskania wolności konieczne okazało się pokonanie jeszcze większej wysokości. Tym oto sposobem więzień ciężko pracował w półmroku, poczynając sobie nader lekceważąco z doczesnymi szczątkami drogich nieobecnych i budując, krok po kroku, miniaturową wieżę Babel. Kilka trumien zaczęło pękać na skutek jego bezceremonialnego traktowania, toteż postanowił zatrzymać solidnie zbitą skrzynię Mathew Fennera na sam koniec, by jego stopy miały możliwie jak najlepsze oparcie.

W szarości grobowca wybierał je niemal wyłącznie „na dotyk” i prawdę mówiąc, natknął się na nią niejako przypadkiem, gdyż wpadła mu w ręce jakby z własnej woli, kiedy ułożył ją mimowolnie na trzecim poziomie.

W końcu wieża została ustawiona, a zbolące ręce przedsiębiorcy odpoczęły przez chwilę, gdy on sam usiadł na dolnym stopniu swej posępnej budowli.

Birch wspiął się ostrożnie na platformę uzbrojony w niezbędne narzędzia i stanął na wprost małego okienka, znajdującego się na wysokości jego

piersi.

Ścianki otworu wykonane były z cegieł i mężczyzna nie miał najmniejszych wątpliwości, że w krótkim czasie zdoła poszerzyć je na tyle, aby móc precyzyjnie się na zewnątrz. Kiedy zadał kilka pierwszych uderzeń młotkiem, koń na zewnątrz zarzął, a w jego głosie mogła brzmieć tyleż zachęcająca, co ironiczna nuta. Tak czy inaczej, ton był jak najbardziej trafny, gdyż nieoczekiwana twardość kruchych z wyglądu cegieł stanowiła sardoniczny komentarz dla marności ludzkich nadziei i stałości przeszkody, do pokonania której konieczny był każdy możliwy bodziec.

Zapadł zmierzch, a Birch wciąż pracował. Obecnie robił to nieomal wyłącznie na wycucie, gdyż wiszące na niebie chmury zakryły tarczę księżyca. Choć robota szła mu jak po grudzie, poczuł pewien przypływ otuchy wywołany powiększeniem górnej i dolnej krawędzi otworu. Był pewien, że zdoła wydostać się przed północą, aczkolwiek charakterystyczne jest dlań, że owa myśl wyprana była z wszelkich osobliwych implikacji. Nie zaniepokojony mrocznymi refleksjami związanymi z czasem, miejscem i towarzystwem, jakie miał pod stopami, ze stoickim spokojem odkuwał kolejne fragmenty cegieł, klnąc, gdy jakiś odłamek trafił go w twarz, i wybuchając śmiechem, gdy jeden dosięgnął coraz bardziej zdenerwowanego konia, który rył kopytami ziemię opodal cyprysowego drzewka. W miarę upływu czasu otwór powiększył się na tyle, że Birch odważył się podjąć próbę precyzyjnego się na zewnątrz. Zmienił nieznacznie pozycję, a trumny poniżej poruszyły się i zatrzeszczały. Stwierdził, że nie musi budować jeszcze jednego poziomu swojej platformy, aby osiągnąć należytą wysokość, powinien bowiem bez trudu precyzyjnie się przez okienko, gdy tylko osiągnie ono odpowiednią średnicę.

Musiała być chyba północ, kiedy Birch stwierdził w końcu, że otwór jest dostatecznie duży, by mógł się przezeń przedostać. Zmęczony i ociekający potem, pomimo wielu przerw na odpoczynek, zszedł niżej i przysiadł na



dolnej skrzyni, by zebrać siły na ostateczną próbę prześlizgnięcia się na drugą stronę i zeskoczenia na ziemię. Wyglądniały koń rżał raz po raz, nieomal histerycznie, a Birch w głębi serca pragnął, aby zwierzę w końcu zamilkło.

Nie wiedzieć czemu odkładał chwilę swego uwolnienia i niemal obawiał się tego upragnionego kroku, nie był już wszak młodzieniaszkiem i jego ciało nie miało dawnej sprawności. Kiedy wspinał się na górę po rozszczepiających się trumnach, czuł bardzo wyraźnie cały ciężar swego krępego, potężnego ciała; zwłaszcza kiedy znalazłszy się na szczycie, usłyszał przeszywający trzask pękającego drewna. Najwyraźniej próżne było jego planowanie i decyzja, by wybrać na górny poziom platformy najwytrzymalszą z trumien, kiedy bowiem na niej stanął, przegniłe wieko zapadło się, a jego stopy znalazły się pół metra niżej, zatrzymując się na powierzchni czegoś, czego Birch nawet nie próbował sobie wyobrazić. Czekał na zewnątrz koń, oszalały przeraźliwym odgłosem lub może fetorem, który wypłynął z zamknięcia, wydał ochrypły odgłos, który był zbyt nerwowy jak na rzenie, i pomknął na oślep w noc, ciągnąc za sobą kolebiący się i turkoczący szaleńczo wóz.

Birch, znalazłszy się w nowym, upiornym położeniu, był zbyt nisko, by bez trudu wypełznąć na zewnątrz przez powiększony otwór okienny, niemniej zebrał w sobie wszystkie siły, aby przynajmniej spróbować. Chwyając się krawędzi otworu, zaczął się podciągać, gdy wtem, ni stąd, ni zowąd, poczuł, że coś trzyma go za kostki. Miał wrażenie, że jest ściągany w dół. W chwilę potem, po raz pierwszy tej nocy poczuł dojmujący lęk, bo choć uparcie próbował, nie był w stanie uwolnić się od uchwytu czegoś, co stanowczo i bezlitośnie unieruchamiało jego stopy. Przeraźliwy ból, płynący jakby z głębokich ran, przeszył jego łydki, a umysł Bircha wypełnił wir przerażenia wywołanego wyobrażeniem sobie drzazg, obluzowanych gwoździ lub innych niebezpieczeństw związanych ze strzaskaną, drewnianą

skrzynią. Być może krzyknął. Tak czy inaczej, kopał i wił się jak oszalały, bliski utraty świadomości.

Instynkt pokierował nim, gdy przeciskał się przez otwór, i później, gdy runął w dół, by ciężko wylądować na rozmokłej ziemi na zewnątrz. Wyglądało na to, że nie może chodzić, a wylaniający się księżyc musiał być świadkiem przeraźliwej sceny, gdy Birch, ciągnąc za sobą okrwawione kostki, na wpół oszalały, niczym bezmyślna maszyna pełzł w kierunku domku dozorca cmentarza, wbijając zakrzywione jak szpony palce w czarną ziemię. Jego ciało reagowało z przyprawiającą o obłąd powolnością, którą odczuwa człowiek ścigany przez upiory z najgorszych koszmarów. Nikt go wszakże nie ścigał; był sam i żywy, kiedy Armington, dozorca, odpowiedział na jego słabe, niepewne skrobanie do drzwi.

Armington pomógł Birchowi wejść do środka i ułożył na zapasowym łóżku, po czym wysłał swego synka, Edwina, po doktora Davisa. Ranny był w pełni przytomny, ale bełkotał coś bez sensu, powtarzając raz po raz: - Moje kostki!

Puszczaj!... Zamknięty w grobowcu.

W końcu zjawił się doktor ze swoją walizeczką i po zadaniu kilku niezbędnych pytań zdjął z pacjenta wierzchnie odzienie, buty i skarpetki.

Rany - obie kostki były upiornie poszarpane w okolicy ścięgien Achillesa - mocno zaskoczyły starego lekarza, aż w końcu zdumienie przerodziło się w zgrozę. Jego pytania przepełniło poza profesjonalne napięcie, a dłonie drżały, gdy opatrywał zmasakrowane kończyny, bandażując je tak, jakby chciał jak najszybciej pozbyć się widoku upiornych okaleczeń.

Jak na obojętnego z natury lekarza, złowieszcze i przesycone grozą przesłuchanie, któremu poddał osłabionego przedsiębiorcę pogrzebowego, by wydobyć od niego wszelkie szczegóły dotyczące jego przerażającej przygody, mogło wydać się doprawdy nietypowe. Z osobliwym niepokojem

pragnął dowiedzieć się, czy Birch był pewien - absolutnie pewien, czyja skrzynia znajdowała się na samym szczycie, jak ją wybrał, skąd miał pewność - wszak w grobowcu było ciemno - że trumna należała do Fennera, i w jaki sposób umiał odróżnić ją od identycznej bądź co bądź skrzyni plugawego Asapha Sawyera. Czy twarda, solidna trumna Fennera mogłaby poddać się tak łatwo?

Davis prowadzący w wiosce długoletnią praktykę był, rzecz jasna, obecny przy obu pochówkach i wspomagał tak Fennera, jak i Sawyera w ich ostatniej chorobie. Zastanawiał się przy tym, podczas pogrzebu Sawyera, jakim cudem mściwy farmer zdołał zmieścić się wyprostowany w skrzyni sporządzonej dla odznaczającego się niewysokim wzrostem Fennera.

Po pełnych dwóch godzinach doktor Davis wyszedł, nakazując Birchowi, by, kiedy go zapytają, upierał się, że rany spowodowane zostały wyłącznie przez drzazgi i sterczące z trumny poluzowane gwoździe. Cóż innego - dodał - można by udowodnić lub w co można by uwierzyć, twierdząc inaczej?

Najlepiej jednak, aby starał się omijać ów temat i przy leczeniu tych ran nie korzystał z usług innego lekarza. Birch przez resztę życia stosował się do jego rady, dopóki nie opowiedział mi swojej historii, a kiedy ujrzałem blizny - wówczas już zastarzałe i pobielające - przyznałem, że postąpił słusznie.

Na zawsze pozostał kaleką, uszkodzeniu bowiem uległy główne ścięgna, sądzę jednak, że najbardziej ucierpiała jego dusza. Charakter męczyzny, ongiś tak flegmatyczny i logiczny, został w nieodwracalny sposób spaczony i od czasu owego feralnego zdarzenia Birch w niesamowity wręcz sposób reagował na hasła „piątek”, „grobowiec”, „trumna” czy inne, mniej wyraźne aluzje do pamiętnego dlań wydarzenia. Jego spłoszony koń wrócił do domu, ale lękliwość i niepewność nie opuściły go już nigdy. Birch

zmienił fach, lecz zawsze coś go dręczyło. Może to tylko strach, a może osobliwe wyrzuty sumienia wywołane popełnionymi w odległej przeszłości występkami. Topił swoje zgryzoty w alkoholu, ale rzecz jasna, w ten sposób nie był w stanie zapomnieć.

Kiedy doktor Davis opuścił Bircha owej nocy, wziął latarnię i udał się do starego grobowca. Księżyc oświetlał rozrzucone kawałki cegieł i posepną, brązową fasadę, a zamek wielkich drzwi ustąpił bez oporu, gdy Davis spróbował otworzyć je od zewnątrz.

Lekarz, który widział już niejednego koszmar w salach sekcyjnych, wszedł śmiało do środka i rozejrzał się wokoło, tłumiąc mdłości ciała i umysłu, które wzmagają jeszcze upiorny widok i panujący wewnątrz fetor. Raz krzyknął w głos, a w chwilę potem wydał z siebie jęk, bardziej przeraźliwy niż najdonośniejszy wrzask. Następnie pędem powrócił do domku dozorczy i złamał wszelkie zasady swego szlacheckiego zawodu, brutalnie budząc i bezceremonialnie tarmosząc swego pacjenta, z jego ust zaś dobywał się zjadliwy szept, który zaskoczonym przedsiębiorcy skojarzył się z jadowitym sykiem wotriolu.

– To była trumna Asapha, Birch, tak jak myślałem! Rozpoznałem go po zębach, w górnej szczęce brakowało mu przednich - na litość boską, nigdy nie pokazuj nikomu tych ran! Ciało było w fatalnym stanie, ale jeszcze nigdy nie widziałem tak silnej nienawiści malującej się na ludzkiej twarzy... lub tym, co kiedyś nią było!... Wiesz, jak bardzo ten diabeł był mściwy - jak doprowadził do ruiny Raymonda, w trzydzieści lat po procesie o miedzę, i jak zdeptał tę psinę, która rzuciła się nań z zębami w sierpniu, ubiegłego roku...

To był diabeł wcielony i wierzę, Birch, że jego nienasycona furia była w stanie pokonać czas i śmierć! Boże, jego gniew, jak to dobrze, że nie wybrał sobie mnie na ofiarę!

Czemu to zrobiłeś', Birch? Był szują i łajdakiem, jakich mało, nie mam ci za złe, że dałeś mu wybrakowaną trumnę, ale tym razem posunąłeś się za daleko! Skapstwo skapstwem, ale dobrze wiedziałeś, że stary Fenner był człowiekiem nikczemnego wzrostu.

Nigdy, póki żyję, nie zapomnę tego widoku. Musiałeś wierzgnąć z całej siły, bo trumna Asapha leżała na podłodze. Miał pękniętą czaszkę i jej zawartość wypłynęła na zewnątrz. Widziałem już wiele, ale to, co tam ujrzałem, przeszło wszelkie dopuszczalne granice. Oko za oko! Wielkie nieba, Birch, muszę stwierdzić, że dostałeś, co ci się należało! Na widok rozłupanej czaszki mdłości podeszły mi do gardła, ale krew zastygła mi w żyłach, dopiero gdy ujrzałem nogi trupa, ucięte w kostkach, tak aby ciało Asapha mogło zmieścić się do małej, wybrakowanej trumny MattaFennera!

# ŚWIĄTYNIA

## Manuskrypt znaleziony u wybrzeży Jukatanu

**D**wudziestego sierpnia 1917 roku, ja Karl Heinrich, hrabia von Altberg-Ehrenstein, komandor porucznik Cesarskiej Niemieckiej Marynarki Wojennej i dowódca okrętu podwodnego U-29 wrzuciłem butelkę i tę kronikę do Atlantyku, w miejscu mi nie znanym, lecz prawdopodobnie było to na dwudziestym stopniu szerokości geograficznej północnej i trzydziestym piątym stopniu długości geograficznej zachodniej, gdzie statek mój spoczął uszkodzony na dnie oceanu. Uczyniłem to, ponieważ pragnę ujawnić opinii publicznej pewne niezwykle fakty. Prawdopodobnie nie przeżyję, nie będę więc w stanie uczynić tego osobiście, sytuacja bowiem stała się tyleż niebezpieczna, co niezwykła i składa się na nią nie tylko niemożliwa do naprawienia usterka U-29, ale również złamanie mej żelaznej, niemieckiej woli w sposób zaiste przerażający.

Po południu, osiemnastego czerwca, jak donosiliśmy telegraficznie na U-61, zmierzając w kierunku Kieł, storpedowaliśmy brytyjski frachtowiec „Victory” płynący z Nowego Jorku do Liverpoolu na czterdziestym piątym stopniu szesnastej minucie szerokości geograficznej północnej i dwudziestym ósmym stopniu trzydziestej czwartej minucie długości

geograficznej zachodniej, zezwalając załodze na zejście do szalup, aby cała nagrana przez nas operacja wypadła jak najlepiej w archiwach admiralicji.

Statek zatonął dość spektakularnie, najpierw poszedł pod wodę dziób, rufa uniosła się niemal do pionu, podczas gdy kadłub stopniowo zaczął pogrążyć się w odmętach. Nasza kamera niczego nie przeoczyła i żałuję, że rolka tak dobrego filmu nie dotrze nigdy do Berlina. Potem za pomocą działek pokładowych zatopiliśmy łodzie ratunkowe i zanurzyliśmy się.

Kiedy ponownie wyszliśmy na powierzchnię, przed zmierzchem, na pokładzie odkryto ciało marynarza. Jego dłonie w osobliwy sposób zaciskały się na relingu. Biedaczysko był śniadym, dość przystojnym młodzieńcem, prawdopodobnie Włochem lub Grekiem, i niewątpliwie należał do załogi „Victory”. Najwyraźniej szukał schronienia na okręcie, który unicestwił jego własny, ot, jeszcze jedna ofiara niesprawiedliwej wojny zaczepnej, podczas której angielskie świnie dybią na nasz Vaterland. Nasi ludzie przeszukali go w nadziei znalezienia pamiątek i w kieszeni bluzy natknęli się na bardzo dziwną statuetkę z kości słoniowej przedstawiającą głowę młodzieńca umajoną liśćmi laurowymi. Mój podkomendny, porucznik Klenze, uwierzył, że przedmiot ów był antykiem ogromnej wartości, toteż zabrał go znalazcy i zatrzymał dla siebie. Nie potrafiłem pojąć, w jaki sposób prosty marynarz mógł stać się posiadaczem czegoś takiego.

Kiedy trupa ciśnięto za burtę, zaszły dwa wypadki, które wzbudziły spore zakłopotanie wśród załogi. Młodzieniec miał oczy zamknięte, lecz gdy ciało jego wleczono w stronę relingu, otworzyły się, i wielu doznało osobliwie niepokojącego wrażenia, że niezłomnie i drwiąco spojrzęły na pochylających się nad zwłokami Schmidta i Zimmera.

Bosman Müller, starszawy mężczyzna, który gdyby nie był przesadną alzacką świnią, na pewno tak by się nie zachował, od tej chwili, dogłębnie poruszony i podekscytowany, obserwował wrzucone do wody ciało i

zarzekał się, że w momencie gdy pogrzyżyło się w falach, przybrało pozycję pływacką i śmignęło pod falami na południe. Klenze i ja nie przyjęliśmy pochlebnie tak jawnego przykładu wieśniaczej ignorancji i ukaraliśmy ludzi, zwłaszcza Müllera, srogą reprimendą.

Następnego dnia wskutek niedyspozycji kilku członków załogi powstała dość krępująca i uciążliwa sytuacja. Ludzie wyraźnie cierpieli na napięcie nerwowe wywołane trudami długiego rejsu i miewali senne koszmary. Kilku wydawało się dość oszołomionych i ogłupiałych, kiedy zaś przekonałem się, że nie symulują, zwolniłem ich z obowiązków. Morze było raczej niespokojne, toteż zesliśmy na głębokość, gdzie fale mniej dawały się we znaki. Znaleźliśmy się na względnie spokojnych wodach, mimo nieco zagadkowego południowego prądu, którego nie odnotowano na naszych mapach oceanograficznych. Najbardziej drażniły nas wszystkich jęki chorych, jednak nie wpływały demoralizująco na resztę załogi, nie podjęliśmy więc bardziej drastycznych środków. Planowaliśmy pozostać tam, gdzie byliśmy, i przechwycić liniowiec „Dacja” wzmiankowany w informacji od naszych agentów z Nowego Jorku.

Wczesnym rankiem wynurzyliśmy się i stwierdziliśmy, że morze jest mniej wzburzone. Na horyzoncie na północy unosił się dym jakiejś morskiej bitwy, ale my, znalazłszy się w dostatecznie dużej odległości i mogąc się szybko zanurzyć, byliśmy bezpieczni. Najbardziej niepokoiła nas paplanina bosmana Müllera, która z nadejściem nocy stała się bardziej zajadła i dziwna.

Mężczyzna ów powrócił do stadium dziecka bełkoczącego o mirażach martwych ciał przepływających za szybami bulajów; o ciałach, które przyglądały mu się z uwagą i które mimo obrzmienia rozpoznał jako zwłoki tych, których widział umierających podczas naszych zwycięskich wypadów.



Dodał przy tym, że ów młodzieniec, którego odnaleźliśmy i cisnęliśmy za burtę, był ich przywódcą. Było to ponure i obłąkańcze gadanie, toteż zakuliśmy Müllera w łańcuchy i srodze go wy chłostaliśmy. Załoga nie była zadowolona, że został ukarany, ale utrzymanie dyscypliny stało się sprawą pierwszorzędą. Odmówiliśmy również żądaniu delegacji, której przewodził mat Zimmer, aby dziwną figurkę z kości słoniowej wrzucić do morza.

Dwudziestego czerwca marynarze Bohm i Schmidt, którzy poprzedniego dnia chorowali, dostali ataku szału. Załowałem, że nie mieliśmy na pokładzie lekarza, jako że życie Niemca jest szczególnie cenne, ale ponieważ obaj mężczyźni snuli obłądne teorie dotyczące przeraźliwej klątwy, postanowiłem przedsięwziąć drastyczne kroki. Załoga przyjęła ów fakt raczej w minorowych nastrojach, Müller natomiast dziwnie się uspokoił. Wieczorem wypuściliśmy go i zaczął wykonywać swe obowiązki bez słowa skargi.

W następnym tygodniu wszyscy byliśmy mocno podenerwowani, wypatrując „Dacji”. Napięcie potęgowało zniknięcie Müllera i Zimmera, którzy bez wątpienia popełnili samobójstwo, udęczeni do niemożliwości trawiącymi ich lękami, chociaż nikt nie widział, by wyskakiwali za burtę. Cieszyłem się, że pozbyłem się Müllera, gdyż nawet jego milczenie wpływało niekorzystnie na załogę.

Wydawało się, że wszyscy wolą teraz milczeć, jakby skrywali w sobie jakiś lęk. Wielu chorowało, lecz nikt nie był dla reszty ciężarem.

Porucznik Klenze pałał z wściekłości, drażniło go właściwie wszystko, nawet błahostka w rodzaju stada delfinów, które coraz liczniej gromadziło się wokół U-29, czy południowego prądu o narastającej sile, którego nie było na naszych mapach.

W końcu stało się jasne, że kompletnie przeoczyliśmy „Dację”. Takie porażki się zdarzają, a my miast się rozczarować, tylko się z tego

ucieszyliśmy. W tej sytuacji musieliśmy wracać do Wilhelmshaven. W południe dwudziestego ósmego czerwca skręciliśmy na północny zachód i mimo dość zabawnych przepychanek ze stadem delfinów wreszcie wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Wybuch w maszynowni o drugiej w nocy zupełnie nas zaskoczył. Nie zauważyliśmy żadnego defektu, nie nastąpiło najdrobniejsze zaniedbanie, a mimo to ni stąd, ni zowąd całym okrętem potężnie zatrzęsło.

Porucznik Klenze pospieszył do maszynowni, by stwierdzić, że zbiornik paliwa i większość maszyn zostały bezpowrotnie zniszczone. Mechanicy Raabe i Schneider zginęli na miejscu. Nasza sytuacja natychmiast zrobiła się poważna, bo chociaż chemiczne regeneratory powietrza pozostały nietknięte i choć mogliśmy korzystać z urządzeń do podnoszenia okrętu i wynurzać się na powierzchnię oraz otwierać włazy, póki starczy powietrza i mocy w akumulatorach awaryjnych, nie mogliśmy sterować okrętem ani płynąć dalej.

Szukanie ratunku na tratwach równałoby się oddaniu w ręce nieprzyjaciela, nieprzychylnie nastawionego (skądinąd bez przyczyny) wobec wielkiego narodu niemieckiego, a od ataku na „Victory” nasz telegraf nie działał i nie mogliśmy skontaktować się z innym U-Bootem.

Od chwili wypadku do drugiego lipca dryfowaliśmy nieustannie na południe, prawie bez żadnych planów, i nie napotkaliśmy po drodze innych jednostek.

Wokół U-29 wciąż krążyły delfiny, co mogło wydać się dziwne, zważywszy na odległość, jaką pokonaliśmy. Rankiem drugiego lipca dojrzeliliśmy okręt wojenny pod banderą Stanów Zjednoczonych i załoga stała się niespokojna, pragnąc oddać się w ich ręce. W końcu porucznik Klenze musiał zastrzelić marynarza Traubego, który szczególnie domagał się tego tak niegodnego dla Niemca rozwiązania. To na pewien czas uspokoiło załogę i nie zauważeni zeszliliśmy pod wodę.

Następnego dnia z południa nadleciało olbrzymie stado morskich ptaków, a ocean wzburzył się złowrogo. Zamknąwszy luki, oczekiwaliśmy na dalszy rozwój wypadków, gdy uświadomiliśmy sobie, że albo zejdziemy na większą głębokość, albo pochłoną nas rosnące bez przerwy fale. Mieliśmy coraz mniej mocy i ciśnienia i chcieliśmy zminimalizować użycie maszyn.

W tym wypadku wszelako nie mieliśmy wyboru.

Nie zanurzyliśmy się na dużą głębokość, a kiedy kilka godzin później morze uspokoiło się, postanowiliśmy wrócić na powierzchnię. Tu pojawiły się nowe kłopoty, okręt bowiem nie reagował na nasze polecenia, mimo iż mechanicy robili, co mogli. Gdy załoga w tym podwodnym więzieniu zaczęła nie na żarty się trwożyć, niektórzy znów podjęli temat figurki porucznika Klenzego, ale widok pistoletu skutecznie zamknął im usta. Dawaliśmy tym nieszczęśnikom możliwie jak najwięcej zajęć, zmuszając do kolejnych prób naprawienia maszyn, które całkiem wysiadły.

Klenze i ja spaliśmy zwykle na zmianę - i to podczas mojej drzemki około piątej nad ranem czwartego lipca wybuchł bunt załogi. Sześciu pozostałych marynarzy, podejrzewając, że byliśmy straceni, wpadło nagle w obłąkańczą furję, zarzucając nam, że nie chcieliśmy przystać na poddanie się jankeskiemu okrętowi wojennemu przed dwoma dniami. To czyniąc, klęli na czym świat stoi i demolowali, co popadło. Ryczeli niby zwierzęta, którymi byli, niszcząc urządzenia pokładowe i sprzęty. Przez cały czas bredzili o rzekomej klątwie figurki z kości słoniowej oraz o śniadolicym martwym młodzieńcu, który spojrzał na nich, a następnie odpłynął. Porucznik Klenze wydawał się sparaliżowany i pozbawiony kompetencji, czego można się było spodziewać po miękkim, zniewieściałym Nadreńczyku. Zastrzeliłem szóstkę marynarzy, było to bowiem konieczne, i upewniłem się, że wszyscy umarli.

Wyrzuciliśmy ciała przez podwójne luki i zostaliśmy na pokładzie U-29 tylko we dwóch. Klenze wydawał się bardzo zdenerwowany i dużo pił.

Postanowiliśmy, że przeżyjemy, jak długo się da, wykorzystując nasz spory zapas powietrza i tlenu, który nie ucierpiał wskutek obłąkańczych niszczycielskich ataków struchlałych z przerażenia marynarzy-kretynów.

Nasze kompasy, głębokościomierze i inne delikatne instrumenty zostały strzaskane, toteż odtąd wszelkie informacje o naszym położeniu będą przybliżone, oparte na domysłach i przypuszczeniach, zegarkach i kalendarzu, jako że dryf nasz, jego prędkość i kierunek mogliśmy oceniać, wypatrując przez bulaje umiejscowione w kiosku. Na szczęście nasze akumulatory awaryjne miały jeszcze sporo mocy i mogliśmy skorzystać z nich do oświetlenia wnętrza okrętu oraz zasilania zewnętrznego reflektora.

Promieniem tego ostatniego często omiataliśmy otchłań dokoła statku, ale widzieliśmy jedynie delfiny, płynące równoległym do naszego kursem. Te delfiny interesowały mnie z punktu widzenia nauki, jako że pospolity *Delphinus delphis* jest ssakiem z rodziny waleni i nie może żyć bez powietrza, ja natomiast obserwowałem jedno w owych stworzeń przez blisko dwie godziny i nie dostrzegłem, by choć raz wynurzyło się, aby zaczerpnąć powietrza.

W miarę upływu czasu Klenze i ja stwierdziliśmy, że wciąż płyniemy na południe, zanurzając się przy tym coraz to głębiej. Dostrzegaliśmy rozmaite okazy fauny i flory i czytaliśmy na ich temat w wolnych chwilach, korzystając z książek, które miałem na pokładzie. Nie mogłem wszelako nie zwrócić uwagi na ograniczoność wiedzy naukowej mego towarzysza. Nie miał pruskiego umysłu, lecz oddawał się bezwartościowym imaginacjom i dociekaniom. Nieuchronność naszej śmierci osobliwie nań wpłynęła i często modlił się w intencji tych wszystkich kobiet, mężczyzn oraz dzieci, których posłaliśmy na dno, zapominając, że wszystkie te rzeczy są szlachetne, służą bowiem państwu niemieckiemu. Po pewnym czasie stał

się kompletnie niezrównoważony, wpatrywał się całymi godzinami w swój kościany posążek i snuł zabawne opowiadki o zaginionych i zapomnianych rzeczach znajdujących się w morskiej głębinie. Czasami, w formie eksperymentu psychologicznego, pozwalałem mu mówić bez przerwy, przysłuchując się jego wynurzeniom poetyckim, cytatom i opowiadaniom o zatopionych statkach.

Było mi go żal, okropny to widok, gdy cierpi Niemiec, ale nie należał on do ludzi, u których boku można by śmiało umrzeć. Ja ze swej strony byłem dumny, wiedząc, że Vaterland nie zapomni mnie, a moi synowie wyrosną na takich jak ja dumnych patriotów.

Dziewiątego sierpnia dojrzeliliśmy dno oceanu i zlustrowaliśmy je w świetle naszego reflektora. Była to rozległa, pofałdowana równina, porośnięta głównie wodorostami i usłana skorupami drobnych mięczaków.

Tu i ówdzie dostrzec można było śliskie obiekty o zdumiewających kształtach, przyozdobione glonami i barnaklami, które, jak oznajmił Klenze, musiały być starymi okrętami spoczywającymi w swych grobach. Dziwiło go jedno - iglica twardej materii wystająca ponad powierzchnię dna oceanu, mierząca u podstawy prawie cztery stopy średnicy, dwie stopy szerokości, o płaskich bokach i gładkich częściach górnych, które schodziły się pod rozwartym kątem.

Powiedziałem, że jest to występ skalny, lecz Klenze stwierdził, że dostrzegł na nich jakieś żłobienia. Po chwili zaczął dygotać i odwrócił się od bulaju, jakby zdjęty przerażeniem, mimo to nie potrafił udzielić mi żadnych wyjaśnień, z wyjątkiem tego, że owładnęły nim przestwór, mrok, starożytność, odosobnienie i zagadkowość morskich głębin. Jego umysł był zmęczony, ale ja zawsze pozostaję Niemcem i uderzyły mnie dwie rzeczy - a mianowicie, że U-29 w zdumiewający sposób wytrzymał napór potężnego na dnie oceanu ciśnienia i że tajemnicze delfiny wciąż nam towarzyszyły, nawet tu, na głębokości, gdzie większość biologów wyklucza

możliwość istnienia wyższych organizmów. Byłem pewien, że wcześniej błędnie określiłem naszą głębokość, ale tak czy inaczej, musieliśmy zejść dostatecznie daleko, by zjawisko to uznać za godne najwyższej uwagi.

Prędkość dryfu na południe, jak również opadanie oszacowywałem na podstawie organizmów dostrzeganych w wyższych warstwach oceanu.

Była trzecia piętnaście po południu dwunastego sierpnia, kiedy nieszczęsny Klenze do reszty postradał rozum. Był w kiosku, obsługując reflektor, gdy nagle wpadł jak burza do biblioteki, gdzie siedziałem pogrążony w lekturze, a jego twarz zdradzała oznaki szaleństwa. Powtórzę tu, co powiedział, podkreślając słowa, na które kładł szczególny nacisk: - On wzywa! On wzywa! Słyszę go! Musimy iść! - Mówiąc to, wyjął z biurka kościaną figurkę, schował do kieszeni i schwycił mnie za ramię, pragnąc pociągnąć za sobą po zejściówce na pokład. W tej chwili pojąłem, że zamierzał otworzyć luk i wywlec mnie w odmęty na zewnątrz, co było przejawem samobójczej i morderczej manii, na którą nie byłem należycie przygotowany. Gdy ociągając się, usiłowałem go ułagodzić, stał się brutalniejszy, mówiąc: -Chodźże już, nie zwlekaj. Lepiej się ukorzyć i zyskać przebaczenie, niż stawić opór i zostać potępionym.

W tej sytuacji zaprzestałem prób uspokajania go i rzuciłem mu prosto w twarz, że jest szalony, żałośnie obłąkany. On jednak w ogóle tego nie przyjął i zawołał: - Jeśli jestem obłąkany, to zostałem obdarowany wielką łaską!

Niechaj bogowie żałuj ą tego, kto w swej niewzruszoności jest w stanie zachować zdrowe zmysły, aż po odrażający kres! Pójdź i oszalej, póki on przyzywa nas z miłosierdziem!

Ten wybuch jakby złagodził tkwiące w nim napięcie, gdy bowiem skończył, złagodniał, prosząc, by mógł odejść sam, skoro nie chcę mu towarzyszyć. Był Niemcem, ale Nadreńczykiem, i do tego z pospólstwa, a obecnie również potencjalnie groźnym szaleńcem. Godząc się na jego

absurdalną prośbę, by mógł popełnić samobójstwo, uwolniłbym się natychmiast od towarzysza, który obecnie stał się dla mnie zagrożeniem.

Poprosiłem, by przed odejściem oddał mi kościaną figurkę, lecz na tę prośbę wybuchnął tak nienormalnym śmiechem, że już jej nie powtórzyłem.

Zapytałem potem, czy chce zostawić po sobie jakąś pamiątkę, choćby kosmyk włosów dla rodziny w Niemczech, w razie gdybym został ocalony, ale on raz jeszcze wybuchnął tym dziwnym śmiechem. Zaczął wspinać się po drabinie, ja zaś stanąłem przy dźwigniach, aby uruchamiając maszyny we właściwych odstępach czasu, posłać go, jak tego żądał, na zatracenie. Kiedy stwierdziłem, że opuścił łódź, omiotłem reflektorem okolicę, aby spojrzeć nań po raz ostatni. Chciałem ponadto przekonać się, czy ciśnienie wody spłaszczy go, jak teoretycznie powinno być stać, czy może jego ciało, jak w przypadku niezwykłych delfinów, pozostanie nie zmienione. Nie udało mi się nigdzie dojrzeć mego nieżyjącego towarzysza, wokół bowiem zgromadziło się zbyt wiele delfinów.

Tego wieczoru pożałowałem, że ukradkiem nie wyjąłem z kieszeni Klenzego kościanej figurki, gdy odchodził. Jej wspomnienie wciąż mnie nieodparcie fascynowało. Nie mogłem zapomnieć pięknej, młodzieńczej głowy z liśćmi laurowymi dokoła, mimo iż nie mam natury artysty. Żałowałem także, że nie mam z kim rozmawiać. Klenze, choć nie dorównywał mi pod względem umysłowym, był przy najmniej bratnią duszą. Tej nocy nie spałem dobrze i zastanawiałem się, kiedy nastąpi koniec. Rzecz jasna, moje szansę ocalenia były prawie zerowe.

Następnego dnia wszedłem do kiosku i tradycyjnie zlustrowałem reflektorem otoczenie. Od północy widok był identyczny jak przez cztery dni, odkąd ujrzeliśmy dno, ale oszacowałem, że nasz dryf nieco stracił na sile. Gdy skierowałem reflektor na południe, zauważyłem, że dno oceanu opada tam wyraźnym, ostrym uskokiem, a w niektórych miejscach znajdują

się dziwnie regularne bloki kamienne wyglądające, jakby ustawiono je tam z rozmysłem.

Okręt nie zszedł od razu na samo dno tej otchłani, toteż wkrótce musiałem wyregulować reflektor, by skierować promień ostro ku dołowi. Gwałtowność tej zmiany zaowocowała odłączeniem przewodu i wielominutową zwłoką, jaką zajęła mi naprawa, ale w końcu światło pojawiło się na nowo, zalewając dolinę pode mną.

Nie zwykłem wyrażać otwarcie swych emocji, lecz jak wielkie było moje zdumienie, kiedy ujrzałem to, co ujawnił przede mną promień reflektora. A przecież jako osoba wychowana w najlepszej Prussisch Kultur, nie powinienem był się dziwić, zarówno bowiem geologia, jak i tradycja uczą nas o wielkich przemieszczeniach oceanów i kontynentów. To, co zobaczyłem, było złożonym, długim, chaotycznym skupiskiem ruin, budowli wspaniałych, choć nie należących do stylów znanej nam architektury, w najróżniejszym stadium przetrwania. Większość wyglądała jak wzniesiona z marmuru, połyskując bielą w świetle reflektora i generalnie rzecz biorąc, miałem przed sobą ogromne miasto na dnie wąskiej kotliny z licznymi, stojącymi na uboczu świątyniami i willami na zboczach powyżej. Dachy zapadły się, kolumny popękały, lecz wciąż w miejscu tym panowała aura pradawnej świetności, której nie mógł przyćmić nawet upływ czasu.

Stając naprzeciw Atlantydy, którą dotąd uważałem za mit, stałem się natychmiast najgorliwszym i najbardziej zawziętym z badaczy. Na dnie kotliny płynęła ongiś rzeka, kiedy bowiem przyjrzałem się uważniej, dostrzegłem pozostałości kamiennych i marmurowych mostów oraz nabrzeży, tarasów i pirsów, które niegdyś musiały być dumne i piękne.

W mym entuzjazmie stałem się niemal równie obłąkany i sentymentalny jak nieszczęsny Klenze i bardzo późno zauważyłem, że prąd południowy ustał w końcu zupełnie, pozwalając, by U-29 opadła do tego zatopionego



miasta tak, jak samolot osiada na ziemnym lotnisku. Równie późno uświadomiłem sobie, że zniknęły też delfiny.

Po dwóch godzinach okręt osiadł w końcu na brukowanym placu przy kamiennej ścianie kotliny. Po jednej stronie widziałem rozległy fragment miasta aż do starego nasypu rzeki, po drugiej w zdumiewającej bliskości stanąłem przed bogato zdobioną i doskonale zachowaną fasadą ogromnego budynku, najwyraźniej świątyni, wykutej w litej skale. Mogę jedynie domyślać się, kto był twórcą tego tytanicznego dzieła. Potężna fasada ma w sobie liczne zagłębienia i otwory, widnieje w niej wiele rozmaicie rozmieszczonych okien. Pośrodku zieją wielkie, otwarte odrzwia, do których dotrzeć można po gigantycznych długich schodach, które otaczają posągi przypominające jakby spoczywających uczestników bachanalii. W oczy rzucają się przede wszystkim wielkie kolumny i fruzy, zdobione rzeźbami niemożliwej do opisanego urody; wygląda na to, że przedstawiają one wyidealizowane sielankowe scenki oraz procesje kapłanów i kapłanek niosących osobliwe artefakty rytualne ku czci świetlistego bóstwa. Sztuka emanuje fenomenalną wręcz doskonałością, jest w dużej mierze helleńska, a jednak ma w sobie jakiś inny, niesprecyzowany bliżej pierwiastek. To dzięki niemu odnosi się wrażenie, że obcuje się z czymś przeraźliwie starym, z odległym przodkiem, miast bezpośredniego potomka greckiej sztuki klasycznej. Nie mogę również wątpić, że każdy szczegół tej masywnej doskonałości został wykuty w litej skale. Jest to bez wątpienia fragment ściany kotliny, choć nie potrafię pojąć, w jaki sposób wydrążono w kamieniu tak wiele otworów i jak wygląda owa świątynia od środka. Być może wykorzystane zostały naturalne jaskinie lub nawet cała sieć jaskiń. Ani upływ czasu, ani woda nie zdołały naruszyć pierwotnej chwały tego budzącego grozę miejsca, niewątpliwie świątyni, i dziś po tysiącletniach od swego stworzenia trwało one nietknięte i niezbrukane, pośród bezkresnej nocy i ciszy oceanicznej otchłani.

Nie pamiętam, ile czasu zmitrężyłem, gapiąc się na zatopione miasto z jego budowlami, łukami, mostami i posągami oraz kolosalną świątynię otoczoną aurą piękna i tajemnicy. Choć wiedziałem, że śmierć jest bliska, zżerała mnie ciekawość i poszukiwałem odpowiedzi w świetle reflektora. Ten jasny promień pozwolił mi poznać wiele szczegółów, lecz nie ujawniał nic, co znajdowało się za drzwiami wykutej w skale świątyni - i po pewnym czasie wyłączyłem prąd, świadom, że muszę go oszczędzać. Reflektor świecił teraz dużo słabiej niż podczas tygodni rejsu. I jakby pod wpływem ciemności, poczułem, że narasta we mnie pragnienie poznania podwodnych sekretów. Ja, Niemiec, powinienem być pierwszy, który przemierzy owe zapomniane od wieków ścieżki!

Wydobyłem i sprawdziłem metalowy, głębinowy kombinezon do nurkowania i przeprowadziłem próbę z przenośną latarką i regeneratorem powietrza.

Chociaż powinienem mieć kłopoty z obsługą w pojedynkę podwójnych luków, wierzyłem, że pokonam wszelkie trudności dzięki swym naukowym umiejętnościom i odbędę spacer po ulicach wymarłego miasta.

Szesnastego sierpnia opuściłem U-29 i z mozołem ruszyłem zasłanymi gruzem i mułem uliczkami w kierunku prastarego koryta rzeki. Nie natrafiłem na żadne szkielety czy inne ludzkie szczątki, lecz monety i rzeźby, które znalazłem, były z punktu widzenia archeologa prawdziwym skarbem. Nie mogę teraz nic więcej powiedzieć na ten temat, a jedynie wyrazić swą trwogę wobec kultury znajdującej się u szczytu swej chwały, kiedy lud jaskiniowy zamieszkiwał tereny Europy, a Nil wpływał przez nikogo nie oglądany do morza. Inni, kierowani tym manuskryptem, jeżeli kiedykolwiek zostanie odnaleziony, muszą zgłębić tajemnice, które ja mogę jedynie przybliżyć w formie mglistych aluzji. Wróciłem do łodzi, gdy moje baterie elektryczne zaczęły słabnąć, postanawiając zbadać kamienną świątynię dnia następnego.

Następnego dnia, gdy me pragnienie odkrycia sekretu świątyni stało się nie do odparcia, doznałem ogromnego rozczarowania, okazało się bowiem, że rzeczy niezbędne do wymiany w przenośnej latarce uległy zniszczeniu podczas buntu tych cuchnących wieprzy w lipcu. Moja wściekłość nie miała sobie równych, a mimo to niemiecki rozsądek nie pozwolił mi wejść bez źródła światła do mrocznego wnętrza kamiennej świątyni, która mogła okazać się kryjówką jakiegoś nieopisanego morskiego potwora lub labiryntem, z którego po ciemku nigdy nie znalazłbym wyjścia. Mogłem jedynie ustawić gasnący reflektor we właściwym kierunku i w jego świetle zbliżyć się do świątyni, wejść po jej schodach i zbadać zewnętrzne rzeźbienia.

Promień światła wpływał do wnętrza budowli pod kątem i choć usiłowałem zajrzeć do środka, moje wysiłki spełzyły na niczym. Nie mogłem dostrzec nawet sufitu i choć widziałem na krok lub dwa poza próg, sprawdzając uprzednio laską podłogę, nie odważyłem się postąpić dalej. Co więcej, po raz pierwszy w życiu ogarnął mnie paniczny lęk. Zacząłem zdawać sobie sprawę, skąd wzięły się pewne chimery nieszczęsnego Klenzego, kiedy bowiem świątynia zaczęła przyciągać mnie coraz bardziej ku sobie, w przypiływie nagłej, paraliżującej grozy, narastającej z każdą chwilą, zacząłem lękać się jej mrocznych otchłani. Powróciwszy do okrętu, wyłączyłem światła i siedziałem w mroku, rozmyślając. Musiałem oszczędzać prąd na sytuacje awaryjne.

Sobotę spędziłem w egipskich ciemnościach dręczony myślami i wspomnieniami, grożącymi zdruzgotaniem mej silnej niemieckiej woli.

Klenze oszalał i umarł, zanim dotarł do tej złowieszczej pozostałości z odległej, dawno zapomnianej przeszłości, i radził, abym i ja uczynił to samo.

Czy zaiste los oszczędził mi zdrowe zmysły tylko po to, by sprowadzić na mnie bezlitośnie koniec bardziej przerażający i okrutny, niż można by

sobie wyobrazić? Nerwy miałem zszarpane i uznałem, że powinienem porzucić rozmyślania, godne jeno ludzi słabszej natury.

Sobotniej nocy nie mogłem zasnąć, i nie myśląc o przyszłości, włączyłem światła. Drażniło mnie, że prądu nie starczy mi na równi z powietrzem i zaopatrzeniem. Ponownie nawiedzały mnie myśli o eutanazji i raz jeszcze przyjrzałem się baczniej memu pistoletowi. Nad ranem musiałem zasnąć z włączonym światłem, bo gdy obudziłem się w południe, baterie były do cna wyczerpane. Zapaliłem kilka zapalek, jedną po drugiej, żałując, że z braku przezorności wypaliliśmy podczas rejsu kilka znajdujących się na pokładzie świec.

Po spaleniu ostatniej zapalniczki, którą odważyłem się zużyć, siedziałem czas jakiś po ciemku w kompletnym bezruchu. Rozważając nieuchronny koniec, przebiegłem w myślach ostatnie wypadki, budząc w sobie uśpione dotąd wrażenie, na które człowiek słabszy i bardziej zabobonny niewątpliwie musiałyby się wzdrygnąć - głowa świetlistego bóstwa na płaskorzeźbach na ścianie świątyni jest identyczna jak u figurki, którą miał przy sobie martwy marynarz, a teraz Klenze zabrał ze sobą w otchłań.

Ten zbieg okoliczności nieco mnie poruszył, ale jeszcze nie przeraził. Tylko gorszy myśliciel spieszy tłumaczyć złożone i osobliwe zdarzenia prymitywnymi paranormalnymi wyjaśnieniami. Zbieg okoliczności był dziwny, aleja miałem nazbyt racjonalną naturę, by łączyć ze sobą przesłanki, nie mające ze sobą nic wspólnego lub nie związane w żaden jawny sposób z tragicznymi wypadkami, biorącymi swój początek od sprawy „Victory” i prowadzącymi poprzez łańcuch zdarzeń aż do mego obecnego, dość opłakanego położenia. Ponieważ potrzebowałem wypoczynku, wziąłem środek nasenny i ułożyłem się do snu. Mój niepokój odbijał się nawet we snach, wydawało mi się bowiem, że słyszę krzyki tonących i widzę twarze umarłych przyklepione do bulajów statku. Wśród

tych umarłych twarzy jedna była żywą, drwiącą, wykrzywioną ironicznie twarzą młodzieńca z figurką z kości.

Muszę uważać, jak opowiem o mym dziwnym przebudzeniu, gdyż mam rozstrojone nerwy i wydarzenia rzeczywiste mieszają się z halucynacjami.

Psychologicznie rzecz biorąc, mój przypadek jest wielce interesujący, aż szkoda, że nie może być przebadany przez kompetentnych niemieckich lekarzy specjalistów. Od momentu gdy otworzyłem oczy, pierwsze, czego pragnąłem, to odwiedzić kamienną świątynię. Pragnienie to narastało z każdą chwilą, a jego przeciwieństwem był rodzący się gdzieś we mnie, bliżej niesprecyzowany lęk. Niedługo potem odniosłem wrażenie, że dostrzegam światło. Mimo ciemności i wygasłych baterii wydawało mi się, że widzę jakby fosforescencję jarzącą się w wodzie za okienkiem bulaju od strony świątyni. Zanim jednak zdołałem to zbadać, pojawiło się trzecie wrażenie, które z powodu swej irracjonalności nakazało mi wątpić w obiektywność tego, co mogły zarejestrować zmysły. Było to złudzenie słuchowe, wrażenie obecności rytmicznego, melodyjnego dźwięku przypominającego dziki, nieujarzmiony hymn lub chorał dochodzący spoza w pełni dźwiękoszczelnego kadłuba U-29. Przeświadczony o mych psychicznych zaburzeniach, zapaliłem kilka zapalek i przyrządziłem sobie roztwór potężnej dawki bromu mający uspokoić mnie i w rezultacie uwolnić od iluzji słuchowych. Fosforescencja pozostała jednak i trudno mi było przezwyciężyć dziecinny impuls zbliżenia się do bulaju i odnalezienia wzrokiem jej źródła.

Była tak upiornie realna, że już wkrótce za jej pomocą zdołałem dostrzec wszystkie otaczające mnie, a znajome obiekty, podobnie jak pustą szklanę po bromie, którą wcześniej postawiłem „w ciemności” w nie określonym bliżej miejscu. To dało mi wiele do myślenia i przeszedłszy przez kajutę, zatrzymałem się przy bulaju, dotykając szkła. Było na swoim miejscu.

Wszystko wyglądało normalnie. Teraz wiedziałem już, że światło albo istniało naprawdę, albo też element halucynacji był tak silny i zafiksowany, że nic nie było w stanie go unicestwić, toteż zaprzestając dalszego stawiania oporu, wszedłem do kiosku, aby odnaleźć źródło owej luminescencji. Może był to inny U-Boot, a wraz z nim nadchodziła nadzieja ocalenia?

Zdaję sobie sprawę, że czytelnik najprawdopodobniej nie przyjmie tego, o czym teraz napiszę, jako prawdy obiektywnej, i bardzo dobrze, bo skoro wydarzenia wykraczają poza granice prawa naturalnego, muszą być one z konieczności subiektywnym nierzeczywistym tworem przemęczonego, zaburzonego mego umysłu.

Gdy dotarłem do kiosku, stwierdziłem, że otchłań wcale nie jest tak mocno oświetlona, jak mi się wydawało. W pobliżu nie było świecących roślin ani zwierząt, a miasto opadające w dół, ku rzece, tonęło w mroku. To, co ujrzałem, nie było spektakularne, groteskowe ani przerażające, a jednak odebrało mi resztki wiary w przytomność umysłu. Drzwi bowiem i okna podwodnej świątyni wykutej w kamieniu zbocza pały intensywną migotliwą poświatą, jakby w jej wnętrzu gdzieś głęboko, na ołtarzu płonął dziwaczny ogień.

Późniejsze wypadki zdają mi się dość chaotyczne.

Gdy tak patrzyłem na oświetlone drzwi i okna, doznałem najbardziej osobliwych wizji, wizji tak nieprawdopodobnych, że nawet trudno mi je zrelacjonować. Wydawało mi się, że widzę obiekty wewnątrz świątyni, obiekty zarówno unieruchomione, jak i poruszające się, i odniosłem wrażenie, że słyszę znów ten nierzeczywisty śpiew, który doszedł mnie po raz pierwszy po przebudzeniu. Znów ogarnęły mnie myśli i lęki koncentrujące się wokół osoby młodzieńca z morza i kościanej figurki, której wizerunek przedstawiono tylekroć na frezach i kolumnach świątyni znajdującej się przede mną. Pomyślałem o nieszczęsnym Klenze'u i zastanawiałem się, gdzie spoczęło jego ciało z figurką, którą zabrał z sobą

w odmęt. Ostrzegał mnie przed czymś, ale go nie usłuchałem, on wszelako był tylko miękkim, uległym Nadreńczykiem, który oszalał w sytuacji, z którą Prusak był gotów poradzić sobie bez większego trudu.

Reszta jest bardzo prosta. Pragnienie odwiedzenia i wejścia do świątyni stało się teraz dla mnie niewytłumaczalnym imperatywem, rozkazem, któremu nie potrafię się już dłużej opierać. Nie panuję już nad swą dotąd niezłomną, niemiecką wolą i potrafię podejmować decyzje jedynie dotyczące najbardziej błahych spraw.

Takie samo szaleństwo popchnęło Klenzego do śmierci, skłoniło go do wyjścia bez skafandra na dno oceanu, ja jestem jednak Prusakiem, człowiekiem twardym i przytomnym, zamierzam, jak długo się da, ocalić tę resztkę rozsądku i woli, jaka mi jeszcze pozostała. Kiedy zorientowałem się, że prędzej czy później opuszczę okręt, przygotowałem mój kombinezon, hełm i regenerator powietrza do natychmiastowego założenia, po czym bezzwłocznie zabrałem się do spisania tej kroniki w nadziei, że któregoś dnia dotrze ona do świata powyżej.

Włożę manuskrypt do butelki i wrzucę do morza, z chwilą gdy na zawsze opuszczę mój okręt. Nie lękam się, nawet prorocstwa szaleńca Klenzego nie budzą we mnie strachu. To, co ujrzałem, nie może być prawdą i zdaję sobie sprawę, że to szaleństwo i utrata woli doprowadzi mnie co najwyżej do śmierci przez uduszenie, gdy wyczerpie się mój zapas tlenu. Światło w świątyni jest czystą iluzją, złudzeniem i odejdę spokojnie, jak prawdziwy Niemiec, umierając w czarnych i zapomnianych głębinach. Demoniczny śmiech, który słyszę, pisząc te słowa, dochodzi wyłącznie z mego własnego, odmawiającego posłuszeństwa mózgu.

Teraz zaś skrzętnie włożę swój kombinezon i ruszę dzielnie po schodach w głąb tej pierwotnej świątyni, owego cichego sekretu bezdennych morskich głębin i niezmierzonej otchłani czasu.

# PRZYCZAJONA GROZA

## I. Cień na kominie

**T**ej nocy, kiedy udałem się do opuszczonej posiadłości na szczycie Góry Gromów, by odnaleźć tam przyczajoną grozę, wokoło szalała burza. Nie byłem sam, nieostrożność i brawura nie łączyły się bowiem w mej duszy z zamiłowaniem do rzeczy osobliwych i przerażających, które ugruntowały mą karierę i skłoniły do poszukiwań tajemniczych a budzących grozę koszmarów, zarówno w życiu, jak i literaturze. Towarzyszyło mi dwóch wiernych krzepkich mężczyzn, po których posłałem, gdy nadeszła pora; ludzie ci ze względu na swe szczególne umiejętności od dawna towarzyszyli mi w upiornych ekspedycjach.

Wyruszyliśmy z wioski po cichu, z uwagi na reporterów, którzy wciąż tam przebywali, od czasu owej mrocznej, posepnej paniki, jaka wybuchła zaledwie miesiąc wcześniej, a ściślej od koszarnej nocy, gdy nieuchwytna śmierć nawiedziła niewielką wioskę. Skonstatowałem, iż przydadzą mi się później, teraz wszelako nie zależało mi zbytnio na ich obecności. Gdzieś w głębi serca chciałem, by wzięli udział w tych poszukiwaniach, bym nie musiał tak długo nosić w sobie brzemienia owego sekretu, w grę wchodziła bowiem obawa, że świat uzna mnie za obłąkanego lub że ja sam stracę zmysły za sprawą demonicznych implikacji tej mrożącej krew w żyłach tajemnicy.



Teraz jednak postanowiłem wyznać wszystko, niechaj kto chce nazwie mnie szaleńcem, żałuję jedynie, że tak długo trzymałem ową rzecz w sekrecie. Ja bowiem i tylko ja wiem, jakiego rodzaju groza czai się na szczycie tej widmowej, opuszczonej góry.

Niewielkim automobilem przebrnęliśmy przez mierzącą wiele mil połąć pradawnego lasu i wzgórze, póki stromizna nie okazała się dla naszego pojazdu nie do pokonania. Miejsce to, oglądane nocą i bez tłumów śledczych, którzy kręcili się tu za dnia, wydało się nam o wiele bardziej złowrogie i nieraz kusiło nas, by zrobić użytek z acetylenowego reflektora, nie zważając na to, co silny blask mógłby ku nam przywabić. Po zmierzchu krajobraz wcale nie wydawał się przyjazny i urokliwszy; podejrzewam, że nawet nie wiedząc o grozie, która tutaj czyhała, mimo woli wyczułbym zawartą w owym miejscu złą aurę. W pobliżu nie było widać żadnych dzikich zwierząt, są one bowiem roztropne, wyczuwają od razu obecność zagrożenia i śmierci.

Prastare, poorane przez pioruny drzewa wydawały się nienaturalnie wielkie i poskręcane, inna roślinność natomiast nienaturalnie gęsta i wybujała, podczas gdy porośnięte chwastami fulgurytowe pagórki i wzniesienia kojarzyły mi się z węzami i czaszkami trupów powiększonymi do gigantycznych rozmiarów.

Groza czaiła się na Górze Gromów od ponad stu lat. Dowiedziałem się tego dzięki artykułowi w gazecie dotyczącemu tragedii, który po raz pierwszy przybliżył światu to niesamowite miejsce. Jest to odległy, odludny region Catskills, gdzie ongi przez krótki czas próbowała osiąść grupa osadników - Holendrów, pozostawiając po sobie jedynie kilka zrujnowanych posesji oraz zaludnione grupkami zdegenerowanych indywiduów żalosne wioski rozrzucone na zapomnianych przez Boga górskich zboczach. Normalni ludzie rzadko odwiedzali te rejony, póki nie sformowano oddziałów policji stanowej, lecz nawet wówczas stróże prawa

patrowali je sporadycznie i z wielką niechęcią. Groza wszelako należy do elementów prastarej tradycji, obecnych w sąsiadujących ze sobą wioskach, jest ona bowiem głównym tematem niewyszukanych rozmów owych nieszczęsnych wiejskich prostaków, którzy z rzadka opuszczają swe doliny, by wymieniać ręcznie plecione kosze na prymitywne, acz niezbędne do życia rzeczy, których sami nie byli w stanie ustrzelić, zrobić lub wyhodować.

Przyczajona groza zamieszkała w unikanej przez ludzi, opuszczonej posesji Martense'ów wzniesionej na szczycie wysokiego, tarasowego wzgórza, które z uwagi na częstość szalejących nad nim burz nazwano Górą Gromów. Przez ponad sto lat prastary, otoczony gajem, kamienny dom był tematem niewiarygodnych, mrozących krew w żyłach historii, opowiadań o potężnej, sunącej cicho i nieubłaganej śmierci, która latem nawiedziła okoliczne tereny.

Wieśniacy z trwogą i zapamiętaniem zarazem mówili o demonie, który po zmierzchu czyhał na samotnych wędrowców, aby porwać ich w nieznane lub pozostawić rozszarpane na strzępy szczątki w pobliżu leśnego duktu, nadzarte, jakby to uczyniły wielkie, okrutne bestie. Czasami miejscowi szeptali także o śladach krwi wiodących jakoby ku odległej posesji. Niektórzy zarzekali się, że to grzmoty wywoływały przyczajoną grozę z jej domeny, inni natomiast twierdzili, iż huk gromu był jej prawdziwym głosem.

Nikt, kto mieszkał poza leśnymi ostępami, nie wierzył w te różnorodne, częstokroć sprzeczne historie, pełne niespójnych, wynaturzonych opisów na wpół dostrzeżonego demona; żaden farmer ani wieśniak nie wątpił jednak, że posiadłość Martense'ów była nawiedzona. Historia tej okolicy nie pozostawiała miejsca na jakiegokolwiek powątpiewanie, mimo iż śledczy, którzy odwiedzali posesję, gdy jakaś rozgłaszana przez miejscowych historia okazywała się wyjątkowo barwna, nie natrafili na jakiegokolwiek

ślady istnienia upiornych mocy. Babki snuły osobliwe opowieści o duchu Martense'a, legendy związane z jego rodem, dziwaczną wadą wrodzoną, przekazywaną genetycznie z pokolenia na pokolenie, a polegającą na odmienności barw obojga oczu, burzliwymi nienaturalnymi dziejami owej rodziny, zapisywanymi w opasłej kronice, i morderstwem, którego klątwa ciążyła nad kolejnymi dziedzicami.

Groza, która przyciągnęła mnie tutaj, była jak nagły omen, potwierdzający najwymyślniejsze spośród osobliwych historii rozgłaszanych wśród górali.

Pewnej letniej nocy, po wyjątkowo silnej burzy, w okolicy odnotowano gwałtowną ucieczkę ogarniętych paniką wieśniaków, których trwogi nie mogły wywołać zwykłe przywidzenia czy iluzje. Żalosne tłumy prymitywnych górali, wyjąc i wrzeszcząc wniebogłosy, bełkotały o nienasyconej grozie, która ich nawiedziła. Co do tego ludzie nie mieli wątpliwości. Nie widzieli, co to było, ale słyszeli straszliwe wrzaski dochodzące z jednego z siół i wiedzieli, że miejsce to odwiedziła okrutna śmierć.

Rankiem mieszkańcy i policja podążyli za wstrząśniętymi góralami do miejsca, którego, jak powiadano, dotknął palec śmierci. Tak było w istocie.

Ziemia pod jedną z wiosek górali zapadła się po uderzeniu pioruna, obracając w perzynę kilka cuchnących, brudnych szalasów; było to jednak niczym w porównaniu ze zniszczeniami bez wątpienia organicznej natury. Mimo iż zamieszkiwało tu około siedemdziesięciu pięciu osób, w pobliżu nie było żywego ducha. Wzburzoną ziemię pokrywały plamy krwi i ludzkie szczątki, aż nadto wyraziście obrazujące okrucieństwo szponów i kłów nie nazwanego demona. Od miejsca masakry nie odchodziły jednak żadne widoczne ślady, które znaczyłyby jego drogę ucieczki. Wszyscy zgodnie potwierdzali, że sprawcą owej zbrodni musiało być jakieś potworne zwierzę, nikt wszakże nie wspomniał, iż okrutnością mord ten przypominał

najbardziej posępne rzezie dokonywane wśród głęboko dekadencckich wspólnot. Sprawę ponownie nagłośniono, kiedy okazało się, że w nie wyjaśniony sposób zginęło około dwudziestu pięciu mieszkańców wioski, nawet jednak w tych okolicznościach nikt nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób ludzie ci byliby w stanie zamordować ze szczególnym okrucieństwem, jak dzikie bestie, prawie pięćdziesiąt osób. Niezbitym dowodem było to, że owej letniej nocy niebo rozcięła błyskawica, a po burzy pozostała wymarła wioska pełna upiornych, zmasakrowanych, rozszarpanych i nadżartych ciał.

W okolicy natychmiast zaczęto szemrać, łącząc owo koszarne zdarzenie z nawiedzoną posesją Martense'ów, choć oba miejsca dzieliła odległość ponad trzech mil. Policjanci byli bardziej sceptyczni, włączyli posiadłość do śledztwa jedynie z obowiązku i po pobieżnym przeszukaniu, stwierdziwszy, że jest opuszczona, natychmiast skreślili ją z rejestrów. Wieśniacy i okoliczni mieszkańcy natomiast przeczesali całe to miejsce z niezwykłą pieczołowitością. Wywrócili wszystko w domu do góry nogami, przebagrowali stawy i strumienie, przetrząsnęli zarośla i przebadali uważnie każdy skrawek pobliskiego lasu. Wszystko na próżno; śmierć pojawiła się i odeszła, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów, z wyjątkiem zniszczeń i trupów.

Drugiego dnia poszukiwań całą sprawę nagłośniła skutecznie prasa, na Górze Gromów zaroilo się nagle od dziennikarzy. Pismacy skoncentrowali się przede wszystkim na makabrycznych szczegółach, a przeprowadzając wywiady, starali się ukazać całą sprawę jak pradawny koszmar w historycznej otoczce legend i mitów opowiadanych przez miejscowe babiny. Z początku śledziłem te doniesienia bez większego entuzjazmu, jeżeli bowiem chodzi o grozę, uważam siebie za konesera, jednak po tygodniu wyczułem coś dziwnego, co wzbudziło me zainteresowanie, i tak oto piątego sierpnia 1921 roku wynająłem pokój w hotelu w Lefferts

Corners, wiosce leżącej najbliżej Góry Gromów, w hotelu pełniącym zarazem funkcję kwatery głównej badających okolicę dziennikarzy. Trzy tygodnie później dziennikarzy pozostało tu już niewiele, mogłem zatem rozpocząć swe przerażające śledztwo, oparte na pobieżnych wywiadach, badaniach i obserwacjach, czyli tym wszystkim, czym zajmowałem się do tej pory.

Tak więc owej letniej nocy, gdy z oddali dobiegał ryk grzmotów, zostawiłem swój cichy automobil i z dwoma uzbrojonymi towarzyszami wspiąłem się na szczyt Góry Gromów. W świetle mej latarki elektrycznej już niebawem pośród wielkich dębów zaczęły ukazywać się widmowe, szare mury. W mrokach tej posępnej nocy, rozjaśniona jedynie falującym snopem światła, owa wielka budowla zdawała się mgliście sugerować koszmary, których za dnia nie sposób było dostrzec; niemniej jednak nie zawahałem się, jako że przybyłem tu z głębokim postanowieniem doprowadzenia mojej misji do końca. Chciałem upewnić się, czy moje przypuszczenia były słuszne.

Wierzyłem, że odgłos grzmotów przywoływał demona śmierci z jakiegoś przerażającego sekretnego miejsca i, czy demon ów był istotą z krwi i kości, czy też widmową zjawą, zamierzałem go ujrzeć.

Jako że uprzednio starannie przeszukałem starą posesję, plan miałem gruntownie opracowany; na miejsce czuwania wybrałem stary pokój Jana Martense'a, ofiary mordu, o którym pamięć po dziś dzień żyje w wieśniaczych legendach. Coś mi mówiło, że jego apartament najlepiej będzie się nadawać do moich celów. Komnata mierząca około dwudziestu stóp kwadratowych zawierała, podobnie jak inne pokoje, sterty połamanych gratów, które ongiś były meblami. Znajdowała się na pierwszym piętrze w południowo-wschodnim narożniku domu, miała wielkie okno od wschodniej i wąskie od południowej strony, oba wszelako pozbawione były szyb oraz okiennic. Naprzeciw dużego okna mieścił się potężny holenderski

kominek, na kaflach którego przedstawiono historię syna marnotrawnego, naprzeciw wąskiego okienka zaś w ścianę wbudowano szerokie łoże.

Gdy grzmoty, stłumione przez drzewa, przybrały na sile, zająłem się realizacją szczegółów mego planu. Najpierw przymocowałem do parapetu okna trzy, jedną obok drugiej, drabinki sznurowe, które przyniosłem ze sobą.

Wiedziałem, że sięgają szerokiego spłachcia trawnika pod oknem, ponieważ wcześniej dokładnie je sprawdziłem. Następnie we trzech przyciągnęliśmy z drugiego pokoju szerokie łoże z baldachimem i ustawiliśmy je przy oknie.

Zamaskowaliśmy je gałęziami jedliny i rozciągnęliśmy się we trzech na łóżku, z przygotowanymi pistoletami automatycznymi. Dwóch odpoczywało, podczas gdy trzeci trzymał wartę. Niezależnie od tego, z której strony mógł się pojawić demon, mieliśmy zapewnioną drogę ucieczki. Gdyby przybył z wnętrza domu, mieliśmy drabinki sznurowe, gdyby zaś zjawił się z zewnątrz, pozostawały nam schody i drzwi. Mając na uwadze precedens, nie sądziliśmy, aby nawet w najgorszej sytuacji upiór ścigał nas daleko od domu.

Trzymałem wartę między północą a pierwszą i nagle, pomimo posepności domostwa, nie strzeżonego okna i zbliżającej się burzy, poczułem niezwykłą senność. Znajdowałem się pomiędzy dwoma moimi towarzyszami, George'em Bennettem zwróconym ku oknu i Williamem Tobeyem wpatrującym się w kominek. Bennett spał, najwyraźniej porażony tą samą tajemniczą sennością, która dotknęła i mnie, toteż wyznaczyłem na kolejną wartę Tobeya, choć i jemu kiwała się lekko głowa. To zadziwiające, z jakim zapamiętaniem wpatrywał się w ten kominek.

Przybierający na sile grzmot musiał wywrzeć znaczący wpływ na moje sny, gdyż podczas krótkiej drzemki, która mnie zmogła, nawiedziły mnie isticie apokaliptyczne wizje. Raz o mało się nie obudziłem, prawdopodobnie

dlatego, że śpiący pod oknem przypadkiem położył mi rękę na piersi. Nie rozbudziłem się jednak na tyle, by sprawdzić, czy Tobey wypełniał należycie swe obowiązki wartownika, lecz poczułem w związku z tym niewysłowiony a niejasny niepokój. Nigdy dotąd nie doświadczyłem równie silnego wrażenia obecności zła. Później znów musiałem zapaść w sen, wyrwały mnie bowiem z objęć karmiącego mój umysł koszmarami Morfeusza przeraźliwe, przeszywające noc krzyki, jakich nigdy dotąd nie słyszałem ani nawet nie byłem w stanie sobie wyobrazić.

We wrzaskach tych zawierał się odgłos, z jakim sama esencja ludzkiego strachu, agonii i cierpienia mogłaby dobijać się bezradnie i szaleńczo do hebanowych bram mrocznego zapomnienia. Obudziłem się pośród czerwonego oblędu i diabolicznej drwiny, podczas gdy niepojęte wizje owej chorobliwej i krystalicznie wyrazistej udręki umykały gdzieś hen, wycofując się z mego umysłu. Nie było światła, lecz wyczuwając po swej prawej stronie puste miejsce, zorientowałem się, że Tobey gdzieś zniknął. Bóg jeden wiedział, dokąd mógł się udać. Na mojej piersi wciąż spoczywało ciężkie ramię śpiącego przy oknie mężczyzny.

I nagle błysnęło, a zaraz potem huknął grom, wstrząsając w posadach całą górą, i rozłupał patriarchę pokrzywionych, gruzłowatych drzew. Gdy rozbłysł potworny, zygzakowaty piorun, śpiący drgnął i nagle się obudził, a blask zza okna sprawił, że na przewodzie kominkowym, powyżej paleniska, pojawił się jego cień, od którego nie byłem potem w stanie oderwać wzroku. To, że nadal żyję i zachowałem zdrowe zmysły, jest cudem, którego nie potrafię wytłumaczyć. Nie jestem w stanie tego wyjaśnić, gdyż cień na kominie nie należał do George'a Bennetta ani jakiegokolwiek innej istoty ludzkiej, lecz do bluźnierczej potworności z najdalszych zakamarków piekieł; bezimiennej, bezkształtnej potwornej istoty, której żaden umysł nie potrafi w pełni objąć i żadne pióro nie jest w stanie jej opisać. W następnej chwili pozostałem w przeklętej posiadłości sam, rozdygotany i bełkoczący

jak obłąkaniec. Po George'u Bennecie i Williamie Tobeyu nie pozostał żaden ślad, nie było żadnych oznak walki. I nikt nigdy już o nich nie usłyszał.

## II. Chodzący wśród burzy

Następne kilka dni po tym przerażającym doświadczeniu w posiadłości leżącej pośród leśnej głuszy przeleżałem do cna wyczerpany w hotelowym pokoju w Lefferts Corners. Nie pamiętam dokładnie, jak udało mi się dotrzeć do samochodu, uruchomić go i wrócić niepostrzeżenie do wioski; nie mam bowiem żadnych konkretnych wspomnień, jedynie mgliste, ulotne wizje dzikorękich gigantycznych drzew, demonicznego mamrotania gromów i charonicznych cieni przecinających w poprzek niskie pagórki, od których w tej okolicy aż się roiło.

Gdy rozdygotany rozmyślałem, co mogło rzucić ów porażający zmysły cień, zorientowałem się, że ujrzałem na własne oczy jeden z najokropniejszych koszmarów ziemi, nie nazwaną grozę z zewnętrznej pustki, której słabe demoniczne skrobanie słyszymy niekiedy na najdalszych obrzeżach kosmosu, której oblicza jednak litościwie oszczędzono nam ujrzeć. Nie mam dość odwagi, by starać się przeanalizować lub zidentyfikować cień, który ujrzałem.

Tamtej nocy coś leżało pomiędzy oknem a mną i dreszcz mnie przechodził za każdym razem, gdy instynkt nakazywał, bym próbował to jakoś określić.

Gdyby przynajmniej zawarczało, zawyło lub zaśmiało się zawodzącym, piskliwym chichotem, to przynajmniej do pewnego stopnia złagodziłoby przepastną potworność owego zdarzenia.



Lecz to było ciche, tak ciche... Położyło mi na piersi ciężkie swe ramię lub nogę... Najwyraźniej była to istota organiczna, no, przynajmniej kiedyś była organiczna... Jan Martense, którego pokój zająłem, został pogrzebany na cmentarzu w pobliżu swej posiadłości... muszę odnaleźć Bennetta i Tobeya, jeżeli żyją... Czemu to zabrało ich, a mnie zostawiło na koniec?... Senność jest tak przytłaczająca... nieodparta... a sny tak upiorne...

Wkrótce uświadomiłem sobie, że muszę opowiedzieć komuś mą historię, bo w przeciwnym razie załamie się całkowicie. Postanowiłem już, że nie porzucę poszukiwań przyczajonej grozy, gdyż w błogiej nieświadomości sądziłem, iż niepewność gorsza jest od poznania, jakkolwiek miałyby się ono okazać zatrwajające. Obmyśliłem przeto najlepszy w moim mniemaniu plan działania; wiedziałem już, komu mam się zwierzyć ze swych przeżyć i jak wysledzić i dopaść istotę, która w niewiadomy sposób porwała dwóch moich ludzi i rzuciła koszmarny cień.

W Lefferts Corners zapoznałem się z kilkoma uprzejmymi dziennikarzami, którzy zdecydowali się pozostać w wiosce, by zrelacjonować ostatnie echa tragedii. Spośród nich właśnie postanowiłem wybrać mego powiernika i im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej byłem przekonany, by opowiedzieć o swych makabrycznych przeżyciach niejakiemu Arthurowi Munroe, ciemnowłosemu, szczupłemu mężczyźnie w wieku około trzydziestu pięciu lat, którego wykształcenie, gusta i inteligencja oraz temperament sugerowały, iż nie ograniczał się on jedynie do konwencjonalnych pomysłów oraz doświadczeń.

Pewnego wrześnieowego popołudnia Arthur Munroe wysłuchał mej opowieści. Od początku zauważyłem, że okazywał zainteresowanie i sympatię, kiedy natomiast skończyłem, zaczął dyskutować ze mną, analizując dogłębnie i wnikliwie całe zdarzenie. Rada wszelako, jakiej mi udzielił, była jak najbardziej praktyczna, zalecił bowiem odroczenie

dalszych działań na terenie posesji Martense'ów, póki nie zdobędziemy bardziej szczegółowych informacji historycznych oraz geograficznych.

Z jego inicjatywy przeczesaliśmy okolicę w poszukiwaniu informacji dotyczących straszliwej rodziny Martense'ów i odkryliśmy, że pewien człowiek posiada ich cudownie iluminowaną, rodową kronikę. Sporo rozmawialiśmy również z prymitywnymi osadnikami z gór, którzy nie umknęli przed zgrozą i szaleństwem w odleglejsze zakątki Catskills, co miało być zaczątkiem zwieńczenia naszych badań, a mianowicie wyczerpującej i definitywnej analizy posiadłości w świetle jej szczegółowo zarejestrowanej historii, a także skrupulatnego i ostatecznego zbadania miejsc wiążących się z licznymi tragediami uwiecznionymi w ludowych opowieściach górali.

Rezultaty badań początkowo nie były zbyt zachęcające, aczkolwiek ich zestawienia zdawały się zdradzać wyraźny i znaczący trend; mianowicie, liczba doniesień związanych z koszmarnymi, przerażającymi zdarzeniami była zdecydowanie większa w rejonach znajdujących się w pobliżu opuszczonej posesji lub w miejscach łączących się z nią poprzez połączenie mrocznego, posępnego lasu. Zdarzały się, rzecz jasna, wyjątki, tragedia, o której dowiedział się cały świat, wydarzyła się na płaskiej pozbawionej drzew przestrzeni w miejscu równie odległym od lasu, jak i od podejrzanej, powszechnie unikanej posesji.

Jeżeli chodzi o naturę i wygląd przyuczajonej grozy, przerażeni i mało rozgarnięci mieszkańcy szalasu nie mogli lub nie chcieli nam pomóc. Mówili o niej pospołu jako o wężu i olbrzymie, diabelskim gromie i nietoperzu, sępie i krocącym drzewie. My wszelako domniemywaliśmy, iż była to żywa istota, wysoce wrażliwa na wyładowania elektryczne. W niektórych wersjach sugerowano, że miała ona skrzydła, uznaliśmy jednak, z uwagi na jawną wręcz niechęć do otwartych przestrzeni, że musi ona raczej poruszać się po ziemi. Jedyńm czynnikiem zdającym się przeczyć

powyższej teorii, była szybkość, z jaką musiałyby przemieszczać się owa istota, by dokonać rzeczy, które jej przypisywano.

Kiedy poznaliśmy górali nieco lepiej, stwierdziliśmy, iż są to ludzie pod wieloma względami sympatyczni i mili. Byli prości, to prawda, i znajdowali się po opadającej stronie na skali ewolucyjnej ze względu na swe niefortunne pochodzenie i ogłupiającą izolację. Lękali się obcych, lecz z wolna do nas przywykli, a nawet służyli nam swą pomocą, gdy wycieliśmy zarośla i zerwaliśmy wszystkie przepierzenia na terenie posesji, poszukując, aczkolwiek na próżno, przyczajonej grozy. Kiedy poprosiliśmy, by pomogli nam odnaleźć Bennetta i Tobeya, zareagowali ze szczerą konsternacją.

Chcieli nam pomóc, ale wiedzieli, że przyjaciele moi opuścili ten padół równie skutecznie i nieodwołalnie, jak zaginieni górale z pobliskiego sioła i inni, których porwała tajemnicza groza. Byliśmy przekonani, że wiele spośród ich ofiar padło ofiarą wewnętrznych porachunków i mordów, tak jak odstrzeliwane są dzikie zwierzęta, niemniej z niecierpliwością i niepokojem oczekiwaliśmy na kolejną tragedię.

W połowie października nie na żarty zaczęliśmy się niepokoić przedłużającym się impasem. Noce były pogodne i spokojne, demoniczny napastnik nie zaatakował ponownie, przeprowadzone zaś przez nas na próżno badania domu i okolicy przywiodły nas niemal do przekonania, że mieliśmy do czynienia z istotą niematerialnej natury. Obawialiśmy się, że nadejdą chłody i położą kres naszym badaniom, wszyscy bowiem zgodnie przyznawali, iż zimą demon nie dawał o sobie znać. Dlatego też w pośpiechu i desperacji przepasywaliśmy w promieniach zachodzącego słońca nawiedzony przez grozę zaścianek. Osada świeciła teraz pustkami, gdyż górale bali się tu zachodzić, a co dopiero zamieszkać. Feralna osada nie miała nazwy, mieściła się na niewielkiej połaci bezdrzewnej przestrzeni

pomiędzy skalnymi wzniesieniami o nazwach Stożkowa Góra i Klonowe Wzgórze.

Wioska leżała bliżej Klonowego Wzgórza niż Stożkowej Góry, a niektóre z prymitywnych sadyb wzniesione były wręcz w jaskiniach w zboczu pierwszego ze wspomnianych wzniesień. Miejsce to oddalone było o jakieś dwie mile na północny zachód od podnóża Góry Gromów i trzy mile od otoczonej dębami starej posiadłości. Jeżeli chodzi o odległości pomiędzy osadą a posesją, teren na przestrzeni dwóch i jednej czwartej mili był otwarty i równy, jeśli nie liczyć tych kilku zygzakowatych jak zastygłe pod ziemią węże pagórków, porośniętych trawą i gdzieś tam również chwastami.

Rozpatrując te szczegóły topograficzne, doszliśmy w końcu do wniosku, że demon musiał nadejść od Stożkowej Góry, której zalesiony południowy kraniec nieznacznie tylko oddalony był od najdalej wysuniętej ku zachodowi odnogi Góry Gromów. Odnaleźliśmy także osuwisko znajdujące się na stoku Klonowego Wzgórza oraz strzeliste, rozłupane drzewo, gdzie trafił piorun, który przywołał złe moce. Gdy niemal dwudziesty raz Arthur Munroe i ja przepatrywaliśmy z uwagą każdy cal obróconej w perzynę osady, ogarnęło nas wyjątkowe zniechęcenie, rezygnacja zmieszana z całkiem nowym, niewytłumaczalnym lękiem. Było to zgoła niewiarygodne, nawet dla pospolitych, przerażających i niezwykłych wypadków, że w miejscu, gdzie wydarzyła się tak okrutna i budząca trwogę tragedia, nie pozostał żaden ślad, który mógłby rzucić choć odrobinę światła na materię owego wydarzenia.

Prowadziliśmy przeto nasze badania pod ołowianym, mrocznym niebem, z tragicznym, acz honorowym zapalem godnym lepszej sprawy, mimo iż doskonale wiedzieliśmy, że nasze działania, choć konieczne i niezbędne, skazane były nieuchronnie na porażkę. Działaliśmy z ogromną dokładnością, odwiedziliśmy wszystkie chaty, jedną po drugiej,

przeszukaliśmy każdą kamienną chudobę w poszukiwaniu ciał, przepatrywaliśmy bacznie każdy skrawek górskiego zbocza, lecz bezskutecznie - nie znaleźliśmy w skałach żadnych jaskiń ani grot.

A jednak, jak już wspomniałem, czułem unoszące się gdzieś ponad nami groźne i nie wyjaśnione lęki, jakby z otchłani kosmicznej pustki obserwowały nas wielkie nienasycone gryfy o nietoperzych skrzydłach.

Gdy nadeszło popołudnie, zrobiło się nagle ciemno, usłyszeliśmy także pierwszy grzmot. Nad Górą Gromów zbierało się na burzę. Dźwięk ten w takim miejscu mocno nami wstrząsnął, lecz naturalnie nie tak, jakby to było w nocy. Łudziliśmy się jeszcze, że burza rozpęta się dopiero po zmierzchu i z tą nadzieją kończąc bezowocną inspekcję osady, ruszyliśmy do najbliższego zamieszkanego sioła, by zebrać grupkę górali, którzy mogliby pomóc nam w poszukiwaniach. Mimo że mocno strwożeni, kilku młodszych mężczyzn pod naszym przywództwem obiecało nam swą pomoc.

Ledwie ruszyliśmy w drogę powrotną, kiedy lunęło jak z cebra, deszcz był tak rześisty, że nieodzowne okazało się znalezienie jakiegoś schronienia. Było ciemno choć oko wykol i potykaliśmy się niemal przy każdym kroku, lecz w świetle przecinających niebo raz po raz błyskawic i znając „na pamięć” drogę do wioski, dotarliśmy wkrótce do znajdującej się tam najlepiej zachowanej chaty. Prymitywny szałas zbity był z grubych pni drzew i szorstkich nie heblowanych desek. Jedyne małe okienko i drzwi wychodziły na Klonowe Wzgórze. Zaryglowaliśmy drzwi przed deszczem i wiatrem, zablokowaliśmy też okno toporną okiennicą, jako że po wielokrotnej inspekcji chat odnalezienie jej nie sprawiło nam trudności. Siedzenie w egipskich ciemnościach na drewnianych, rozchwierutanych skrzyniach nie było przyjemne, ogarnięci posępnym nastrojem paliliśmy fajki, włączając co pewien czas nasze kieszonkowe latarki. Światło

piorunów przebijało raz po raz przez szczeliny w ścianie; owo popołudnie było tak mroczne, że każdy błysk wydawał się wręcz oślepiający.

Burzliwe czuwanie skojarzyło mi się z tamtą upiorną, przerażającą nocą na Górze Gromów. W umyśle mym kołatało się wciąż pytanie, które nie dawało mi spokoju od owego straszliwego wydarzenia. Znów pytałem sam siebie, dlaczego demon, zbliżając się do trójki badaczy od strony okna lub z wnętrza domu, rozpoczął od ludzi znajdujących się po bokach, pozostawiając mnie, umieszczonego pomiędzy nimi, na koniec, zanim wyjątkowo silny grzmot nie przegnał go z powrotem. Dlaczego nie porwał swych ofiar w kolejności, niezależnie od tego, od której strony się pojawił? Czemu nie zabrał mnie drugiego? Jaką zasadą się kierował, gdy chwycił w swe macki moich przyjaciół? A może wiedział, że byłem szefem grupy, i oszczędziwszy mnie, zarezerwował dla mnie los dużo gorszy niż ten, jaki czekał mych towarzyszy?

Gdy tak rozmyślałem, zupełnie jakby dramatyzm moich refleksji wpłynął na intensywność wyładowań, kolejny piorun uderzył gdzieś niedaleko, z potworną siłą, a po huku grzmotu dał się słyszeć odgłos przesuwającej się ziemi. Równocześnie skowyt wichru przybrał na sile, przechodząc w zawodzenie, posępne crescendo. Byliśmy przekonani, że błyskawica ponownie trafiła w samotne drzewo na Klonowym Wzgórzu; Munroe wstał ze swojej skrzynki i podszedł do małego okienka, by oszacować rozmiary zniszczeń. Kiedy zdjął okiennicę, deszcz i wyjący opętańczo wicher wtargnęły dziko do środka, nie słyszałem więc, co powiedział. Czekałem cierpliwie, podczas gdy Munroe wychylił się na zewnątrz, próbując określić pandemonium żywiołu. Stopniowo wiatr się uspokoił, chmury rozwiały, burza minęła. Miałem nadzieję, że burzliwa pogoda utrzyma się do wieczora, byśmy mogli przeprowadzić nasze poszukiwania, ale promień słońca wnikający bojaźliwie przez otwór po

sęku w desce za mymi plecami w okamgnieniu obrócił moje nadzieje wniwecz.

Wołając do Munroe, abyśmy wykorzystali słoneczną pogodę, bo burza mogła wszak powrócić, odryglowałem i otworzyłem toporne odrzwia. Plac na zewnątrz pokrywały kałuże błocka i deszczówki, widać też było świeże zwały ziemi z osuwiska, które pojawiło się nieopodal, nie dostrzegłem jednak niczego, co wyjaśniałoby zainteresowanie mego towarzysza, stojącego w bezruchu i milczeniu przy maleńkim oknie. Podchodząc do miejsca, skąd się wychylał, dotknąłem jego ramienia. Munroe nie poruszył się jednak.

Potrząsnąłem nim lekko i poczułem dławiące macki rakowatej grozy, której korzenie sięgały niepamiętnej przeszłości i bezdennych otchłani nocy, wykraczając poza znane nam granice czasu i przestrzeni.

Arthur Munroe był martwy. A to, co pozostało z jego nadzartej, zmasakrowanej głowy, było zupełnie pozbawione twarzy.

### **III. Co oznaczała czerwona poświata**

W burzliwą noc ósmego listopada 1921 roku, gdy blask latarni rzucał dokoła posępne, trupie cienie, stałem samotnie, jak kretyn rozkopując grób Jana Martense'a. Zacząłem kopać już po południu, ponieważ zbierało się na burzę, teraz natomiast cieszyłem się, że było ciemno, a przed deszczem chroniło mnie gęste listowie drzew powyżej.

Wydaje mi się, że wypadki, jakie zdarzyły się od pamiętnego piątego sierpnia, częściowo pomieszały mi rozum: demoniczny cień w starym domu, ogólne napięcie i rozczarowanie oraz to, co wydarzyło się w wiosce podczas październikowej burzy. Po tym zdarzeniu wykopałem grób

człowiekowi, którego śmierci nie potrafiłem pojąć. Wiedziałem, że inni także by tego nie zrozumieli, toteż pozostawiłem ich w przeświadczeniu, że Arthur Munroe odszedł gdzieś w nieznane. Górale mogliby to pojąć, lecz nie chciałem ich bardziej trwożyć. Szukali Arthura, lecz go nie odnaleźli. Co do mnie, sprawiałem wrażenie wyjątkowo nieczułego i gruboskórnego. Wstrząs, jakiego doznałem w starej posesji, uczynił coś z moim mózgiem i mogłem obecnie myśleć wyłącznie o poszukiwaniu grozy, która w mej wyobraźni urosła do gigantycznych rozmiarów. Poszukiwania te, z uwagi na los Arthura Munroe, poprzysiągłem sobie prowadzić potajemnie i w samotności.

Już sama sceneria miejsca, w którym kopałem, mogłaby wzbudzić trwogę w sercu każdego normalnego człowieka. Ogromne, prastare drzewa, groteskowe, posępne i złowrogie, wznosiły się nade mną niczym kolumny jakiejś piekielnej świątyni druidów, tłumiąc odgłosy grzmotów, uciszając wyjący wiatr i prawie nie dopuszczając do mnie deszczu. W tle, za pooranymi, gruzłowatymi pniami, oświetlone słabymi błyskami niemal tu niewidocznych piorunów strzelały w górę spowite wilgotnym blaskiem mury opuszczonej posesji, nieco bliżej zaś znajdował się zapuszczony holenderski ogród, którego ścieżki i klomby pokrywała biała, grzybiasta, cuchnąca, nadmiernie wybujała roślinność, która nigdy nie widziała prawdziwego dziennego światła. Najbliżej wszelako rozciągał się cmentarz z pokrzywionymi, zdeformowanymi drzewami, unoszącymi w górę szaleńczo skręcone konary, korzenie ich zaś, przemieściwszy plugawe płyty nagrobne, łapczywie wysysały jadowite, trujące płyny z tego, co znajdowało się w ziemi. Od czasu do czasu pod brązowymi całunami liści, które gniły i rozkładały się w mrokach przedpotopowego lasu, udało mi się wypatrzyć zarys jednego z owych niskich pagórków tak charakterystycznych dla tego umiłowanego przez pioruny obszaru.



Historia doprowadziła mnie do tego archaicznego grobu. Skądinąd tylko na historii mogłem się oprzeć, inne ślady bowiem prowadziły niechybnie ku posądzeniom o uprawianie plugawych satanistycznych praktyk. Wierzyłem teraz, że przyczajona groza nie była istotą z krwi i kości, lecz upiorem, zjawą o wilczych kłach sunącą jak jeździec na rumaku burzy. Wierzyłem również, z uwagi na mnóstwo ludowych podań i legend, zebranych podczas moich poszukiwań wraz z Arthurem Munroe wśród okolicznej ludności, że musiał to być duch Jana Martense'a, zmarłego w 1762 roku. Oto, dlaczego zachowując się jak ostatni kretyn, zawzięcie rozkopy wałem jego mogiłę.

Rezydencję Martense'ów zbudował w roku 1670 Gerrit Martense, bogaty kupiec z Nowego Amsterdamu, któremu nie spodobała się zmiana porządków pod rządami Brytyjczyków i wznosił ową wspaniałą posesję w odległym górzystym zakątku, jako że odludne położenie i niezwykła sceneria tego miejsca wielce przypadły mu do gustu. Jedyńm minusem owej urokliwej skądinąd pustelni była niespotykana częstość i gwałtowność letnich burz z piorunami. Wybierając wzgórze i wznosząc na nim swą posiadłość, Mynheer Martense przypisał częstotliwość owych naturalnych zjawisk anomaliiom pogodowym zachodzącym w danym roku. W miarę upływu czasu stwierdził jednak, iż zjawiska te były niemal wizytówką obranego przez niego wzgórza.

W końcu, kiedy nawałnice szczególnie mocno dały mu się we znaki, przysposobił jedną z piwnic, by stała się dlań oazą spokoju na czas trwania najgwałtowniejszych burz.

O potomkach Gerrita Martense'a wiadomo znacznie mniej aniżeli o nim samym, wszyscy oni bowiem dorastali w nienawiści do cywilizacji angielskiej i szkolono ich, by unikali przyjmujących ją kolonistów. Wiedli życie prawdziwych odludków, a ludzie twierdzili, że izolacja wywołała u nich zaburzenia mowy i rozumowania. Cechą charakterystyczną ich

wszystkich była wrodzona wada polegająca na odmienności barwy tęczówek - jedno oko mieli niebieskie, drugie natomiast brązowe.

Ich kontakty z innymi ludźmi stawały się coraz to rzadsze, aż w końcu doszło do zawierania małżeństw z członkami licznej w rezydencji służby, zamieszkującej na terenie posiadłości. Niektórzy przedstawiciele rodu przeprowadzili się na drugi kraniec doliny, by związać się z żyjącymi w tamtych wioskach góralami i dać początek prymitywnym, debilowatym wieśniakom zamieszkującym obecnie te tereny. Inni z uporem i zapamiętaniem pozostali w rezydencji swych przodków, tworząc zamkniętą i posępną społeczność, która wszelako nerwowo i wrażliwie reagowała na nawiedzające ich górę burze.

Większość tych informacji została rozgłoszona całemu światu za pośrednictwem młodego Jana Martense'a, który z pewną niefrasobliwością zaciągnął się do armii kolonialnej, kiedy na Górę Gromów doszły wieści o Konwencji w Albany. Był on pierwszym spośród potomków Gerrita, który zwiedził niemalą kawałek świata, a kiedy w 1760 roku powrócił, po sześciu latach wojaczki, został przez swego ojca, stryja i braci znienawidzony i wyklęty jako odmieniec, mimo iż podobnie jak oni miał oczy w dwóch różnych kolorach. Nie dzielił już z nimi osobliwych obyczajów i zachowań, a i burze nie wywierały nań równie silnego wpływu jak na resztę rodziny. Co więcej, otoczenie, w jakim się znalazł, coraz bardziej go przygnębiało, do tego stopnia, iż często pisywał do przyjaciela w Albany, zwierając mu się w listach, że zamierza opuścić rodzinny dom.

Wiosną 1763 roku Jonathan Gifford, przyjaciel Jana Martense'a z Albany, zaczął niepokoić się przedłużającym się brakiem korespondencji od swego druha, zwłaszcza że wiedział o jego kłopotach rodzinnych i częstych sprzeczkach z najbliższymi. Postanowiwszy złożyć mu wizytę, wybrał się w góry konno. Zapis w jego dzienniku głosił, iż dotarł na Górę Gromów dwudziestego września i stwierdził, że posesja obróciła się w ruinę.

Posępni, dziwnoocy Martense'owie, którzy zaszokowali go swym niechlujnym, niemal zwierzęcym wyglądem, gardłowym głosem, z trudem artykułując słowa, poinformowali go, że Jan nie żyje. Powiedzieli, że poprzedniej jesieni został porażony piorunem i pochowano go przy domu, za zaniedbanym, porośniętym przez chwasty ogrodem. Pokazali gościowi mogiłę, zwykły grób, bez żadnych oznaczeń czy napisów. Coś w zachowaniu Martense'ów wzbudziło w Giffordzie odrazę i podejrzliwość, toteż tydzień później powrócił uzbrojony w łopatę i oskard, by zbadać, co naprawdę stało się z jego przyjacielem. Jego podejrzenia okazały się słuszne - czaszka była okrutnie zmiażdżona, jakby serią potężnych, brutalnych ciosów, toteż powróciwszy do Albany, wniósł przeciwko Martense'om oskarżenie o zamordowanie ich krewniaka.

Brakowało dowodów prawnych, niemniej historia jak błyskawica rozniosła się po okolicy i od tej pory świat całkowicie odciął się od Martense'ów. Nikt nie chciał prowadzić z nimi interesów, posiadłości zaś powszechnie unikano i uważano za przeklętą. Mimo to jakimś cudem przetrwali, żyjąc z produktów wytworzonych na terenie posiadłości, światła dostrzegane od czasu do czasu z odległych wzgórz świadczyły bowiem o ich ciągłej obecności na Górze Gromów. Światła te widywano aż do 1810 roku, lecz ostatnio zdarzało się to nader rzadko.

Tymczasem wokół posesji narosła mroczna, diabelska legenda. Miejsca tego unikano jak ognia i kojarzono z wszelkimi wytworami ludowych zabobonów.

Nikt tu nie przyjeżdżał, aż do 1816 roku, kiedy górale zwrócili uwagę, że w rezydencji od dłuższego już czasu nie paliło się światło. Wtedy też zebrana naprędce drużyna odwiedziła to miejsce i zbadawszy je gruntownie, stwierdziła, iż dom był opuszczony i w większej mierze zrujnowany.

Nie natrafiono na żadne szczątki, toteż uznano, iż mieszkańcy nie tyle powymierali, ile raczej cichaczem wynieśli się z rezydencji. Musieli oni opuścić to miejsce parę lat temu, mnogość zaś pomieszczeń rezydencji przerobionych na pokoje mieszkalne pozwoliła jedynie pobieżnie domyślić się, jak liczną tworzyli tu ostatnio społeczność. Ich poziom kultury mocno się obniżył, czego dowodem były gnijące, rozpadające się meble i rozsypane wszędzie srebra, porzucone wraz z odejściem ich właścicieli. Chociaż przerażający Martense'owie odeszli, lęk przed nawiedzonym domem pozostał; co więcej, narastał z roku na rok, w miarę jak wśród górskich dekadentów zaczęły krążyć nowe, dziwne historie. I oto stał tam, opuszczony, budzący grozę, związany nieodłącznie z mściwym duchem Jana Martense'a. Stał tam, owej nocy, gdy rozkopywałem grób Jana Martense'a.

Określiłem wykonywaną przez siebie czynność jako kretyńską, zarówno bowiem to, co robiłem, jak i metoda mego działania były idiotyczne.

Niebawem dokopałem się do trumny Jana Martense'a - zawierała ona teraz jedynie kurz i saletrę, jednak ogarnięty wściekłym pragnieniem ekshumowania ducha, jąłem grzebać, irracjonalnie i niezdarnie, pod miejscem, gdzie złożone były jego szczątki. Bóg jeden wie, co spodziewałem się tam odnaleźć, czułem jedynie, że rozkopuję grób człowieka, którego duch wędruje nocami po okolicy.

Nie sposób stwierdzić, jak monstrualną głębokość osiągnąłem, kiedy ostrze mojej łopaty, a niebawem i moje stopy przebiły się przez grunt, na którym stałem. Wydarzenie to, nawet w obecnych okolicznościach, było niezwykle i zatrważające, istnienie bowiem podziemnego tunelu stanowiło budzące grozę potwierdzenie mych szaleńczych teorii. Podczas upadku, choć nastąpił on z niewysoka, zgasła moja lampa, wyjąłem jednak z kieszeni małą elektryczną latarkę i zlustrowałem niewielki, poziomy tunel ciągnący się nieskończenie w obu kierunkach. Był dostatecznie szeroki, by

mógł się przezeń precyzyjnie rosnąć mężczyzna, i choć w owej chwili nie postąpiłby tak żaden logicznie rozumujący mężczyzna, zapomniałem o niebezpieczeństwie, rozsądku i możliwości ubrudzenia się ziemią, ogarnięty trawiającą umysł gorączką, pragnieniem odkrycia przyczajonej grozy. Wybierając drogę ku posesji, wpełzłem do tunelu i zacząłem się czołgać, macając przed sobą energicznie, na oślep, obiema rękami i od czasu do czasu przyświecając sobie latarką.

Jakiż język mógłby opisać sytuację człowieka zagubionego w nieskończonych trzewiach ziemi, drapiącego, zdyszanego, wijącego się, orzącego szaleńczo rękami przed sobą, macającego i wyszukującego drogę przez zapadnięte czeluście zapomnianej bezdennej czerni, pozbawiony poczucia czasu, bezpieczeństwa, kierunku i konkretnego celu, ku któremu zmierza? Jest w tym coś upiornego, niemniej tak właśnie uczyniłem. I trwało to tak długo, że życie zbladło w mych myślach, stając się jeno odległym wspomnieniem, a ja zlałem się w jedno z kretami i pędrakami zamieszkującymi mroczne, podziemne czeluście. W gruncie rzeczy przez czysty przypadek po długim czołganiu się tunelem przypomniałem sobie o latarce i zapaliłem ją, oświetlając słabym snopem elektrycznego światła rozciągający się przede mną gliniasty, skręcający w oddali korytarz.

Pełzłem tak przez czas jakiś i bateria latarki wyczerpała się niemal do końca, gdy nagle tunel ostro jął unosić się w górę, zmuszając mnie do zmiany sposobu poruszania się. Gdy uniosłem wzrok, ni stąd, ni zowąd dojrzałem błyszczące w oddali dwa demoniczne odbicia mojej gasnącej latarki, dwa błyskające odbicia promieniujące wręcz namacalnie złem i przywodzące szaleńcze, mgliste wspomnienia. Automatycznie przystanąłem, choć umysł mój nie pracował na tyle sprawnie, by nakazał mi natychmiast zawrócić.

Ślepiea przybliżyły się, choć dostrzegłem jedynie szpon istoty, która na mnie patrzyła. Cóż to jednak był za szpon! Naraz gdzieś z góry dobiegł

głośny łoskot, który rozpoznałem. Był to huk gromu, narosły do iście historycznej furii. Musiałem widocznie przez czas jakiś piąć się pod górę i teraz znajdowałem się niedaleko powierzchni. Podczas gdy odgłos grzmotu z wolna cichł, te błyszczące ślepią wciąż przyglądały mi się z bezmyślną, tępą złośliwością.

Dzięki Bogu, że nie wiedziałem wtedy, czym było to coś, w przeciwnym razie niechybnie bym umarł. Ocalił mnie ten sam grzmot, który ową istotę przywołał, w tej samej chwili bowiem w zbocze góry znowu uderzył piorun i ujrzałem sypiące się na mnie większe i mniejsze grudy ziemi oraz odłamki fulgurytu. Stwór z cyklopową wściekłością zaczął orać ziemię powyżej tej przeklętej jamy, oślepiając mnie i ogłuszając, lecz nie pozostawiając całkiem bez zmysłów. W chaosie osuwającej się, przesypującej ziemi brnąłem bezradnie, torując sobie drogę obiema dłońmi, póki padający na mą głowę deszcz nie pomógł mi złapać równowagi i ujrzałem, że wydostałem się na powierzchnię w znanym mi miejscu. W świetle błyskawic dostrzegłem rozgrzebaną ziemię dokoła i pozostałości osobliwego, niskiego pagórka, ciągnącego się od wyższych partii porośniętego lasem zbocza. W chaosie tym wszelako nic nie wskazywało, jakobym wydostał się przed chwilą z sekretnych, zabójczych katakumb. W moim umyśle, jak i w tej ziemi panował chaos, a gdy od południa okolicę spowiła osobliwa czerwona poświata, niemal nie zdawałem sobie sprawy z ogromu koszmaru, jaki właśnie przeżyłem.

Jednak dwa dni później, kiedy górale powiedzieli mi, co oznaczała czerwona poświata, ogarnęła mnie jeszcze większa zgroza niż wówczas, gdy odnalazłem tajemny podziemny tunel i spotkałem się w nim z mroczną, zaopatrzoną w szpony istotą o błyszczących ślepiach. Zgroza była tym większa, że wiązały się z nią niewyobrażalne niemal implikacje. W odległej o dwadzieścia mil wiosce mniej więcej w tej samej chwili, gdy w zbocze Góry Gromów uderzył piorun, dzięki czemu wydostałem się z podziemi na

powierzchnię, wydarzył się istny koszmar. Z korony drzewa na dziurawy, zniszczony dach starej chaty zeskoczyła potworna, nie nazwana istota.

Dokonała co prawda rzezi, lecz górale pospiesznie podpalili chatę, zanim monstrum zdołało się z niej wydostać. Stało się to w tym samym momencie, gdy na istotę o długich szponach i błyszczących ślepiach zaczęły osypywać się w tunelu kaskady ziemi.

## **IV. Groza ujawniona**

Nie może być nic normalnego w umyśle człowieka, który wiedząc to, co ja wiedziałem o koszmarach Góry Gromów, szukałby samotnie przyczajonej tam grozy. Fakt, że co najmniej dwa ucieleśnienia grozy zostały zniszczone, rodził cień nikłej gwarancji mentalnego i fizycznego bezpieczeństwa w tym Acheroncie wielokształtnego diabelstwa. Mimo to kontynuowałem swe poszukiwania z jeszcze większym zapalem, chociaż wydarzenia i odkryte przeze mnie rewelacje stawały się coraz potworniejsze.

Kiedy w dwa dni po tym, jak rozdygotany z przerażenia wyczołgałem się z krypty istoty o zakrzywionych szponach i lśniących ślepiach, dowiedziałem się, iż dwadzieścia mil dalej, w tym samym czasie, gdy byłem obserwowany przez mrocznego stwora, inny maskaron dokonał potwornej zbrodni, poczułem, że ze zgrozy krew zastyga mi w żyłach. Przerazenie to wszelako było w tak dużym stopniu zmieszane z zadziwieniem, ciekawością i nęcącą groteskowością, że uczucie to stało się nieomal przyjemne. Czasami w wirze koszmaru, gdy niewidzialne potęgi unoszą cię w swych objęciach ponad dachami osobliwych, umarłych miast ku wyszczerzonej szczelinie Nis, odczuwasz ulgę, a nawet rozkosz, mogąc

wrzasnąć wniebogłosy i dać się ponieść upiornemu wirowi sennego przeznaczenia na samo dno nieznannej i niezgłębionej czeluści, gdzie ma on swój kres.

Tak było i z koszmarem na jawie, który przydarzył mi się na Górze Gromów. Odkrycie, że miejsce to nawiedzały aż dwa potwory, natchnęło mnie niepoohamowaną żądzą natychmiastowego udania się do przeklętego rejonu i wygrzebania gołymi rękami śmierci łypiącej złowrogo z każdej grudki tej zatrutej, plugawej ziemi.

Najszybciej, jak było to możliwe, odwiedziłem grób Jana Martense'a, ale na próżno zacząłem kopać w tym samym miejscu, co poprzednio. Jakiś ogromny zawał zasypał ślady sekretnego tunelu, deszcz natomiast zmył do jamy sporo ziemi, tak więc nie potrafiłem stwierdzić, jak głęboko dokopałem się tamtego dnia. Odbyłem również znojną wyprawę do odległej wioski, gdzie spalono morderczą istotę, lecz mój trud nie przyniósł spodziewanych efektów. W popiołach feralnej chaty natrafiłem na kilka kości, żadne jednak raczej nie należały do monstrum. Górale stwierdzili, że potwór dopadł jedną tylko ofiarę, choć w tym względzie chyba się mylili, obok kompletnej czaszki istoty ludzkiej odnalazłem bowiem kościsty fragment pochodzący z pewnością z czaszki człowieka.

Chociaż wieśniacy zauważyli atakującą istotę, nikt nie potrafił powiedzieć, jak ona właściwie wyglądała, ci, którzy ją ujrzeli, twierdzili, iż był to po prostu diabeł.

Zbadawszy wielkie drzewo, gdzie czyhało monstrum, ni odnalazłem na nim żadnych wyraźnych śladów. Usiłowałem odnaleźć w lesie trop owej dziwnej istoty, lecz nie byłem w stanie znieść widoku tych upiornie wielkich, posepnych pni ani grubych wijących się jak węże korzeni, poskręcanych złowrogo i niknących w trzewiach ziemi.

Moim następnym posunięciem było przebadanie z mikroskopijną dokładnością opuszczonej wioski, gdzie śmierć uderzyła z nie mającą sobie



równej srogością i gdzie Arthur Munroe ujrzał coś, czego, niestety, nie zdołał przed śmiercią wyjawić. Chociaż poprzednie badania, jakie wykonałem, były nad wyraz staranne, miałem teraz nowe dane, które mogłem i powinienem wykorzystać. Przeróżające doświadczenie w tunelu upewniło mnie, że przyczajona groza, przynajmniej w jednej ze swych faz, posiada formę istoty podziemnej. Tym razem, czternastego listopada, skoncentrowałem swe poszukiwania na niegościnnych stokach Stożkowej Góry i Klonowego Wzgórza, otaczających z dwóch stron nieszczęsne sioło, szczególną zaś uwagę skupiłem na zwałach świeżej ziemi w rejonie niedawnego osuwiska, przy drugim ze wspomnianych wzniesień.

Przez całe popołudnie nie odkryłem nic rewelacyjnego, a gdy nadszedł zmierzch, stojąc na Klonowym Wzgórzu, spojrzałem w dół na wioskę i znajdującą się po drugiej stronie doliny Górę Gromów. Zachód słońca był wprost urzekający, a kiedy wzeszedł księżyc zbliżający się do pełni, zalał swą srebrzystą poświatą całą równinę, odległe góry i osobliwe, widniejące tu i ówdzie, niskie pagórki. Była to iście sielankowa scena, lecz we mnie, świadomym, co skrywała, wzbudziła jedynie odrazę i wstręt. Nienawidziłem tego drwiącego księżyca, zdradliwej równiny, przeżartej zgnilizną góry i tych złowieszczych pagórków, wszystko zdawało mi się skażone odrażającą plugawością i związane jakimś ohydny paktem z wynaturzonymi, ukrytymi mocami.

Gdy tak popatrywałem obojętnie na skąpaną księżycowym blaskiem panoramę, wzrok mój przykuła pewna niezwykłość w naturze i układzie jednego elementu topograficznego. Nie miałem głębszej wiedzy z dziedziny geologii, od początku jednak zainteresowały mnie tak liczne w tej okolicy pagórki i wzniesienia. Zauważyłem, że były rozrzucone dość szeroko wokół Góry Gromów, choć mniej liczne na równinie niżli w pobliżu samego szczytu góry, gdzie prehistoryczne zlodowacenia bez wątpienia natrafiły na słabszy opór i mogły swym zdumiewającym fantazyjnym zachciankom dać

większy upust. Teraz, w świetle wiszącego nisko na niebie księżycy tworzącym długie, dziwaczne cienie, uderzyło mnie, że rozliczne linie i punkty układu pagórków są w niezwykle sposób powiązane z wierzchołkiem Góry Gromów. Szczyt ów był bez wątpienia środkiem, skąd rozchodziły się linie lub rzędy punktów, niezliczone i nieregularne, jakby z rezydencji Martense'ów na wszystkie strony wysuwały się widmowe macki zgrozy. Myśl o nich sprawiała, że ciarki przeszły mi naraz po plecach i oto w jednej chwili przestałem uważać owe pagórki za dzieło pradawnych złodowaceń.

Im dłużej nad tym rozmyślałem, tym słabiej wierzyłem w me dotychczasowe przekonania. Na podstawie dokonanych wcześniej badań umysł mój, który otworzył się na nowo, zaczął analizować uznawane dotąd za groteskowe i niewiarygodne, mrozące krew w żyłach analogie na bazie aspektów paranormalnych oraz mych doświadczeń w podziemnym tunelu. Zanim się zorientowałem, mruczałem już pod nosem jak oszalały oderwane, pełne emocji słowa: - Mój Boże... kretowiska... to przekłete miejsce musi przypominać od wewnątrz wielki plaster miodu... ile ich jest... tamtej nocy, w posiadłości... najpierw zabrały Bennetta i Tobeya... podchodząc nas z obu stron... - A potem zacząłem rozgrzebywać opętańczo pagórek znajdujący się najbliżej mnie; kopałem pełen desperacji i rozdygotany, ale w głębi duszy nieomal się radowałem; kopałem i koniec końców zakrzyknąłem w głos pod wpływem jakiejś nieokreślonej emocji, kiedy napotkałem wylot tunelu lub jamy, identyczny jak ten, którym wyczołgałem się na powierzchnię owej upiornej nocy.

Pamiętam potem, że biegłem z łopata w dłoni. To był straszny bieg, gnałem przez skąpane srebrzystym blaskiem, naznaczone pagórkami łąki i trawione chorobą, mroczne otchłanie nawiedzonego lasu porastające strome zbocze góry. Zdyszany przeskakiwałem znajdujące się na mej drodze przeszkody, zmierzając ku przeraźliwej posesji Martense'ów. Pamiętam, jak

zupełnie irracjonalnie zacząłem kopać po kolei w kilku zakamarkach zarośniętej krzewami wrzośca piwniczki. Kopałem, by odnaleźć środek, centrum plugawego serca tego bluźnierczego, złowrogiego uniwersum pagórków.

Potem, przypominam sobie, wybuchnąłem gromkim śmiechem, gdy natknąłem się na sekretne przejście, otwór u podstawy starego komina, gdzie rosły gęste chwasty rzucające dziwaczne, niepokojące cienie w migotliwym blasku świecy, jedynej skądinąd, jaką miałem przypadkiem przy sobie. Nie wiem, co jeszcze pozostało tam, na dole, w głębi owego piekielnego ula, czając się i wyczekując, aż odgłos gromu wyrwie je z sennego odrętwienia.

Dwa zostały zabite, może to położyło kres grozie. Wciąż jednak pozostała we mnie niepokonana determinacja, by poznać najgłębszy sekret owej grozy, którą znów uważałem za coś określonego, materialnego i organicznego.

Z pełnych niezdecydowania rozważań, czy mam zbadać przejście sam i niezwłocznie, posiłkując się mą niezawodną kieszonkową latarką, czy spróbować zwołać grupę górali, którzy wsparliby mnie w tej wyprawie, wyrwał mnie po chwili nagły podmuch wiatru napływający z zewnątrz, który zgasił wąty płomyk świecy, pozostawiając mnie w iście egipskich ciemnościach. Księżyc nie przeświecał już przez szczeliny i otwory powyżej, a po chwili, z narastającym niepokojem, usłyszałem złowrogi i znaczący odgłos odległego jeszcze grzmotu.

W głowie miałem mętlik, lecz ostatecznie zacząłem macać na oślep w poszukiwaniu najodleglejszego kąta piwnicy. Ani na chwilę nie odrywałem wzroku od przerażającego otworu u podstawy komina, wkrótce zaś zacząłem dostrzegać zarysy zmurszałych cegieł i odrażających chwastów, gdy słaby blask piorunów przeniknął plugawe zarośla na zewnątrz i oświetlił szczeliny w górnej części muru.

Z każdą mijającą sekundą coraz bardziej trawiła mnie mieszanina lęku i zaciekawienia. Co mogła przywołać burza... i czy pozostało jeszcze coś, co mogły zawezwać grzmoty? W świetle pioruna ukryłem się za gęstą kępą roślinności, zza której mogłem obserwować otwór, nie będąc samemu zauważonym.

Jeśli niebiosa są miłosierne, wymażą pewnego dnia z mej świadomości widok, który wówczas ujrzałem, i pozwolą mi przeżyć w spokoju ostatnie lata, jakie pozostały mi na tym padole. Obecnie nocami dokucza mi bezsenność, a gdy nadchodzi burza i zaczyna grzmieć, muszę uspokajać sterane nerwy opiatami. Istota pojawiła się nagle, zupełnie niezapowiedzianie, demon wypełził żwawo, niby szczur z jakichś odległych i niewyobrażalnych czeluści, dało się słyszeć piekielne sapanie, zduszone pochrząkiwanie i naraz z otworu w podstawie komina wypłynęły niezliczone tłumy plugawych w swej trędowatej, niezdrowej potworności istot, istna rzeka odrażających pomiotów nocy, najprzeróżniejszych okazów organicznego zepsucia, bardziej zatrważających niż najpotworniejsze przykłady dostępnego śmiertelnikom szaleństwa i zwichrowanej patologii.

Wrząc, kipiąc i falując, bulgocząc niczym wężowy jad, potok istot wypłynął z przepastnego otworu, rozprzestrzeniając się jak bezlitosna zaraza lub śmiertelne zakażenie i kierując ku kolejnym wyjściom, rozdzielając się, by rozproszyć się wśród ostępów mrocznego, nocnego lasu, siać strach, szaleństwo i śmierć.

Bóg jeden wie, ile ich tam było, ale z pewnością tysiące.

Widok tych szeregów w słabych, krótkotrwałych błyskach piorunów był zaiste szokujący. Kiedy rozproszyły się na tyle, bym mógł przyjrzeć się pojedynczym osobnikom, stwierdziłem, że były to skarłale, zdeformowane włochate diabły lub może małpy. Owe monstrualne i diaboliczne karykatury małpiego rodu były zarazem przeraźliwie ciche. Nie usłyszałem nawet głośniejszego pisku, gdy jeden z maruderów z wprawą wskazującą na długą

praktykę rzucił się na młodszego, wyraźnie słabszego towarzysza, by bez zwłoki zaspokoić jego kosztem doskwierający mu głód. Inne istoty rozdrapały w okamgnieniu resztki i pożarły ze smakiem, śliniąc się przy tym niepomiernie. I wtedy pomimo oszołomienia i zgrozy moja posępna ciekawość wzięła górę; gdy ostatnie monstrum wyłoniło się z podziemnego świata nieznanych i niespotykanych koszmarów, wyjąłem swój pistolet automatyczny i zastrzeliłem potworka, odczekawszy, aż huk gromu zagłuszy odgłos wystrzału.

Wrzeszczące, wijące się, pełzające, rwące cienie czerwonego lepkiego szaleństwa ścigające się między sobą wśród niekończących się, ociekających krwią korytarzy fioletowego, fulgurytowego nieba... bezkształtne fontanny i kalejdoskopowe mutacje upiornej, zapamiętanej sceny; lasy pełne monstrualnych, przerośniętych dębów z węzowymi korzeniami, poskręcany i spijającymi nie nazwane soki z trzewi ziemi rojących się od milionów kanibalistycznych diabłów; macki jak rzędy pagórków sięgające z podziemnego nukleusu polipowego plugastwa... szaleńczy piorun rozświetlający porośnięte zjadliwym bluszczem mury i demoniczne przejścia, zdławione porastającą je gąbczastą, grzybiastą, odrażającą roślinnością...

Niebiosom niech będą dzięki za instynkt, który nieświadomie przywiódł mnie z powrotem do miejsc zamieszkałych przez ludzi, do spokojnej osady śpiącej pod baldachimem czystego nieba pełnego spokojnych, migoczących radośnie gwiazd.

Po tygodniu doszedłem do siebie na tyle, że posłałem do Albany po zespół ludzi, polecając im, aby wysadzili dynamitem posiadłość Martense'ów i cały wierzchołek góry, zrównali z ziemią wszelkie pagórki - wyjścia wchodzące w skład sieci podziemnych tuneli - i zniszczyli pewne, nadmiernie wyrośnięte drzewa, których istnienie zdawało się obelgą dla zdrowego rozsądku. Gdy wypełnili to zadanie, mogłem wreszcie spać nieco

spokojniej, lecz prawdziwego ukojenia nie zaznam nigdy, póki w pamięci mej pozostanie owa niewypowiedziana straszliwa tajemnica przyczajonej grozy. Sekret ten będzie mnie nękał aż do śmierci, któż bowiem zaręczy, że dokonano całkowitej eksterminacji tego niewypowiedzianego plugastwa i że podobne makabryczne fenomeny nie kryją się w mrocznych zakątkach na całej kuli ziemskiej? Kto, dysponując taką wiedzą, nie myślałby o istniejących na ziemi, nieznanach jaskiniach, nie czując przy tym na plecach lodowatych dreszczy zgrozy wywołanych mglistymi, acz jak najbardziej usprawiedliwionymi podejrzeniami? Nie jestem w stanie spojrzeć na studnię czy na wylot tunelu, by widok ten nie wzbudził we mnie uczucia zatrważającego lęku... dlaczego lekarze nie dadzą mi czegoś, bym mógł spokojnie zasnąć lub uspokoić skołataną nerwy, gdy na dworze zaczyna grzmieć?

To, co ujrzałem w blasku pioruna, gdy zastrzeliłem ostatniego wyłaniającego się z czeluści piekielnych marudera, było tak proste i banalne, że minęła niemal minuta, zanim to pojąłem i o mało nie straciłem zmysłów. Istota wyglądała odrażająco. Był to brudny, cuchnący, białawy, podobny do goryla stwór o ostrych, żółtych kłach i zmierzwionym futrze. Ostateczny wytwór ssaczkiej degeneracji, przerażający wynik parzenia się w odizolowanych grupach, takiegoż rozrodu i kanibalizmu, który praktykowany zarówno na powierzchni, jak i pod ziemią, dostarczał im niezbędnego pożywienia; ucieleśnienie całego gniewu, dzikości, chaosu, szaleństwa i roześmianej grozy czyhającej gdzieś poza życiem.

To spojrzało na mnie, umierając, a jego ślepie wyglądały równie osobliwie jak te, które obserwowały mnie w podziemnym tunelu i które wywołały we mnie wtedy jeszcze bliżej nie sprecyzowane przypuszczenia i skojarzenia. Jedno oko było niebieskie, drugie zaś brązowe. Jak głosiły stare legendy, różnicowanie barwy tęczy było cechą wrodzoną charakteryzującą wszystkich Martense'ów, i w jednej, mrozącej krew w

żyłach ową gwałtownością chwili iluminacji pojąłem, co stało się z owym zaginionym klanem, co naprawdę spotkało przerażającą i doprowadzoną przez grzmoty do szaleństwa rodzinę Martense'ów.

# GROBOWIEC

**Z** uwagi na okoliczności, które doprowadziły do mego uwięzienia w tym przybytku dla obłąkanych, świadom jestem, że moja obecna pozycja może wytworzyć pewne wątpliwości co do prawdziwości tej opowieści. Tak to niestety jest, że większość ludzi ma zbyt ograniczony umysł, by cierpliwie i roztropnie rozważać owe szczególne fenomeny, postrzegane i wyczuwane jedynie przez garstkę posiadającą szczególną mentalną wrażliwość, a leżące poza zasięgiem powszechnie dostępnych doświadczeń. Ludzie o większym intelekcie wiedzą, że nie ma ostrego rozgraniczeni a pomiędzy rzeczywistością i nierzeczywistością, że wszystkie rzeczy jawią się takie, jakie są, jedynie dzięki przymiotom wrażliwych, indywidualnych mediów psychofizycznych, i to dzięki nim zdolni jesteśmy je postrzegać, jednakowoż prozaiczny materializm większości określa pogardliwie mianem szaleństwa przebłąski nadpostrzegania, które przenikają pospolity woal jawnego empiryzmu.

Nazywam się Jervas Dudley i od wczesnego dzieciństwa byłem marzycielem i wizjonerem. Posiadając bogactwo wystarczające, by z nawiązką pokryć potrzeby dostatniego życia, i będąc obdarzony temperamentem, który nie pozwalał mi poświęcić się studiom i innego typu zainteresowaniom typowym dla mych rówieśników, zamieszkiwałem zwykle w krainach odległych od znanego nam, widzialnego świata. Dzieciństwo i lata młodzieńcze spędziłem na lekturze prastarych i mało znanych ksiąg, przemierzając pola i zagajniki rozciągające się w pobliżu domu moich przodków. Nie sądzę, aby to, o czym czytałem w owych woluminach lub widziałem na polach czy w zagajnikach, było tym samym,



o czym czytali lub co postrzegali inni chłopcy, na ten temat jednak wolałbym dużo nie mówić, gdyż dłuższa i dokładniejsza wypowiedź potwierdziłaby jedynie odrażające kalumnie na temat stanu mego zdrowia psychicznego, o którym szeptem rozmawiają niekiedy pielęgniarze, co niejednokrotnie udało mi się podsłuchać. Wystarczy, że przedstawię minione wydarzenia bez bliższego analizowania przyczyn.

Wspomniałem już, że mieszkałem z dala od widzialnego świata, niemniej nie rzekłem, iż mieszkałem samotnie. Nie jest do tego zdolna żadna żywa istota.

Brak towarzystwa żyjących nieuchronnie sprowadza obecność istot, które nie są już lub nigdy nie były żyjącymi. Blisko mego domu znajduje się szczególna, porośnięta lasem kotlina, w której mrocznych ostępach spędzałem większość czasu, czytając, rozmyślając i śniąc. Tam właśnie, jeszcze jako dziecko, przywiodły mnie pierwsze kroki, bym przemierzał omszałe zbocza, kotliny, a wśród groteskowo zdeformowanych dębów powstała osnowa mych pierwszych, dziecięcych fantazji. Poznałem driady zamieszkujące wśród owych drzew i niejednokrotnie widziałem ich dzikie tańce w blasku gasnącego księżyca - o tym jednak nie wolno mi teraz mówić.

Opowiem wam jedynie samotnym grobowcu, położonym w najmroczniejszym zakątku kotlinnej gęstwiny; opuszczonym grobowcu Hyde'ów, starej, egzaltowanej rodziny, której ostatni potomek złożony został w jego posepnych murach na wiele dekad przed moimi narodzinami.

Grobowiec, o którym mówię, wykonany jest ze starego granitu, zmurszały i odbarwiony przez mgły i wilgoć naruszające go od pokoleń. Wpuszczona w ścianę kotliny budowla z wyjątkiem wejścia jest prawie niewidoczna. Drzwi, ogromna, odrażająca płyta z kamienia wisi uchylona na zardzewiałych zawiasach, a zamknięcie jej stanowią złowieszcze, z

wyglądu ciężkie, żelazne łańcuchy i kłódki, typowe atrybuty przybytków cmentarnych sprzed pół wieku.

Rezydencja rodu, którego potomkowie znaleźli spoczynek w tym grobowcu, a którego własnością była owa kotlina, padła ofiarą pożaru powstałego od uderzenia pioruna. O nocnej burzy, która zniszczyła do szczeru posępną posesję, starsi mieszkańcy tej okolicy mówią zazwyczaj pełnym niepokojem szeptem, powtarzając zgodnie opinię o „bożym gniewie” w taki sposób, że w miarę upływu czasu poczęła narastać we mnie fascynacja owym mrocznym, leśnym grobowcem.

W pożarze zginął jeden człowiek.

Kiedy ostatni z Hyde'ów został pochowany w tym miejscu cienia i spokoju, smętna urna z popiołami przybyła z odległego kraju, dokąd wyemigrowała rodzina po pożarze rezydencji. Nie pozostał nikt, by złożyć kwiaty przed granitowym portalem, i mało kto odważał się wniknąć pomiędzy ponure cienie, które zdawały się zalegać wśród zawilgłych murów.

Nigdy nie zapomnę popołudnia, kiedy po raz pierwszy natknąłem się na tę wpół ukrytą siedzibę śmierci. Było to w środku lata, w czasie przesilenia, kiedy alchemia natury przemienia leśny krajobraz w żyjącą i niemal homogeniczną masę zieloności; kiedy zmysły nieomal dławią się od przenikającej powietrze wilgoci i różnorodności niemożliwych do rozpoznania zapachów ziemi i roślinności. W takim otoczeniu umysł zatracą perspektywę; czas i przestrzeń stają się trywialne i nierzeczywiste, echa prehistorycznej przeszłości nieodparcie atakują mocno skołowaciałą świadomość.

Przez cały dzień krążyłem pośród mistycznego zagajnika porastającego wnętrze kotliny. Rozmyślałem na tematy, których nie chcę tu obecnie poruszać, i rozmawiałem z istotami, których imion i nazw również nie

wymienię. Mając dziesięć lat, słyszałem dużo więcej i widziałem dużo cudowniejsze rzeczy, aniżeli większość ludzi jest sobie w stanie wyobrazić.

Należy również dodać, że pod wieloma względami byłem wyjątkowo dojrzały. Kiedy przedzierając się pomiędzy dwiema pokaźnymi kępami jeżyn, natknąłem się na wejście do grobowca, nie miałem pojęcia, co właściwie odkryłem. Ciemne bloki granitu, drzwi tak osobliwie uchylone i nagrobne reliefy nad łukowatym wejściem nie wzbudziły we mnie odczuć w rodzaju żalu, współczucia czy zgrozy. Sporo wiedziałem i rozmyślałem na temat grobów i grobowców, niemniej chyba z uwagi na mój niezwykle temperament trzymałem się dotąd z dala od cmentarzy i kościołów.

Osobliwy, kamienny dom na zboczu kotliny był dla mnie jedynie źródłem zainteresowania i przeróżnych spekulacji. Jego zimne i wilgotne wnętrza zaś, do którego na próżno usiłowałem zajrzeć przez pozostawioną kusząco, lecz zbyt wąską szparę, nie kojarzyło mi się ani trochę ze śmiercią czy rozkładem.

Wraz z zaciekawieniem zrodziło się we mnie szaleńcze i zgoła nieroztropne pragnienie, które doprowadziło do mego uwięzienia w tym piekielnym zakładzie. Idąc za głosem, który musiał pochodzić wprost z samej upiornej duszy kniei, postanowiłem wejść w zapraszającą ciemność, pomimo grubych łańcuchów, które zagrażały mi drogę. W gasnącym świetle dnia, na przemian grzechotałem zardzewiałymi okowami, usiłując otworzyć na oścież kamienne odrzwia, i próbowałem precyzyjnie przesuwać me szczupłe ciało przez już istniejącą szczelinę - niemniej bez powodzenia. Zaciekawienie wzrosło tymczasem do rozmiarów obsesji. Kiedy o zmierzchu powróciłem do domu, poprzysiągłem na setkę bóstw zagajnika, że za wszelką cenę dostanę się pewnego dnia do owego czarnego, chłodnego wnętrza, które najwyraźniej mnie przyzywało. Siwobrody lekarz, który każdego dnia przychodzi do mego pokoju, powiedział raz gościowi: „Decyzja owa była zaczątkiem żalosnej, ponurej monomanii”, ja wszakże

pozostawiam wydanie ostatecznego osądu moim czytelnikom, kiedy już dowiedzą się wszystkiego. Kolejne miesiące po moim odkryciu poświęciłem na próżne usiłowania sforsowania skomplikowanej kłódki, broniącej dostępu w głąb lekko otwartego wejścia do grobowca, i ostrożne śledztwo, mające na celu poznanie natury i historii owej budowli. Jako mały chłopiec o czujnym słuchu, w krótkim czasie sporo się dowiedziałem, aczkolwiek wrodzone zamiłowanie do sekretności i tajemniczości sprawiło, że nie podzieliłem się z nikim informacjami o moim odkryciu ani przyczynach, dla których gromadziłem tę konkretną wiedzę. Być może warto nadmienić, że nie byłem ani trochę zdumiony czy przerażony, kiedy poznałem prawdziwą naturę grobowca. Moje raczej oryginalne przekonania dotyczące życia i śmierci sprawiły, że kojarzyłem zimną glinę z oddychającym ciałem w dość mglisty i niejasny sposób. Zdałem sobie sprawę, że wielki i złowrogi ród zamieszkujący ongiś w spalonej rezydencji musiał być w jakiś sposób obecny w kamiennej budowli, do której pragnąłem się dostać.

Plotki na temat osobliwych rytuałów i bezbożnych orgii, jakie przed laty odbywały się w starej posesji, wzbudziły we mnie całkiem nowe, nie znane dotąd zaciekawienie grobowcem, przed którego drzwiami przesiadywałem co dnia całymi godzinami. Raz wrzuciłem do środka zapaloną świecę, ale nie zobaczyłem nic, z wyjątkiem prowadzących w dół, kamiennych schodów.

Odór tego miejsca, pomimo że odrażający, oczarowywał mnie. Miałem wrażenie, że już go kiedyś czułem, w jakiejś odległej, zupełnie zapomnianej przeszłości, kiedy nie nosiłem jeszcze mej cielesnej powłoki.

Wiele lat po odkryciu przeze mnie grobowca, wśród licznych książek na poddaszu mego domu, natknąłem się na nadżarty przez robactwo egzemplarz tłumaczenia Żywotów Plutarcha. Przeczytałem o życiu Tezeusza i wielkie wrażenie wywarł na mnie fragment o gigantycznym

kamieniu, pod którym młodziutki bohater miał odnaleźć swoje symbole przeznaczenia, kiedy tylko będzie dostatecznie silny, by podźwignąć ogromny ciężar. Legenda ukoła me zniecierpliwienie i pragnienie wejścia do grobowca, zrozumiałem bowiem, że nie nadeszła jeszcze właściwa pora. Później rzekłem sobie, że gdy dojrzeję i nabiorę sił, wybije godzina, kiedy będę w stanie uporać się z łatwością z odrzwiami zablokowanymi łańcuchem. Wtedy także łatwiej mi będzie dostosować się do tego, co wydawało się wolą losu.

Jednocześnie me czuwania przy zawilgłym portalu stały się mniej natarczywe i wiele czasu poświęcałem na inne, choć równie niezwykle poszukiwania.

Czasami budziłem się w środku nocy, by wybrać się na przechadzkę na tereny przykościelne i cmentarne, od których rodzice usiłowali trzymać mnie z dala.

Nie mogę powiedzieć, co tam robiłem, nie jestem bowiem pewny realności niektórych rzeczy; wiem jednak, że następnego dnia po każdej takiej nocnej wędrówce umysł mój przepełniała zdumiewająca wręcz wiedza związana z rzeczami zapomnianymi od wielu pokoleń. Po jednej z takich nocy zaszokowałem swe otoczenie nietypowym, zarozumiałym stwierdzeniem na temat pogrzebu bogatego i szacownego dziedzica Brewstera, twórcy lokalnej historii, który zmarł w 1711 roku, a którego łupkowa płyta nagrobna z wizerunkiem czaszki i skrzyżowanych puszczeli z wolna obracała się w pył.

W przypiływie dziecięcej imaginacji gotów byłem przysiąc, że nie tylko przedsiębiorca pogrzebowy, Goodman Simpson, skradł przed pochówkiem buty o srebrnych sprzączkach, jedwabne pończochy i satynową bieliznę zmarłego, ale że sam dziedzic - niezupełnie, jak się wydawało, bez życia - w dzień po pogrzebie dwakroć obrócił się w swojej trumnie.

Nigdy wszakże nie opuściły mnie myśli o wdarciu się do wnętrza grobowca. Pragnienie to narosło we mnie jeszcze bardziej, gdy niespodziewanie odkryłem, że po kądzieli jestem poniekąd spokrewniony z wymarłym rodem Hyde'ów. Ostatni z mego rodu, po mieczu, byłem zarazem ostatnim członkiem tej dużo starszej i niezwyklej linii rodowej. Zacząłem czuć, że grobowiec był mój, i z niepokojem oczekiwać dnia, kiedy uda mi się sforsować kamienne odrzwia i zejść po omszałych kamiennych stopniach w mrok. Obecnie wyrobiłem w sobie nawyk baczego nasłuchiwania przy z lekka uchylonych drzwiach grobowca, prowadząc owe przedziwne czuwania pośród nocnej ciszy.

Zanim osiągnąłem dorosłość, wydeptałem w gąszczu wokół starego, wpuszczonego w ścianę kotliny grobowca niewielką polankę, pozwalając, by bujna roślinność utworzyła wokół i ponad nią jakby ściany i dach, niczym w leśnej altance.

Ta altanka była moją świątynią, zamknięte drzwi moim relikwiarzem i tu właśnie kładłem się na mchu, rozciągnięty wygodnie, by przemyśliwać rozmaite osobliwe sprawy i śnić jeszcze bardziej osobliwe sny.

Noc pierwszego objawienia była duszna i parna. Zmęczony, musiałem zasnąć, gdyż obudziłem się, jak mi się zdało, na dźwięk odległych głosów.

Waham się mówić o ich tonach i akcentach, nie wspomnę tu również o ich wyrazistości, niemniej mogę rzec, iż wyczuwało się wyraźną różnicę w ich słownictwie, wymowie i sposobie artykulacji. Każdy cień nowoangielskiego dialektu począwszy od nieokreślonych sylab purytariskich kolonistów po precyzyjną retorykę sprzed półwiecza, zdawał się mieć swój odpowiednik wśród owych cienistych, mrocznych oratorów, aczkolwiek z faktu tego zdałem sobie sprawę dopiero poniewczasie. W tym momencie bowiem uwagę mą odwrócił zupełnie inny fenomen, tak ulotny, że nie mogę przysiąc, iż wydarzył się naprawdę.

Ledwie zdałem sobie sprawę, że nie śpię, kiedy wewnątrz posępnego grobowca wygasło drobniutkie światełko. Nie sądzę, abym był zaskoczony ani tym bardziej ogarnięty paniką, wiem jednak, że tej nocy uległem olbrzymiej, całkowitej przemianie. Po powrocie do domu skierowałem się na poddasze, gdzie wewnątrz gnijącego kufra znalazłem klucz, za pomocą którego z łatwością sforsowałem barierę, którą do tej pory tak zaciekle i próżno szturmowałem.

W delikatnym świetle późnego popołudnia po raz pierwszy wkroczyłem do grobowca na zboczu opuszczonej kotliny. Byłem oczarowany, a moje serce szalało ze szczęścia, którego nie sposób opisać słowami. Gdy zamknąłem za sobą drzwi i zszedłem po ociekających wodą, zawilgłych schodach, przyświecając sobie jedyną świecą, zdawało się, że znam doskonale drogę. I choć świeca o mało nie zgasła, sycąc się zatęchłym powietrzem, w tym cuchnącym śmiercią i zgnilizną pomieszczeniu czułem się jak w domu.

Rozglądając się wokoło, ujrzałem liczne marmurowe płyty z trumnami lub tym, co z nich pozostało. Niektóre z nich były zamknięte i nienaruszone, ale inne nieomal całkiem szczyły. Pozostały po nich jedynie srebrne klamki i płytki otoczone kopczykami białawego kurzu. Na jednej z płytek odczytałem imię sir Geoffreya Hyde'a, który przybył z Sussex w 1640 roku i zmarł tutaj w kilka lat później. W znamienitej niszy stała jedna doskonale zachowana i pusta trumna, ozdobiona imieniem, na widok którego uśmiechnąłem się mimowolnie i zadygotałem. Dziwny impuls nakazał mi wspiąć się na kamienną płytę, zgasić świecę i ułożyć się w pustej trumnie.

W szarym świetle świtu wyczołgałem się z grobowca i zamknąłem za sobą drzwi na łańcuch. Nie byłem już młodzieńcem, mimo zaledwie dwudziestu jeden zim, które zmroziły mą cielesną powłokę. Wstający z kurami wieśniacy, którzy mnie widzieli, patrzyli teraz na mnie dziwnym

wzrokiem i zastanawiali się, cóż mogło przydarzyć się temu, którego dotąd uważali za spokojnego odludka, a który najwyraźniej wracał do domu po całonocnych hulankach i swawolach. Rodzicom pokazałem się dopiero po długim, dającym odświeżenie śnie.

Od tej pory odwiedzałem grobowiec każdej nocy; widziałem, słyszałem i czyniłem rzeczy, o których nie chcę tu nawet wspominać. Najpierw zmienił się mój sposób wysławiania, zawsze podatny na wpływy otoczenia. Wkrótce zaczęła również zwracać uwagę nabyta nie wiadomo kiedy archaizacja dykcji. Później w moim zachowaniu pojawiły się pierwsze oznaki zuchwałości i braku rozwagi, aż koniec końców pomimo samotniczego życia stałem się prawdziwym światowcem. Język, dotąd sztywny i częstokroć milczący, nabrał łatwości wysławiania i gracji Chesterfielda oraz bezbożnego cynizmu Rochesterera. Zmieniłem się w wyjątkowego erudyte, a stronicze mych ksiąg pokryły tworzone niejako na marginesie epigramy przywodzące na myśl Gaya, Priora, a także najbardziej wesołe augustiańskie żarty oraz rymy.

Któregoś ranka przy śniadaniu nieomal doprowadziłem do katastrofy, deklamując z wyraźnymi, płynnymi, osiemnastowiecznymi akcentami nieco swawolny utwór biesiadny, którego treść nigdy nie została zapisana, a który brzmiał mniej więcej tak:

*Pójdźcie tu, przyjaciele, wytozcie beczkę piwa  
Za dzień dzisiejszy pijmy, niech każdy poużywa  
Niech na półmiskach waszych mięsiwa wrośnie stos  
A jadło i napitek rozchmurzą smętny los  
Po brzegi kufle napełniemy  
Bo ważne to jest, że żyjemy  
Gdy przyjdzie śmierć, ni króla już, ni dziewczki zdrowia nie wzniesiemy!*

*Mówią, że Anakreon stary nos jak pomidor miał czerwony  
Lecz cóż to znaczy, jeśli humor masz stale dobry, wręcz szalony  
Boże, duszę mą weź, wolę czerwonym być*



*Niżli jak lilia białym i w ziemi smętnie gnić!  
Betty, pójdź do mnie tu  
Całuj, aż zabraknie tchu  
Drugiej takiej nie znajdziesz nawet w Piekło, ech, tfu!*

*Młody Harry się chwieje, jak trzaśnięty w łeb wół  
Wkrótce zgubi perukę i się zwali pod stół  
Dalej lejcie, bo w kuflach chyba dno widać już  
Lepiej leżeć pod stołem, niżli w trumnie, no cóż*

*Bawmy się tedy i radujmy  
Spragnione gardła wnet napójmy  
Życia używać, nim w ziemi zlec przyjdzie, się nie bójmy*

*Do czarta tam, już płaczą mi się nogi  
Język mi kołkiem stawa, kark sztywny mam i błogi  
Dozwól no gospodarzu, niech Betty się przysiadzie  
Duszy bratniej mi brak, a żony wszak ze mną tu dziś nie będzie  
Racz mi rękę swą dać  
Chciałbym spróbować wstać  
Póki tchu w piersi stanie, życie garścią chcę brać!*

W tym czasie również ogarnął mnie trwający do dziś lęk przed burzami i ogniem. Wcześniej były mi one obojętne, teraz wszelako napełniają mnie niewypowiedzianą zgrozą. Kiedy tylko niebo zasnuwały burzowe chmury, chowałem się w możliwie najdalszym, najniżej położonym zakątku domu.

Zadnia mą ulubioną enklawą były ruiny spalonej posesji, i fantazjując, częstokroć wyobrażałem sobie, jak musiała wyglądać w okresie swojej świetności. Pewnego razu wystraszyłem jednego z wieśniaków, prowadząc go potajemnie do niewielkiego piwnicznego pomieszczenia, o którego istnieniu wiedziałem, choć od wielu pokoleń było ono zapomniane i nie odwiedzane.

Wreszcie stało się to, czego się od dawna obawiałem. Moi rodzice, zaniepokojeni zmienionym zachowaniem i wyglądem ich jedyne go syna, postanowili śledzić me poczynania, co doprowadziło do katastrofy. Nie

opowiedziałem nikomu o swoich wizytach w grobowcu, strzegąc mego sekretnego celu od dzieciństwa z iście religijną żarliwością. Teraz jednak zmuszony byłem zachować wyjątkową ostrożność przy wędrówkach pośród labiryntu zalesionej kotliny, aby nie doprowadzić do swego sanktuarium potencjalnego prześladowcy. Klucz do grobowca nosiłem zawieszony na rzemyku na szyi, o jego istnieniu zaś nie wiedział nikt oprócz mnie. Nigdy nie wyniosłem z grobowca żadnej rzeczy, na jaką natknąłem się w jego wnętrzu.

Pewnego ranka, gdy wyszedłem z wilgotnego grobowca i drżącą dłonią założyłem łańcuch na odrzwia, ujrzałem wśród pobliskich krzewów przerażone oblicze śledzącego mnie mężczyzny. Niewątpliwie koniec był bliski; moja altana została odkryta, a cel nocnych wypraw zdemaskowany.

Mężczyzna mnie nie zaczepił, toteż pospieszyłem do domu, by podsłuchać, o czym doniesie memu stroskanemu ojcu. Czy świat dowie się o moim pobycie za drzwiami starego grobowca? Wyobraźcie sobie moje rozkoszne zdumienie, kiedy usłyszałem, jak szpieg teatralnym szeptem mówił moim rodzicom, że spędziłem noc w altance przed grobowcem; moje zasnutę snem oczy padły na szczelinę w uchylonych, zablokowanych łańcuchem odrzwiach! Jakim cudem obserwator został tak zwiedziony? Byłem teraz przekonany, że chroniła mnie jakaś nadludzka moc. Rozzuchwalony takim obrotem spraw, zdecydowałem się nie ukrywać swych dalszych wizyt w grobowcu i niezwłocznie podjąłem je na nowo. Przez cały tydzień raczyłem się posępными przyjemnościami, o których nie zamierzam tu wspominać, kiedy to się wydarzyło i zostałem wtrącony do tego przekłętego przybytku smutku i monotonii.

Nie powinienem był wyruszać tej nocy, chmury zdawały się zwiastować burzę, a z cuchnących moczarów na dnie kotliny podniosła się piekielna fosforescencja. Zew umarłych również był nieco inny. Miast grobowca w

kotlinie, była to naruszona ogniem piwnica na szczycie zbocza, gdzie rezydujący demon przywoływał mnie, kiwając niewidocznymi palcami.

Kiedy wyłoniłem się z zagajnika, na równinie pod ruinami ujrzałem w nieco rozmytym przez mgłę blasku księżycy coś, czego zawsze w głębi serca oczekiwałem. Rezydencja, nie istniejąca od stu lat, ukazała się moim oczom w całej swej okazałości. Każde z okien roztaczało blask płonących wewnątrz komnat dziesiątków świec.

W górę długiego podjazdu sunęły powozy bostońskiej szlachty, podczas gdy pieszo nadchodzili ku niej upudrowani notable z pobliskich posiadłości.

Wmieszałem się w ten tłum, choć wiedziałem, że należę bardziej do gospodarzy aniżeli do gości. Wewnątrz budynku królowały muzyka i śmiech, wino lało się strumieniami.

Rozpoznałem kilka twarzy, choć ostatnio, gdy je widziałem, były pomarszczone, nadgnite i nadżarte przez nieubłagany rozkład. Pośród dzikiego, rozszalałego tłumu ja byłem najbardziej niespokojny i najbardziej osamotniony. Radosne bluźnierstwa potoczyście płynęły z mych ust, a w ciętych słowach nie oszczędzałem żadnych praw, czy to naturalnych, ludzkich, czy też boskich.

Wtem potężny grzmot zagłuszył odgłosy bezecnej biesiady, rozłupując dach i uciszając bluźnierczą hałastrę.

Czerwone jęzory ognia i palący żar otoczyły całe domostwo. Biesiadnicy przerażeni niechybną zgubą, która zdawała się przeniknąć granice niezmierzonej natury, z przeraźliwym wrzaskiem umknęli w noc. Pozostałem sam, przykuty do mego siedziska dojmującym lękiem, jakiego nigdy dotąd nie odczuwałem. I wtedy drugi koszmar przepełnił moją duszę - nowa groza, równie silna jak poprzednia. Spalony na popiół, moje ciało rozwiane na cztery wiatry, mogę nigdy nie spocząć w grobowcu Hyde'ów! Czyżby nie było tam dla mnie przygotowanej trumny? Czyż nie miałem prawa spocząć na wieczność wśród potomków sir Geoffreya Hyde'a? Tak!

Odzyskam mą spuściznę śmierci, nawet gdyby moja dusza miała błąkać się przez stulecia, by odnaleźć drugą cielesną powłokę, która ostatecznie zajmie należne jej miejsce na pustej płycie w komorze grobowca. Jervas Hyde nigdy nie podzieli smętnego losu Palinurusa!

Kiedy widmo płonącego domu rozwiało się, ocknąłem się, wrzeszczący i zajadle walczący w ramionach dwóch mężczyzn, z których jeden był szpiegiem śledzącym mnie podówczas, przy grobowcu. Deszcz lał jak z cebra, a na horyzoncie od południa niebo przecinały błyskawice, które jeszcze tak niedawno jaśniały nad naszymi głowami. Mój ojciec, z twarzą przepełnioną smutkiem, stał nieopodal, słuchając, jak wykrzykiwałem doń swe żądania, by złożono moje ciało wewnątrz grobowca, i raz po raz napominał dwóch osiłków, by obchodzili się ze mną możliwie najłagodniej.

Poczerniały krąg na podłodze piwnicy, wewnątrz ruin, był świadectwem niedawnego uderzenia pioruna. Z tego miejsca grupka ciekawskich wieśniaków z latarniami wyłuskała niewielką skrzynkę, wyrób z wyglądu dość stary, który niebiański grom wydobył na światło dzienne.

Porzuciwszy próżną i bezcelową obecnie szarpaninę, obserwowałem gapiów oglądających z niewypowiedzianym zdumieniem osobliwą skrzyneczkę.

Pozwolono mi być świadkiem jej otwarcia. Skrzynka, której zamknięcia zostały zniszczone przez ten sam piorun, który wydobył ją z ukrycia, zawierała wiele dokumentów i cennych przedmiotów, ja jednak miałem wzrok utkwiony w jednej tylko rzeczy. Była to porcelanowa miniatura młodzieńca w upudrowanej peruczce, nosząca inicjały J.H. Oblicze było tak podobne, jakbym przeglądał się w lustrze.

Następnego dnia przyprowadzono mnie do tego pokoju, z kratami w oknach, niemniej informacji o niektórych sprawach udzielał mi na bieżąco pewien stary, prostoduszny sługa, którego miłowałem jeszcze od dzieciństwa i który podobnie jak ja uwielbia tereny przykościelne oraz

cmentarze. To, co odważyłem się opowiedzieć na temat swych doznań w grobowcu, wzbudziło jedynie uśmiechy politowania. Ojciec, który często mnie odwiedza, twierdzi, że nigdy nie udało mi się pokonać strzeżonego łańcuchem wejścia, i przysięga, że zardzewiała kłódka, którą starannie obejrzał, nie była otwierana od dobrych pięćdziesięciu lat. Dodaje przy tym, że wszyscy wieśniacy wiedzieli o mych wyprawach do grobowca i że gdy często widywano mnie śpiącego w zagajniku, przed wejściem do posępnego przybytku, moje na wpół przymknięte oczy utkwione były w szczelinie prowadzącej do jego wnętrza. Nie dysponuję dowodami na obalenie jego twierdzeń, jako że mój klucz do kłódki przepadł gdzieś podczas szamotaniny, która zaszła owej upiornej nocy. Niezwykłe informacje z przeszłości, które uzyskałem podczas mych nocnych spotkań z umarłymi, uznaje się za owoce mych czasochłonnych i żmudnych badań, długotrwałego ślęczenia wśród prastarych ksiąg rodzinnej biblioteki.

Gdyby nie mój stary sługa, Hiram, do tej pory uwierzyłbym już we własne szaleństwo.

Hiram jednak, lojalny do samego końca, wciąż we mnie wierzy i przekonał mnie, bym wyjawiał publicznie przynajmniej część swojej opowieści. Tydzień temu rozbił kłódkę przytrzymującą łańcuch uchylonych drzwi do grobowca i z latarnią w dłoni zszedł w jego mroczną czeluść.

Na kamiennej płycie w jednej z nisz odkrył starą, lecz pustą trumnę z zaśnieżoną tabliczką i wyrytym na niej jednym tylko słowem: Jervas.

Obiecano mi, że zostanę pochowany w tym grobowcu, w tej właśnie trumnie.

# PRZYBYSZ

*Tej nocy Baron wyśnił dużo różnych snów.  
A każdy z tych chwackich gości cielesny byt i mroczny,  
Wiedźma, demon i wielki robak, co się trupem syci.  
Stał się dlań w mig koszmarem*

*Keats*

**N**ieszczęśliwy ten, któremu wspomnienia z dzieciństwa przynoszą jedynie lęk i smutek. Nieszczęśliwy ten, kto oglądając się wstecz, postrzega jedynie samotne godziny, spędzone w rozległych, przeraźliwych komnatach z brązowymi zasłonami i przyprawiającymi o obłąd rządami pradawnych ksiąg, lub na posępnym czuwaniu w pomrocznych zagajnikach, wśród groteskowych, gigantycznych, oplecionych winoroślami drzew, których gałęzie wysoko w górze poruszają się bezgłośnie. Bogowie obdarzyli mnie wieloma takimi wspomnieniami, mnie - oszołomionego, rozczarowanego, pustego, załamane go. A jednak jestem dziwnie kontent i częstokroć wracam rozpaczliwie do tych wspomnień, kiedy mój umysł choćby tylko chwilowo groził sięgnięciem poza pewną granicę, hen, tam, dalej.

Nie wiem, gdzie się urodziłem, wiem jedynie, że zamczysko było niewiarygodnie stare i nieskończenie przerażające, pełne mrocznych przejść i wysokich sklepień, gdzie oko dostrzec mogło jeno pajęczyny i cienie.

Kamienie w murszejących korytarzach zawsze wydawały się upiornie zawilgłe, wszędzie unosiła się przenikliwa, przekłeta woń, kojarząca się z rozkładającymi się od pokoleń zwłokami. Nigdy nie było tu światła, ale z czasem przywykłem do palenia świec i obserwowałem ich blask, co

przynosiło mi ulgę. Światło nie napływało również z zewnątrz z powodu przerażających drzew, których korony sięgały ponad najwyższą dostępną wieżę zamczyska. Była co prawda jeszcze jedna wieża, wyrastająca ponad drzewa, w nieznanie, zewnętrzne niebo, ale częściowo zrujnowana, stała się całkiem niedostępna, jeżeli nie liczyć prawie niemożliwej wspinaczki po pionowym murze, od jednego kamienia do drugiego.

Musiałem żyć w tym miejscu wiele lat, ale nie potrafię mierzyć upływu czasu. Jakieś istoty musiały troszczyć się o moje potrzeby, lecz ja nie pamiętam nikogo, z wyjątkiem siebie. Nie pamiętam zresztą żadnej żywej istoty, prócz bezgłośnych szczurów, nietoperzy i pajaków. Sądzę, że ktokolwiek mnie wychowywał, musiał być bardzo stary, pierwsza bowiem zapamiętana koncepcja żywej istoty kojarzy mi się z czymś ironicznie podobnym do mnie, a jednocześnie zdeformowanym, pomarszczonym i rozpadającym się, jak sam zamek. Jeżeli o mnie chodzi, nie widziałem niczego groteskowego w kościach i szkieletach, zaścielających niektóre z kamiennych krypt głęboko w podziemiach budowli. W wyobraźni łączyłem owe istoty z codziennymi wydarzeniami i uważałem je za bardziej naturalne aniżeli kolorowe podobizny żyjących istot, które napotykałem w licznych, pokrytych pleśnią księgach. Z nich właśnie dowiedziałem się wszystkiego, co wiem teraz. Żaden nauczyciel nie ponaglał mnie ani nie prowadził, nie pamiętam, bym usłyszał przez wszystkie te lata choćby raz ludzki głos - nawet mój własny; bo choć czytałem o mowie, nigdy nie przyszło mi na myśl, aby spróbować się odezwać. Podobnie jak nie zastanawiałem się nad własnym wyglądem, w zamku nie było bowiem luster, i jedynie instynkt podpowiadał mi, że byłem podobny do młodych postaci, których rysunki i obrazki widziałem w rozmaitych książkach. Czułem, że jestem młody, ponieważ tak niewiele pamiętałem.

Na zewnątrz, po drugiej stronie cuchnącej fosy, pod ciemnymi, milczącymi drzewami kładłem się często, by całymi godzinami śnić o tym,

co wyczytałem w księgach. Niejednokrotnie wyobrażałem sobie siebie wśród radosnych tłumów w słonecznym świetle, daleko, poza tą bezkresną puszcza.

Raz próbowałem uciec z lasu, ale im bardziej oddalałem się od zamku, tym cienie robiły się gęstsze, a powietrze przepęniało się mroczną aurą grozy. W tej sytuacji rzuciłem się pędem z powrotem, lecz zgubiłem drogę w labiryncie posępnej, nocnej ciszy.

Tak więc wśród nie mającego kresu zmierzchu śniłem i czekałem, choć nie wiedziałem na co. I nagle, w ciemnej samotności moje pragnienie światła stało się tak rozpaczliwe, że nie mogłem wytrzymać już dłużej i uniosłem błagalnie ręce ku pojedynczej, czarnej, zniszczonej wieży sięgającej ponad lasem w nieznane niebo na zewnątrz. Ostatecznie postanowiłem wspiąć się na nią, nie bacząc na ryzyko upadku. Uznałem, że lepiej było ujrzećienne niebo i umrzeć, niż żyć, nie zobaczywszy blasku dnia.

Pośród mrocznego zmierzchu wspiąłem się po zmurszałych, starych, kamiennych schodach, dopóki nie dotarłem do miejsca, gdzie się kończyły, a stamtąd zacząłem piąć się w górę po niewielkich, nierównych występach.

Upiorny i przerażający był ów martwy, pozbawiony schodów kamienny walec: czarny, zrujnowany, opuszczony i złowrogi, a wrażenie to jeszcze wzmagają nietoperze, które spłoszone zrywały się z miejsca, nie czyniąc nawet najmniejszego hałasu. Jednakowoż jeszcze bardziej upiorna i przerażająca była powolność mej wspinaczki. Choć piąłem się w górę najszybciej, jak mogłem, ciemność powyżej nie rzędła ani trochę, a we znaki zaczął mi się dawać dojmujący chłód, nie będący, jak sądziłem, li tylko dziełem parującej wokoło wilgoci. Zadrzałem, kiedy pomyślałem, dlaczego nie mogę dotrzeć do światła, i gdybym się odważył, zapewne spojrzełbym w dół. Wyobrażałem sobie, że niespodziewanie opadła mnie



noc, i na próżno sięgnąłem wolną ręką, by poszukać framugi okna, przez które mógłbym wyjrzeć, aby ocenić wysokość, na jaką dotarłem.

Jednocześnie po nie mającej końca, przeraźliwej wspinaczce na ślepo, w głębi tego posępnego, niesamowitego cylindra poczułem nagle, że moja głowa dotknęła czegoś twardego, i zrozumiałem, że musiałem dotrzeć do dachu lub przynajmniej jakiejś formy podestu.

W ciemności uniosłem wolną rękę i zbadałem przeszkodę, by stwierdzić, iż była ona kamienna i niewzruszona. Nadeszła pora na dokonanie zabójczego obchodu wieżycy. Uczyniłem to, przytrzymując się wszystkiego, co oferowała do utrzymania ciężaru mego ciała śliska, omszała ściana. W końcu moja dłoń natrafiła na fragment muru, który poddał się naciskowi, i ponownie skierowałem się ku górze, popychając płytę lub klapę głową, a ręką używając do przebycia ostatniego etapu mojej przeraźliwej wspinaczki. Powyżej również było ciemno, a kiedy uniosłem rękę wyżej, stwierdziłem, że przynajmniej na razie dotarłem do kresu wędrówki - kłapa okazała się bowiem wejściem do wyższego poziomu wieżycy, o obwodzie dużo większym niż dolny. Bez wątplenia było to piętro, na którym znajdowało się przestronne i podniosłe pomieszczenie obserwacyjne. Przeczółgałem się przez nie ostrożnie, usiłując nie dopuścić, by płyta opadła na swoje miejsce, ale moje wysiłki spełzyły na niczym. Kiedy zległem wyczerpany na kamiennej posadzce, usłyszałem echo jej upadku, lecz miałem nadzieję, że w razie potrzeby uda mi się ponownie ją unieść.

Wierząc, że jestem teraz na całkiem sporej wysokości, dużo wyżej, niż sięgały przekłete gałęzie drzew, podźwignąłem się z podłogi i udałem się na poszukiwanie okien, aby po raz pierwszy móc spojrzeć na niebo, księżyc i gwiazdy, o których czytałem. Tu jednak spotkało mnie srogie rozczarowanie - wszędzie bowiem wokół odkryłem jedynie marmurowe

półki, zavalone osobliwymi, podłużnymi skrzyniami niepokojących rozmiarów.

Zastanawiałem się nieustannie i rozmyślałem, jakie potężne schody mogą kryć się w tym niesamowitym pomieszczeniu, odciętych całe eony temu od dolnej części zamczyska. Wtem, niespodziewanie, moje dłonie natknęły się na wejście, w którym tkwił okazały, kamienny portal ozdobiony płaskorzeźbami. Naciskając nań, stwierdziłem, że wejście było zamknięte, ale w gwałtownym przypiływie sił zrodzonych z desperacji, pokonałem wszelkie przeszkody i uchyliłem odrzwia do wewnątrz. Kiedy to uczyniłem, ogarnęła mnie najczystsza ekstaza, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałem - przez ozdobne żelazne kraty i z głębi krótkiego kamiennego korytarza prowadzącego od nowo odkrytego wejścia płynęła bowiem srebrzysta poświata księżyca w pełni, której nigdy dotąd nie widziałem, chyba tylko w snach i w mglistych wizjach, których nie ważyłem się nazywać wspomnieniami.

Uznawszy, że zdołałem dotrzeć na szczyt iglicy, postanowiłem wyjść spieszenie, choćby na kilka kroków poza drzwi, nagle jednak księżyc przesłoniły chmury, potknąłem się i zacząłem wolno, po omacku, szukać drogi w ciemności. Wciąż jeszcze było bardzo ciemno, kiedy dotarłem do kraty - na którą lekko napałem i stwierdziłem, że nie była zamknięta na klucz, lecz nie otworzyłem jej z obawy przed wypadnięciem z olbrzymiej wysokości, na jaką się wspiąłem, i wtedy ponownie pokazał się księżyc.

Najbardziej szokuje to, co bezgranicznie nieoczekiwane i groteskowo niewiarygodne. Nic, czego dotychczas doświadczyłem, nie mogło równać się ze zgrozą tego, co teraz ujrzałem, oraz wyjaśnić cudu, sugerowanego widokiem. Był on tyleż prosty, co uderzający i oszałamiający. A oto, jak się przedstawiał: miast przyprawiającej o zawrót głowy panoramy wierzchołków drzew, widzianych z dużej wysokości, wokół mnie, za metalową kratą rozciągał się twardy grunt, zbity i poprzedzielany

marmurowymi płytami i kolumnami, na który cień rzucał prastary kamienny kościół, ze zniszczoną wieżą, migoczącą upiornie w srebrnym świetle księżyca.

Na wpół przytomny, otworzyłem bramę i wyszedłem chwiejnie na białą, wysypaną żwirem ścieżkę, ciągnącą się w dwóch kierunkach. Mój umysł, choć oszołomiony i ogarnięty chaosem, wciąż rozpaczliwie domagał się światła. Nawet najbardziej zdumiewające wydarzenie nie mogło odwieść mnie od tego postanowienia. Nie wiedziałem ani nie przejmowałem się, czy to, czego doświadczyłem, było oznaką szaleństwa, czarów czy sennym majakiem. Pragnąłem jedynie za wszelką cenę ujrzeć jasność, szczęśliwość i radość. Nie wiedziałem, kim ani czym byłem, jak również gdzie się znajdowałem - choć w miarę jak posuwałem się naprzód, w mej świadomości pojawiły się pewne utajone dotąd, przeraźliwe wspomnienia, które sprawiały, że mój krok nie był już tak rażny jak dotychczas. Zostawiłem w tyle marmurowe płyty i kolumny i wyszedłem na otwartą przestrzeń. Czasami podążałem drogą, innym znowu razem łąkami, gdzie tylko przypadkowo dostrzeżone ruiny zdawały się świadczyć o istnieniu prastarego, zapomnianego traktu. Raz przepłynąłem rwącą rzekę, gdzie zarośnięte mchem bryły kamienia mówiły smętną prawdę o moście, który dawno temu pogrzyżł się w odmętach.

Musiały minąć ponad dwie godziny, nim dotarłem do czegoś, co mogłem uznać za swój cel. Było to obrośnięte hojnie bluszczem zamczysko, w gęsto zadrzewionym parku, który, choć zdumiewająco znajomy, jednocześnie wydawał mi się nad wyraz obcy. Dopiero później zobaczyłem, że fosa była zasypana, a niektóre ze znanych mi wież zburzone, podczas gdy obok wznosiły się nowe skrzydła budowli, aby ich widokiem zmącić umysł patrzącego.

Ja wszakże z największym zaskoczeniem i rozkoszą przypatrywałem się otwartym oknom - bił z nich silny blask i płynęły dźwięki radosnej zabawy.

Zbliżywszy się do jednego, zajrzałem do środka i ujrzałem osobliwie przyrodziane towarzystwo, oddające się nieskrępowanej zabawie i żywo rozprawiające między sobą - nigdy dotąd nie słyszałem ludzkiej mowy i mogłem się jedynie domyślać, o czym rozmawiano. Niektóre twarze wydawały się przywoływać we mnie na wpół zapomniane wspomnienia, inne były całkowicie obce.

W końcu przeszedłem przez niskie okno do jasno oświetlonej komnaty, a gdy to się stało, tłąca się we mnie iskierka nadziei zgasła w przypływie nagłej świadomości, zalana falą czarnej rozpacz. Koszmar przybył szybko, bo kiedy tylko wszedłem, stałem się świadkiem jednego z najbardziej przerażających zjawisk, jakie kiedykolwiek widziałem. Ledwie znalazłem się w sali, całe towarzystwo ogarnęła nagła, niewypowiedziana i dojmująca zgroza, której wyraz powykrzywiał ich twarze i wydarł przeraźliwe okrzyki z nieomal wszystkich gardeł. Wszyscy jak jeden mąż rzucili się do ucieczki, a w tumultie i panice kilka osób zemdlało i zostało wyniesionych przez ich umykających w popłochu kompanów. Wielu zakrywało oczy dłońmi i gnało na oślep w panicznej próbie ucieczki, przewracając meble i zderzając się ze ścianami, zanim udało im się dotrzeć do jednych z wielu drzwi.

Krzyki były szokujące. Kiedy tak stałem w jasno oświetlonym pomieszczeniu, samotny i oszołomiony, nasłuchując cichnącego echa ich ucieczki, zadrzałem na myśl, co mogło czaić się, niedostrzegalne, w pobliżu.

Na pierwszy rzut oka komnata zdawała się pusta, kiedy jednak ruszyłem w stronę jednej z alków, odniosłem wrażenie, że wyczuwam w niej czyjaś obecność - złudzenie ruchu za ozdobionym łukiem wejściem prowadzącym do sąsiedniej, podobnej do tej, komnaty. Zbliżywszy się do wejścia, zacząłem odbierać obecność nieco wyraźniej. I nagle, wraz z pierwszym i ostatnim dźwiękiem, jaki z siebie wydałem - upiornym skowytym, który wzbudził we mnie niemal równie wielką odrazę, jak ohyda będąca jego

przyczyną - ujrzałem, w pełni swej przerażającej, mrożącej krew w żyłach okazałości, nieopisaną, niepojętą, niewypowiedzianą koszmarną istotę, monstrum, które samym swym wyglądem zmieniło radosne towarzystwo w gromadę rozhisteryzowanych, rozgorączkowanych uciekinierów.

Nie potrafię nawet pobieżnie opisać, jak wyglądało to coś. Było istną kombinacją wszystkiego, co nieczyste, niesamowite, nienormalne, niepożądane i godne najwyższej pogardy. Miało trupią barwę gnijących zwłok, odcień rozkładu, starości i zepsucia, toczony przez robaki, ociekający eidolon bluźnierczego objawienia, ohydne, okrutne uzewnętrznienie tego, co litościwa ziemia powinna na zawsze ukryć w swoich trzewiach. Bóg jeden wie, że nie pochodziło z tego świata - albo przynajmniej już nie z tego świata - aczkolwiek ku swemu przerażeniu ujrzałem w jego wyżartym, ziejącym nagimi kośćmi kształcie przeraźliwie ironiczną, zdeformowaną w niemożliwy do wyrażenia sposób trawestację ludzkiej sylwetki. Przegniłe, rozchodzące się w szwach odzienie jeszcze bardziej wzmogło narastające we mnie przerażenie.

Byłem nieomal sparaliżowany, ale nie na tyle, by nie podjąć choćby najmniejszej próby ucieczki. Zatoczyłem się w tył, ale to nie zdołało przełamać uroku, jaki rzucił na mnie ów nienazwany, pozbawiony głosu potwór. Moje oczy, urzeczony szklistymi gałkami, które wlepiały we mnie odrażający wzrok, nie chciały się zamknąć; były jednakże litościwie przymglone i ukazywały mi ową odrazę nieco rozmytą wskutek pierwszego szoku. Usiłowałem unieść rękę, by przesłonić wzrok, lecz byłem tak oszołomiony i zdenerwowany, że ręka nie do końca poddała się mej woli.

Próba ta wszakże wystarczyła, by zakłócić mą równowagę - w ten oto sposób, by nie upaść, musiałem chwiejnie postąpić kilka kroków naprzód; kiedy to uczyniłem, nieoczekiwanie, ze zgrozą zdałem sobie sprawę z bliskości tej trupiej istoty. Nieomal wyobrażałem sobie, że mogę usłyszeć jej zdławiony, odrażający oddech. Na wpół omdlały, miałem jeszcze dość

przytomności umysłu, by wysunąć przed siebie jedną rękę w rozpaczliwej próbie powstrzymania cuchnącej, groteskowej istoty, która znajdowała się tak blisko mnie. I wtedy w jednej, katastrofalnej sekundzie kosmicznego koszmaru i piekielnego przypadku moje palce dotknęły wyciągniętej, gnijącej łapy monstrum czającego się za złotą, łukową ramą.

Nie krzyknąłem, lecz wszystkie diabelskie ghule śmigające wraz z nocnym wiatrem wrzasnęły zamiast mnie i w tej samej sekundzie na mój umysł zwała się pojedyncza, ulotna lawina druzgocących duszę wspomnień. W tym momencie przypomniałem sobie wszystko, co się dotąd wydarzyło, sięgnąłem pamięcią poza granicę przerażającego zamczyska i drzew i rozpoznałem zmienioną budowlę, w której się obecnie znajdowałem. Przede wszystkim jednak, i to było najstraszniejsze, rozpoznałem bluźnierczą obrzydliwość, która stała przede mną, szczerząc się, kiedy cofałem moje skulone palce od jej dłoni.

W kosmosie wszakże poza goryczą istnieje również ukojenie, a owym balsamem jest nepenthes.

W przyływie dojmującej zgrozy tej krótkiej chwili zapomniałem, co mnie przeraziło, i eksplozja czarnych wspomnień szezła w chaosie ech rozmaitych obrazów. W zapomnieniu umknąłem przed tą niepokojącą i przekłętą bryłą, a w blasku księżyca biegłem rączo i bezgłośnie. Kiedy wróciłem na marmurowe cmentarzysko i zszedłem na dół po schodach, stwierdziłem, że nie jestem w stanie poruszyć uchylnej kamiennej klapy sekretnego wejścia.

Nie żałowałem tego, gdyż nienawidziłem starego zamczyska i drzew. Teraz mknę z drwiącymi i przyjaznymi gbulami pośród nocnego wiatru, a za dnia igram wśród katakumb Nephren-Ka w niedostępnej, nieznannej kotlinie Hadoth nad Nilem. Wiem, że światło dnia nie jest dla mnie odpowiednie, a raczej blask księżyca oświetlający kamienne grobowce Neb, podobnie jak radość i swawola, z wyjątkiem tajemnych uczt Nitokris w

podziemiach Wielkiej Piramidy. Muszę wszelako przyznać, że dzięki tej nowej swobodzie i szaleństwu nieomal pogodziłem się z goryczą obcości.

Chociaż nepenthes przyniósł mi wewnętrzny spokój, wiem, że zawsze byłem i pozostanę już przybyszem z zewnątrz - obcym w tym stuleciu i pośród tych, którzy wciąż są jeszcze ludźmi. Zrozumiałem to z chwilą, gdy sięgnąłem ręką w kierunku odrażającej, bluźnierczej ohydy, widocznej wewnątrz tej wielkiej, złoconej ramy - kiedy wyprężyłem palce i dotknąłem zimnej, nieustępliwej powierzchni gładkiego, polerowanego szkła.

# PRZEKLĘTY DOM

## I

**N**awet najgorszym koszmarom towarzyszy zwykle odrobina ironii. Czasem łączy się ona bezpośrednio z tokiem wydarzeń, niekiedy wiąże się tylko z przypadkowością dotyczącą postaci i wypadków. Doskonały przykład drugiej ze wspomnianych odmian ironii stanowi wydarzenie, do którego doszło w starym mieście Providence, gdzie w końcu lat czterdziestych przebywał często Edgar Allan Poe, smaląc cholewki, bez powodzenia zresztą, do utalentowanej poetki, pani Whitman. Poe zatrzymywał się zwykle w Mansion House przy Benefit Street, dawnym Golden Bali Inn, pod dachem którego gościli Washington, Jefferson i Lafayette. Najbardziej zaś lubił wybierać się na przechadzkę na północ, wzdłuż tejże samej ulicy, do domu pani Whitman i na cmentarz w pobliżu stojącego na wzgórzu kościoła św. Jana Apostoła, gdzie niektóre spośród starych, osiemnastowiecznych grobów o zmurszałych, na wpół widocznych płytach przepełniały go szczególną fascynacją.

A oto ironia. W czasie swych spacerów ów największy na świecie mistrz opowieści z dreszczykiem zmuszony był wielokrotnie mijać pewien wyjątkowy dom stojący po wschodniej stronie ulicy - obskurny, stary budynek zbudowany na niewielkim wzniesieniu, z wielkim, zaniedbanym podwórzem pochodzącym z czasów, gdy okolica ta nie była jeszcze gęsto



zabudowana. Nic nie wskazuje, by kiedykolwiek pisał lub wspominał o tym domu, nie istnieje żaden dowód, że w ogóle zwrócił nań uwagę. A mimo to dom ów dla dwóch osób dysponujących pewnymi informacjami dorównuje lub wręcz przewyższa pod względem potworności najwymyślniejsze spośród upiornych fantazji geniusza, który tak często mijał go nieświadomie, i pozostaje w tym samym miejscu jako mroczny symbol wszystkiego, co plugawe, potworne i złowrogie.

Dom ten był - i jest po dziś dzień jedną z tych budowli, które przykuwają uwagę ciekawskich. Zbudowany jako farma, lub raczej półfarma, jest przykładem typowego nowoangielskiego stylu kolonialnego osiemnastego stulecia - potężny, spadzisty dach, pięterko, poddasze bez mansardy, georgiańskie wejście i wnętrze wyłożone modną na owe czasy boazerią. Był skierowany na południe, z jednym szczytem od wschodu, po niższe okna przesłonięty pagórkiem, z drugiej zaś strony od ulicy odsłonięty aż po fundamenty. Jego kształt sprzed ponad półtora wieku zmieniał się przez lata, w miarę jak prostowano i wyrównywano ciągnącą się opodal drogę - Benefit Street bowiem, zwana z początku Back Street, była najpierw aleją wijącą się pośród grobów pierwszych osadników, a prosto jak strzełił pobiegła, dopiero gdy ciała przeniesiono na cmentarz North Burial Ground. Początkowo zachodnia ściana znajdowała się dwadzieścia stóp od drogi, oddzielona od niej połową trawnika. Kiedy jednak w czasie rewolucji ulicę poszerzono, zajmując zielony pas graniczny, odsłonięciu uległy fundamenty budowli, wskutek czego należało wybudować ceglany mur podpiwniczenia i poszerzyć piwnice wzdłuż całego frontu domu. Drzwi i podwójne okna były odtąd skierowane ku nowej arterii komunikacyjnej. Gdy sto lat temu wyłożono chodnik, zajęty został ostatni pas szerokiego ongiś trawnika. Po podczas swych spacerów musiał widzieć tylko wznoszący się przed nim matowy, szary mur domu

zlewający się z popielatym chodnikiem - na wysokości dziesięciu stóp znikający pod brudnymi gontami starego, spadzistego dachu.

Na tyłach budynku rozciągały się sięgające niemal do Wheaton Street za pagórkiem tereny gospodarskie. Obszar od południa wychodzący na Benefit Street znajdował się, rzecz jasna, sporo powyżej chodnika, tworząc taras okolony wysokim murkiem z wilgotnych, omszałych kamieni, w którym tu i ówdzie dobudowano strome, wąskie, kamienne schodki wiodące, niby w głąb wąwozu, ku górnemu poziomowi zapuszczonego trawnika, murszejącym ceglany ścianom i zaniedbanemu ogrodowi, gdzie zdekompletowane cementowe urny, zardzewiałe kociołki, które spadły z drewnianych, gruzłowatych trójnogów, i tym podobne parafernalia strzegły dostępu do skołatanych przez burze frontowych drzwi z wybitym półkolistym okienkiem u szczytu, przeżartymi przez grzyb jońskimi kolumnami i murszejącym trójkątnym frontonem. W młodości cała moja wiedza o przeklętym domu zawierała się w informacji, iż umarło tam niewiarygodnie wiele osób.

Właśnie dlatego, jak mi wyjaśniono, pierwsi właściciele wyprowadzili się jakieś dwadzieścia lat po zbudowaniu tego budynku. Był on zwyczajnie niezdrowy, możliwe, że z powodu wilgoci i grzyba w piwnicy, nieprzyjemnej woni, którą czuło się we wszystkich pomieszczeniach, przeciągów w korytarzach lub jakości wody, zarówno tej bieżącej, jak i ze studni. Wszystko to dawało dość paskudny obraz tego miejsca, jedyny skądinąd, jaki uzyskałem od znanych mi osób. Dopiero notatniki mego stryja, antykwariusza, doktora Elihu Whipple'a ujawniły mi w końcu mroczniejsze, niejasne przypuszczenia krążące w postaci zabobonów i guseł wśród starej służby i prostego, wieśniaczego ludu, plotki i podejrzenia o niewielkim w sumie zasięgu, które w większości zostały zapomniane, w miarę jak Providence stało się metropolią o jakże zmiennej, współczesnej populacji.

Faktem jest, iż większa część owej społeczności nigdy nie uważała owego domu za „nawiedzony” w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie rozsiewano plotek o mglistych postaciach pobrzękujących smutno łańcuchami, dziwnych podmuchach zimnego powietrza, gasnących światłach czy twarzach pokazujących się w którymś z okien. Bywali wszelako tacy, którzy uważali ten dom za „pechowy”, ale nigdy nie wyjaśniali dlaczego. Jedyne, co nie podlegało dyskusji, to pokaźna liczba osób, które tam umarły, i należy wspomnieć o tym w czasie przeszłym, gdyż jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności od ponad sześćdziesięciu lat budynek stał pusty, nie znalazł się bowiem chętny, który by w nim zamieszkał. Dawni mieszkańcy owej posesji nie pogasnęli jak świece, złożeni do grobu jedną i tą samą przyczyną, raczej rzecz by należało, iż z dnia na dzień coraz bardziej tracili swą witalność, by ostatecznie zejść z tego świata wskutek odmiennych, typowych dla każdego z nich przypadłości. Ci zaś, co nie pomarli, cierpieli na rozmaite odmiany anemii, gruźlicy i innych wyniszczających chorób, a niektórzy wykazywali także objawy poważniejszych zaburzeń psychicznych - tak czy inaczej, wszystkie te wypadki nie świadczyły najlepiej o budynku i jego wpływie na lokatorów. Dodać przy tym należy, iż okoliczne domy wydawały się pozbawione tak złowrogiego wpływu na ludzi.

To wszystko, co wiedziałem, zanim wskutek natrętnego wypytywania stryj nie pokazał był mi notatek, które ostatecznie skłoniły nas do przeprowadzenia dogłębniejszego dochodzenia. W czasach mego dzieciństwa przeklęty dom był opuszczony, wokół stały nagie, poskręcane i przerażające stare drzewa, rosła długa, niezwykle blada trawa, na wysokim tarasie zaś, gdzie nigdy nie przesiadywały ptaki, płożyły się chwasty. My, chłopcy, często odwiedzaliśmy to miejsce i wciąż pamiętam grozę, jaką wówczas odczuwałem, lęk wywołany nie tylko upiorną obcością tej złowrogiej roślinności, lecz również posępną atmosferą i nieprzyjemnym

odorem panującym wewnątrz wymarłego domu, którego nie zamknięte na zasuwę drzwi frontowe często przekraczaliśmy, spragnieni przygody i dreszczyku zakazanych emocji.

Okienka o małych szybkach były w większości wytłuczone, w pomieszczeniach panowała niewytłumaczalna atmosfera samotności i opuszczenia, którą podkreślały jeszcze popękana boazeria na ścianach, smutne, zwisające ukośnie w zawiasach okiennice, odłóżące ze ścian tapety, odpadający tynk, rozchwierutane schody i pozostałości świetnych ongiś, a teraz żałośnie zdezelowanych mebli. Kurz i pajęczyny sprawiały, iż wygląd wewnątrz wydawał się jeszcze bardziej złowrogi i zatrważający, za bohatera zaś uchodził chłopak, który odważył się wspiąć po drabinie na poddasze - ciągnące się wzdłuż frontu budynku pomieszczenie z małymi półokrągłymi świetlikami w głównej ścianie, zagracone przechowywanymi tam niezliczonymi kufkami, krzesłami i kołowrotkami, które ozdobione nagromadzonymi przez lata pajęczynami i kurzem, nabierały zaiste diabelskich i potwornych kształtów. Nie poddasze jednak było najbardziej przerażającym miejscem w tym domu. Była nim wilgotna, cuchnąca pleśnią piwnica, która nie wiadomo czemu, wzbudzała w nas największą odrazę, mimo iż od strony ulicy znajdowała się w całości nad ziemią, i od chodnika, po którym spacerowali przechodnie, dzieliły ją tylko cienkie drzwi i ceglany mur z wąskim okienkiem. W gruncie rzeczy nie bardzo wiedzieliśmy, czy odwiedzać ją w nadziei na odrobinę mocniejsze przeżycia, czy unikać, z obawy o nasze dusze i zdrowe zmysły. Po pierwsze, nieprzyjemny odór rozchodzący się po domu był tam najsilniejszy, po wtóre zaś, nie podobały się nam białe grzybiaste narośla, które niekiedy, zwłaszcza w deszczowe lata, wschodziły z twardego ubitego klepiska. Grzyby te, równie groteskowe jak roślinność na podwórzu, miały doprawdy odrażające kształty, wyglądały niczym parodie muchomorów i szatanów niepodobnych do żadnych innych, jakie kiedykolwiek mieliśmy

okazję oglądać. Błyskawicznie gniły, a w pewnym stadium emanowały lekką fosforescencją, przeto wielu naocznych przechodniów mijających ów dom mówiło o błędnych ognikach gorejących w przesyconych odrażającym odorem pomieszczeniach z wytłuczonymi szybami.

Co do nas, nigdy, nawet w wigilię Wszystkich Świętych, kiedy nastroje mieliśmy najbardziej bojowe, nie odważyliśmy się odwiedzić tej piwnicy nocą, byliśmy bowiem świadkami owego osobliwego świecenia, nawet za dnia, zwłaszcza gdy było dżdżysto i pochmurno. Często wydawało się nam również, iż dostrzegamy coś subtelniejszego. Było to doprawdy nader niezwykle, sugestia ledwie. Mam na myśli coś w rodzaju białawego śladu, jakby mgiełki na ubitym ziemistym podłożu - słabo widoczna, ulotna pozostałość pleśni lub saletry, którą, jak się nam zdawało, dostrzegaliśmy wśród rzadkich grzybiastych narośli w pobliżu ogromnego kominka w piwnicznej kuchni. Od czasu do czasu odnosiliśmy wrażenie, iż plama ta w dość upiorny sposób przypomina zgiętą wpół postać ludzką, choć podobieństwa zasadniczo nie było i często nie było widać również białego nalotu. Pewnego dżdżystego popołudnia, gdy iluzja owa wydała mi się wyjątkowo silna i gdy na dodatek odniosłem wrażenie, iż dostrzegam coś w rodzaju cienkich, żółtych, falujących nitek siarczanego dymu, wznoszących się z saletrowego spłachcia ku ziejącej czeluści kominka, opowiedziałem o tym stryjowi. Uśmiechnął się, słysząc moje słowa, lecz dostrzegłem w skrzywieniu jego ust grymas dziwnego wspomnienia. Później dowiedziałem się, że podobna wzmianka stanowi element jednego z mrocznych ludowych podań, legend opowiadających o upiornych, wilczych kształtach tworzących się z dymu z wielkiego kominka i dziwacznych konturach przyjmowanych przez pewne poskręcane korzenie drzew, które wdarły się do wnętrza piwnicy pomiędzy obluzowanymi cegłami fundamentów.

## II

Dopiero gdy stałem się dorosłym mężczyzną, stryj pokazał mi notatki i informacje, jakie zebrał na temat wymarłego domu. Doktor Whipple był rozsądnym, konserwatywnym lekarzem, ze starej szkoły, i pomimo swych zainteresowań dość niechętnie kierował swe myśli ku sprawom paranormalnym, którymi pasjonował się w młodości. Jego punkt widzenia, zasadzający się na teorii niezdrowej atmosfery domu wynikłej z niewłaściwej lokalizacji budynku, nie miał nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Zdawał sobie wszelako sprawę, że obrazowość zdarzeń, która ożywiła w nim owo zainteresowanie, mogłaby przyjąć w umyśle młodego chłopaka formę najbardziej fantastycznych i przerażających przypuszczeń.

Doktor był kawalerem, siwowłosym, gładko ogolonym, staroświeckim dżentelmenem i znanym lokalnym historykiem, który często kruszył kopie z tak kontrowersyjnymi strażnikami miejscowych tradycji, jak Sidney S. Rider i Thomas W. Bicknell. Mieszkał z jednym tylko służącym w georgiańskiej posesji z kołatką na drzwiach i barierkami przy schodach, przycupniętej na szczycie stromo wznoszącej się North Court Street, opodal starego, ceglanego gmachu sądu kolonialnego, gdzie jego ojciec, kuzyn sławnego korsarza, kapitana Whipple'a, który spalił w 1772 roku bojowy szkuner JKM, czwartego maja 1776 roku brał udział w głosowaniu za uznaniem niepodległości kolonii Rhode Island. Wokoło, w cuchnącej wilgocią bibliotece o niskim stropie, ścianach wyłożonych spleśniałą jasną boazerią i maleńkich, zasnutych winoroślą okienkach znajdowały się pamiątki i kroniki jego rodu, wśród których można było znaleźć liczne, dwuznaczne aluzje dotyczące wymarłego domu przy Benefit Street. To przeklęte miejsce znajduje się niedaleko stąd, ulica Benefit bowiem ciągnie

się tuż powyżej gmachu sądu, wzdłuż stromego zbocza, na którym pobudowano pierwsze w tej okolicy domy.

Kiedy po długich staraniach i przekonywaniach namówiłem mego stryja, by podzielił się ze mną wiedzą, której pożądałem, ujrzałem przed sobą dość osobliwą kronikę. Rozwlekła, pełna danych, opisująca aż nadto dokładnie wszelkie genealogiczne niuanse rodu, nieodmiennie snuła jednak nić upiornego, pozostającego w cieniu koszmaru i pierwotnego zła, które wywarło na mnie dużo silniejszy wpływ aniżeli na dobrego doktora. Odrębne wypadki zdawały się pasować do siebie nawzajem, aczkolwiek w dość charakterystyczny sposób, a z pozoru banalne szczegóły w moim odczuciu rodziły całkiem odrażające przypuszczenia. Zaczęła we mnie kiełkować nie zaspokojona ciekawość, w porównaniu z którą me dziecięce doznania zdawały się błahe i irracjonalne. Pierwsze objawienie zaowocowało badaniami, a w końcu ową mrozącą krew w żyłach wyprawą, która okazała się zgubna w skutkach. Któregoś dnia bowiem mój stryj ją nalegać, by mógł towarzyszyć mi w dochodzeniu, jakie prowadziłem, i wybraliśmy się razem do przeklętego domu, by spędzić tam noc. Wróciłem stamtąd już bez niego.

Brak mi tego łagodnego, pogodnego człowieka, którego żywot nacechowany był takimi przymiotami, jak honor, prawość, dobry smak, łagodność i uczoność. By uczcić jego pamięć, pobudowałem marmurową urnę na cmentarzu przy kościele św. Jana - w miejscu tak uwielbianym przez Poego, na wzgórzu, wśród potężnych wierzb, gdzie krypty i kamienne nagrobki tłoczyły się w wiekuistej ciszy pomiędzy ogromnym masywem kościoła a domami stojącymi wzdłuż Benefit Street.

Historia tego domu, jawna i wyrazista pośród labiryntu dat, nie zawierała żadnych złowrogich szczegółów, zarówno jeżeli chodzi o jego powstanie, jak i zamożną i cieszącą się poważaniem rodzinę, która go zbudowała. Mimo to nietrudno było wychwycić pierwsze mroczne sygnały, które już

niebawem przerodzą się w posępną rzeczywistość. Starannie prowadzone zapiski mego stryja zaczynały się od wzniesienia owej budowli w roku 1763 i szczegółowo opisywały związane z nią wypadki. Wymarły dom zamieszkiwali z początku, jak się wydaje, William Harris i jego żona, Rhoby Dexter, oraz ich dzieci - Elkanah, ur. w 1755, Abigail, ur. w 1757, William jun., ur. w 1759 i Ruth, ur. w 1761 roku. Harris był kupcem pływającym szlakami handlowymi do Indii Zachodnich i związanym z firmą Obadiaha Browna i jego bratanków. Po śmierci Browna, w 1761 roku, szef nowej firmy Nicholas Brown i s-ka uczynił go szyprem brygu „Prudence” zwodowanego w Providence 120-tonowca, a tym samym dał szansę wybudowania nowego domu dla jego rodziny. O takim domu Harris marzył od dnia zawarcia małżeństwa.

Miejsce zostało wybrane - fragment niedawno wyrównanej, nowej i modnej Back Street, ciągnący się wzdłuż zbocza wzgórza nad zatłoczonym Cheapside - było to wszystko, o czym mógł zamarzyć, a budynek jak najbardziej pasował do otoczenia - był wytworny, ale gustowny, Harris pragnął wprowadzić się do niego przed narodzinami piątego dziecka, którego się spodziewali. Dziecko to, chłopiec, przyszło na świat w grudniu, lecz narodziło się martwe. Przez półtora wieku w domu tym ani jedno dziecko nie urodziło się żywe. W kwietniu następnego roku dzieci zaczęły chorować, nim minął miesiąc Abigail i Ruth zmarły. Doktor Job Ives zdiagnozował chorobę jako wyjątkowo groźną dziecięcą gorączkę, choć inni upierali się, że w grę wchodziło coś więcej aniżeli zwyczajne suchoty czy wycieńczenie organizmu. Tak czy inaczej, choroba okazała się zaraźliwa, Hannah Bowen bowiem, jedna z dwójki służących, zmarła na tę samą dolegliwość w czerwcu. Eli Lideason, drugi służący, stale uskarżał się na ogólne osłabienie.

Zapewne wróciłby w rodzinne strony, na farmę swego ojca, gdyby nie zadurzył się w Mehitabel Pierce, którą wynajęto po śmierci Hannah. Zmarł



w roku następnym, który był wyjątkowo smutny, wtedy bowiem odszedł również sam William Harris, osłabiony klimatem Martyniki, gdzie często mieszkał i pracował w ostatnim dziesięcioleciu.

Wdowa, Rhoby Harris, nigdy już nie doszła do siebie po śmierci małżonka, a zgon pierworodnego Elkanaha, dwa lata później, okazał się ostatecznym ciosem dla jej zdrowych zmysłów. W 1768 roku popadła w lekki obłąd i od tej pory przebywała stale w zamknięciu, w górnej części domu. Jej starsza siostra, Mercy Dexter, wprowadziła się do domu, by przejąć opiekę nad rodziną. Była to prosta, silna i twarda z natury kobieta, lecz odkąd przestąpiła próg feralnego budynku, zaczęła z wolna podupadać na zdrowiu. Cechowało ją niezwykle wręcz oddanie nieszczęsnej siostrze; wielkim uczuciem darzyła również jedyne pozostałego przy życiu siostrzeńca, Williama, który z silnego dziecka wyrósł na słabowitego, niedomagającego młodzieńca. W roku śmierci Mehitabel odszedł również służący Preserved Smith, nie podając żadnego konkretnego powodu swej decyzji, a jedynie mgliste sugestie poparte tezą, jakoby nie podobał mu się unoszący się w całym domu dziwny zapach.

Przez pewien czas Mercy nie była w stanie zatrudnić do pomocy żadnej służby, gdyż siedem zgonów i przypadek utraty zmysłów w ciągu niespełna pięciu lat wywołały lawinę plotek, które z czasem nabiorą nader osobliwego, mrocznego charakteru. W końcu jednak zatrudniła nowych służących spoza miasta, Ann White, smętną kobietę z tej części North Kingstown, która teraz stanowi odrębne miasto Exeter, i bystrego mężczyznę z Bostonu nazwiskiem Zenas Low.

To Ann White pierwsza skonkretyzowała posępne, przerażające plotki. Mercy nie powinna była wynajmować do służby nikogo z okręgu Szubienicznego Wzgórza, rejon ten bowiem był i pozostaje do dziś siedzibą najbardziej niewyobrażalnych, mrozących krew w żyłach przesądów i zabobonów.

Jeszcze niedawno, bo w roku 1892, ludzie z Exeter odkopali zwłoki i ceremonialnie spalili serce trupa, aby zapobiec kolejnym nawiedzeniom, które mogły okazać się szkodliwe dla ludzkiego zdrowia i ogólnego spokoju wspólnoty. Można się tylko domyślać, że ich punkt widzenia nie zmienił się zbyt wiele od połowy osiemnastego wieku. Ann nie umiała trzymać języka za zębami, toteż po kilku miesiącach Mercy zwolniła ją, na jej miejsce zaś zatrudniła wierną i przyjacielską amazonkę z Newport - Marię Robbins.

Tymczasem nieszczęsna Rhoby Harris, trawiona obłędem, jęła opowiadać w głos o swych koszmarach i niepojętych, a przeraźliwych imaginacjach.

Wreszcie wrzaski jej stały się nie do zniesienia, zmieniły się w długotrwałe tyrady okropieństw i plugawych wymysłów, co sprawiło, że jej syn zmuszony był zamieszkać tymczasowo u swego kuzyna, Pelega Harrisa, w nowym gmachu college'u przy Presbyterian Lane. Po tych wizytach zdrowie chłopca nieco się poprawiło, a Mercy, mając na uwadze jego dobro, pozwoliła mu zamieszkać u Pelega na stałe.

W tym też okresie napady szaleństwa u pani Harris przybrały jeszcze na sile, treść zaś jej wrzasków pozostaje niejasna, a raczej do tego stopnia niesamowita, że nie sposób traktować jej inaczej aniżeli jako stek bzdur zrodzonych w umyśle szaleńca. Niewątpliwie brzmi absurdalnie, gdy mówi się, że kobieta znająca tylko pobieżnie francuski całymi godzinami wywrzaskiwała ochryple zdania w slangowej odmianie tego języka lub że osoba ta, samotna i strzeżona, skarżyła się zawzięcie, jakoby jakaś łypiąca dziko istota kąsała ją i wyżerała kawałki ciała. W 1772 roku zmarł służący Zenas, a kiedy dowiedziała się o tym pani Harris, zaczęła zaśmiewać się ze zgoła nietypowym dla niej zadowoleniem. W roku następnym ona również opuściła ten padół i została złożona na Cmentarzu Pomocnym obok swego męża.

Gdy w 1775 roku wybuchł konflikt z Wielką Brytanią, William Harris pomimo swych szesnastu lat i słabego zdrowia zaciągnął się do Regimentu Zwiadowczego pod dowództwem pułkownika Greene' a. Od tej pory jego zdrowie regularnie się poprawiało, zyskiwał też na prestiżu. W 1780 roku jako kapitan sił Rhode Island w New Jersey pod pułkownikiem Angellem, napotkał i poślubił Phebe Hetfield z Elizabethtown, którą przywiózł do Providence, opuściwszy z honorami szeregi armii.

Powrót młodego żołnierza nie był tak wspaniały, jak można by oczekiwać. Dom co prawda był wciąż w dobrym stanie, ulicę poszerzono i przemianowano z Back Street na Benefit Street. Mercy Dexter jednak, ongiś postawna i silna, podupała na zdrowiu, wydawała się wycieńczona i słaba, chodziła zgięta patetycznie wpool, cerę miała niezdrową i ziemistą, głos pusty i wyjątkowo cichy, jak szept z za grobu. Cechy te przejęła również jedyna pozostała w domu służąca, Maria. Jesienią 1782 roku Phebe Harris urodziła martwą córeczkę, a piętnastego maja następnego roku Mercy Dexter, dzielna do końca, pożegnała się z życiem.

William Harris, przekonany ostatecznie o wyjątkowo niezdrowej naturze swego mieszkania, podjął niezbędne kroki, by opuścić i na zawsze porzucić dom. Zamieszkali tymczasem z żoną w nowo otwartym Golden Bali Inn, po pewnym czasie zaś William wzniósł nowy, wspaniały dom przy Westminster Street, w rozbudowywanej części miasta, po drugiej stronie Wielkiego Mostu.

Tam, w 1785 roku, przyszedł na świat jego syn, Dutee, i tam w spokoju i dobrobycie mieszkała cała rodzina, póki z uwagi na gwałtowną ekspansję sklepów nie zostali zmuszeni przenieść się z powrotem za rzekę i na drugą stronę wzgórza, na Angell Street, do nowej dzielnicy willowej East Side, gdzie śp. Archer Harris zbudował w 1876 roku okazałą, lecz szpetną rezydencję z francuskim dachem. Oboje, William i Phebe, padli ofiarą

epidemii żółtej febry w 1797 roku, ale Dutee'a wziął na wychowanie kuzyn, Rathbone Harris, syn Pelega.

Rathbone był praktycznym mężczyzną i wynajął dom przy Benefit Street, wbrew żądaniom Williama, by pozostał on nie zamieszkanym. Czuł się zobowiązany zapewnić jak najlepszą przyszłość chłopcu i ani trochę nie przejmował się zgonami czy chorobami, które wyniszczały jego mieszkańców, jak również narastającą coraz bardziej niechęcią, jaką darzono ów budynek. Z irytacją przyjął więc decyzję rady miejskiej, która w 1804 roku nakazała mu odkażenie domu siarką, smołą i kamforą, w związku z mocno dyskutowanymi zgonami czterech osób, spowodowanymi przypuszczalnie przez dobiegającą kresu epidemię żółtej febry. Powszechnie powiadano, że cały dom przesiąknięty był niezdrową, chorobliwą wonią.

Co się tyczy Duteego, nie myślał on wiele o domu, gdyż kiedy dorósł, zaciągnął się na okręt kaperski i służył z honorem na „Vigilancie” pod dowództwem komandora Cahoone'a w wojnie 1812 roku. Wrócił z wojny cały i zdrowy, w 1814 roku ożenił się i został ojcem owej pamiętnej nocy dwudziestego trzeciego września 1814, kiedy wielka fala sztormowa zalała połowę miasta i zniosła potężny siup aż na Westminster Street, tak daleko, że maszty okrętu prawie dotykały okien domu Harrisów, jakby potwierdzając w ten sposób, że nowo narodzony chłopiec, Welcome, był synem marynarza.

Welcome nie przeżył swego ojca, lecz zginął chwalebnie pod Fredericksburgiem w 1862 roku. Ani on, ani jego syn, Archer, nie znali prawdy o przeklętym domu. Wiedział tylko, że prawie nie sposób go wynająć - być może z uwagi na zagrzybienie i chorobliwy, mdlący odór powstały zapewne wskutek wilgoci i starości budowli. W rzeczy samej, dom nie został podnajęty po serii tragicznych zgonów, których kulminacja przypadła na rok 1861, a które z uwagi na wydarzenia wojenne poszły

niemal natychmiast w zapomnienie. Carrington Harris, ostatni męski potomek rodu wiedział tylko, że dom był opuszczony i stanowił przedmiot licznych związanych z nim legend i zabobonów, póki nie opowiedziałem mu o swoim przeżyciu.

Zamierza] zburzyć budynek i wznieść na tym miejscu czynszówkę, lecz za moją radą postanowił go zachować, skanalizować i wynająć. Nie miał większych problemów ze znalezieniem chętnych. Groza odeszła.

### III

Nietrudno sobie wyobrazić, jak silny wpływ wywarły na mnie kroniki Harrisów. W kronikach tych zdawało się tkwić przyczajone zło, wykraczające swym ogromem ponad wszystko, co dotąd znałem; zło wyraźnie związane z domem, nie z rodziną. Wrażenie to potwierdziły dość chaotyczne w zapisie notatki mego stryja, zapiski zasłyszanych historii i plotek krążących wśród służby, kopie aktów zgonu wystawionych przez jego kolegów, lekarzy, wycinki prasowe itp. Nie jestem w stanie wymienić tu ogromu tych materiałów, gdyż stryj mój był niez mordowanym antykwariuszem, a przeklęty dom szczególnie go interesował. Mogę jednak nadmienić o kilku nader interesujących sprawach, na które zwróciłem uwagę, gdyż wzmianki o nich pochodziły z kilku różnych źródeł. Na przykład, plotki służby były niemal jednakowe, jeżeli chodziło o zagrzybioną i cuchnącą, nieprzyjemną piwnicę - jednocześnie uznano to właśnie pomieszczenie za emanujące najsilniej i do cna przesiąknięte złą aurą. Niektóre służące, na przykład Ann White, w ogóle nie korzystały z piwnicznej kuchni, a co najmniej trzy dobrze udokumentowane historie mówiły o dziwnych, quasi-ludzkich lub wręcz diabolicznych kształtach

przyjmowanych przez korzenie drzew lub splechcie pleśni w tym mrocznym miejscu. Te właśnie opowieści zainteresowały mnie szczególnie z uwagi na to, co miałem okazję ujrzeć w dzieciństwie, czułem wszelako, że w każdej z tych relacji zbyt wiele było przekłamań i naleciałości miejscowych wierzeń oraz opowieści o duchach.

Ann White, dorastająca w Exeter, w atmosferze tamtejszych przesądów i zabobonów wysnuła najbardziej niesamowitą, lecz i najbardziej spójną zarazem opowieść - jakoby pod domem spoczywał pogrzebany jeden z wampirów nieumarłych, które zachowują ludzką postać i żywią się krwią lub tchnieniem żyjących, a których plugawe legiony wysyłają nocami na żer swe cienie lub cielesne powłoki. Aby unicestwić wampira, jak mówiły stare babiny, należy go ekshumować i spalić jego serce lub przynajmniej przebić je drewnianym kołkiem. Do zwolnienia Ann w znacznej mierze przyczynił się fakt, że uparcie nalegała ona na przekopanie gruntu pod piwnicą.

Jej historie zyskały sobie spory rozgłos i przyjmowano je tym łacniej, że dom istotnie stał na terenie, gdzie ongiś grzebano zmarłych.

Dla mnie ich zainteresowanie mniej łączyło się z tą okolicznością, bardziej natomiast ze swobodą, z jaką przyjęto kilka innych związanych ze sprawą szczegółów - skargę zwolnionego Preserveda Smitha, który służył w domu przed Ann i nigdy o niej nie słyszał, który twierdził, jakoby nocą „coś wysysało mu dech”; akty zgonu ofiar żółtej febry w 1804 roku wystawione przez doktora Chada Hopkinsa, stwierdzające, że u czterech zmarłych osób wystąpił znaczny niedobór krwi; a także mgliste wzmianki o szalonych majaczeniach nieszczęsnej Rhoby Harris wspominającej o ostrych zębach szkliskooskiej, na wpeł widocznej zjawy.

Choć wolny jestem od przesądów i zabobonów, niniejsze szczegóły całej sprawy wzbudziły moje zainteresowanie, podsycane jeszcze kilkoma wycinkami z gazet, opisującymi przypadki zgonów w przeklętym domu -

jeden z „Providence Gazette and Country Journal” z dwunastego kwietnia 1815 roku, drugi natomiast z „Daily Transcript and Chronicle” z dwudziestego siódmego sierpnia 1845 roku, opisujące nader szczegółowo upiorne wypadki, do tego stopnia, że nie sposób było nie zauważyć ich przerażającej zbieżności. Wydaje się, że w obu przypadkach umierająca osoba - w 1815 roku spokojna leciwa dama nazwiskiem Strafford, a w 1845 nauczyciel w średnim wieku, niejaki Eleazar Durfee, ulegli przeraźliwej przemianie. Ich oczy stały się szkliste i oboje starali się ukąsić w szyję zajmującego się nimi lekarza. Jeszcze bardziej zdumiewający był ostatni przypadek, po którym przestano wynajmować ów dom - była to cała seria śmierci wywołanych przez anemię, poprzedzonych postępującym obłędem i atakami, podczas których pacjent próbował pozbawić życia swoich krewnych poprzez rozplatanie im żył na nadgarstkach lub tętnic szyjnych.

Było to w roku 1860 i 1861, kiedy mój stryj rozpoczął właśnie praktykę lekarską i przed wyruszeniem na front sporo usłyszał o tych wydarzeniach od swoich starszych kolegów po fachu. Naprawdę nie wyjaśnione w tej sprawie było to, że ofiary, ludzie prości - gdyż domu uznawanego powszechnie za przeklęty bądź wymarły i przesyconego osobliwym odorem, nie sposób było wynająć nikomu innemu - mamrotały złowieszcze słowa we francuskim slangu, języku i dialekcie, którego nie mieli prawa znać ze względu na brak wykształcenia. Przywodziło to na myśl nieszczęsną Rhoby Harris sprzed blisko stu lat i to poruszyło mego stryja do tego stopnia, że po powrocie z wojny zaczął zbierać dane historyczne dotyczące feralnego domu i nie omieszkał również zasięgnąć informacji u doktora Chase'a i Whitmarsha.

Było dla mnie oczywiste, że mój stryj mocno zafascynował się tą sprawą i ucieszył się, gdy i mnie ona zaciekała, skutkiem czego mógł rozmawiać ze mną o rzeczach, które inni skwitowaliby jedynie drwiącym śmiechem. Nie posunął się w supozycjach tak daleko jak ja, niemniej czuł, że dom ten

stanowił ewenement dla ludzi obdarzonych wyobraźnią, zawierał w sobie pod tym względem ogromny potencjał i wart był odnotowania jako inspiracja w sferze grozy, niesamowitości i makabry.

Ze swej strony zamierzałem przyjrzeć się tej sprawie z absolutną powagą i zacząłem nie tylko przeglądać dowody, lecz również je gromadzić, na tyle, na ile byłem w stanie. Rozmawiałem wielokrotnie z mocno już posuniętym w latach Archerem Harrisem, podówczas właścicielem domu, zanim zmarł w 1916 roku, i uzyskałem od niego i jego niezamężnej siostry Alice potwierdzenie autentyczności wszelkich danych zebranych przez mego stryja.

Kiedy jednak zapytałem ich o ewentualny związek z Francją czy językiem francuskim, wyznali, że nie mają pojęcia, o co może chodzić, i byli równie jak ja zbici z tropu. Archer był w kropce, a panna Harris powiedziała, że przypomina sobie pewne mgliste aluzje dotyczące jej dziadka, Dutee Harrisa, i być może one rzuciłyby jakieś światło na tę sprawę. Stary wilk morski, który przeżył o dwa lata swego syna, sam nie znał tej legendy. Przypomniał sobie jednak, że jego dawna pielęgniarka, niejaka Maria Robbins, znała jakąś mroczną prawdę mogącą przydać znaczenia francuskim majaczeniom Rhoby Harris, słyszonym tak często, zwłaszcza w ostatnim okresie życia nieszczęsnej kobiety. Maria przebywała w przeklętym domu od 1769 roku do wyprowadzki rodziny w 1783 i była obecna przy śmierci Mercy Dexter.

Któregoś razu wspominała małemu Dutee o pewnych niezwykłych rzekomo zdarzeniach, jakie zaszły podczas śmierci Mercy, lecz on wkrótce o tym zapomniał i jedyne, co utkwilo mu w pamięci, to wzmiankowana już wcześniej osobliwość. Jego prawnuczka nawet to wspominała z olbrzymim trudem. Ani ona, ani jej brat nie interesowali się zbyt domem, podobnie jak syn Archera, Carrington, jego obecny właściciel, z którym odbyłem rozmowę po zdarzeniu, w którym uczestniczyłem.



Zebrawszy od rodziny Harrisów wszelkie możliwe informacje, jakie mogłem uzyskać, skoncentrowałem uwagę na wczesnych kronikach miejskich i zapiskach o zdarzeniach, jakie w nim zachodziły, pochłaniając je z zapalem większym, niż wykazywał przy tej samej czynności mój stryj. Pragnąłem poznać zborną i logiczną historię całego tego miejsca, poczynawszy od pojawienia się tu pierwszych osadników, w roku 1636, a nawet wcześniej, jeżeli tylko uzyskałbym możliwość uzupełnienia informacji o legendy żyjących wcześniej na tych terenach Indian Narragansett. Dowiedziałem się, że długi pas tutejszych ziem należał początkowo do Johna Throckmorton.

Jedno z takich pasm zaczynało się przy Town Street, przy rzece, ciągnąc się poprzez wzgórze mniej więcej równoległe do istniejącej obecnie Hope Street.

Ziemie Throckmortonów zostały później rozdzielone, ja natomiast skupiłem swą uwagę na tym odcinku, gdzie później znajdowała się Back, a następnie Benefit Street. Zgodnie z tym, co mówiły plotki, rzeczywiście znajdował się tam cmentarz Throckmortonów. Gdy jednak baczniej przejrzałem kroniki, okazało się, że ciała zostały później ekshumowane i przeniesione na Cmentarz Północny przy Pawtucket West Road.

Nagle, zupełnie przypadkiem, gdyż informacja ta nie znajdowała się w oficjalnych kronikach i z łatwością mogłem ją przeoczyć, natknąłem się na coś, co obudziło we mnie szczególną ciekawość, pobudziło do działania i co więcej, pasowało do kilku wyjątkowo niezwykłych aspektów tej sprawy. Był to akt dzierżawy z 1697 roku niewielkiego odcinka gruntu niejakiemu Etienne Roulet z żoną. Wreszcie pojawił się w tej aferze akcent francuski oraz kolejny, znacznie bardziej dojmujący element grozy, który ożywił brzmienie tego nazwiska, przywołując jego wspomnienie z mrocznej otchłani przeczytanych ongi zakazanych i mrozących krew w żyłach lektur, przeto z nowym zapalem zacząłem badać dane o lokalizacji wymarłego

domu i miejsc, gdzie go wzniesiono. Sprawdziłem wszystkie dostępne kroniki mówiące o układzie tamtego terenu przed jego podziałem i częściowym wypoziomowaniem Back Street pomiędzy 1747 a 1758 rokiem.

Dowiedziałem się tego, czego w głębi duszy się spodziewałem, że w miejscu, gdzie stał teraz przeklęty dom, Rouletowie założyli swój własny cmentarz, na tyłach niewielkiego parterowego domku z poddaszem, i nigdzie nie natknąłem się na wzmiankę o przenosinach spoczywających tam zwłok.

Dokument, nawiasem mówiąc, kończył się dość chaotycznie i zmuszony byłem przetrząsnąć archiwa Towarzystwa Historycznego Rhode Island i biblioteki Shepleya, zanim natknąłem się na jakąkolwiek wzmiankę otwierającą drzwi oznaczone nazwiskiem Etienne Roulet. Wreszcie coś znalazłem; coś nader mglistego i niejasnego, lecz o tak ogromnym, choć przerażającym znaczeniu, że natychmiast postanowiłem zbadać piwnicę wymarłego domu. Rouletowie, jak się zdawało, przybyli w tę okolicę z East Greenwich w roku 1696. Byli hugenotami z Caude i napotkali wyjątkowo silny sprzeciw ze strony notabli z Providence, nim pozwolono im osiedlić się w mieście. W East Greenwich, dokąd przybyli w 1686 roku, po zniesieniu edyktu nantejskiego, nie cieszyli się zbyt dużą popularnością i jak głosiły plotki, niechęć ta wykraczała poza zwyczajowe rasowe i narodowościowe uprzedzenia czy nawet spory o ziemię, tak częste pomiędzy francuskimi i angielskimi osadnikami, że nie był w stanie ukrócić ich nawet gubernator Andros. Jednak ich żarliwy protestantyzm - niektórzy powiadali, że zbyt żarliwy - oraz wyraźny niepokój, gdy przegnano ich z wioski, zapewniły im ostatecznie bezpieczną przystań. Etienne Roulet bowiem, niezbyt zdolny w uprawie roli, natomiast uczony w mowie, piśmie i kreśleniu osobliwych diagramów według wzorów z tajemniczych ksiąg, otrzymał posesję duchownego na placówce przy przystani Pardona

Tillinghasta, na południowym krańcu Town Street. Jednak jakieś czterdzieści lat później wybuchły tam bliżej nieokreślone zamieszki. Rozpoczęły się one po śmierci starego Rouleta, potem zaś nikt już więcej nie słyszał o tej rodzinie.

Wydaje się, że przez ponad sto lat wspomniano Rouletów i często o nich mówiono jako o rodzinie, która wniosła pewne ożywienie do sennego portowego miasteczka. Syn Etienne'a, Paul, posępny, zgryźliwy mężczyzna, którego dziwaczne prowadzenie się wywołało zapewne zamieszki, w rezultacie których doszło do unicestwieni a całej rodziny, stanowił szczególny obiekt najprzeróżniejszych spekulacji, i choć w Providence nie dochodziło do przypadków paniki i lęku przed czarami, jak to działo się w pobliskich purytańskich osadach, stare babiny otwarcie mówiły, że nigdy nie odmawiał on modłów, kiedy należało, ani też nie zanosił ich do konkretnej osoby. Bez wątpienia te właśnie plotki stały się podstawą legendy, którą znała stara Maria Robbins. Jaki związek z nią miały obłąkańcze bredzenia posługującej się francuskim slangiem Rhoby Harris i innych mieszkańców przeklętego domu, określić mogły jedynie przypuszczenia lub przyszłe odkrycia.

Zastanawiałem się, jak wielu z tych, którzy znali legendy, uświadamiało sobie istnienie dodatkowego ogniwa, które napotkałem, ślęcząc nad starymi annałami pewnego wyjątkowo odrażającego fragmentu opowiadającego o potwornej kreaturze znanej jako Jacques Roulet z Caude, który w 1598 roku został za czary skazany na śmierć. Później wszelako parlament paryski ocalił go przed stosem i wtrącił do zakładu dla obłąkanych. Znalaziono go w lesie zbryzganego krwią i oblepionego strzępami tkanek, wkrótce po tym, jak dwa wilki zabiły i rozdarły na kawałki małego chłopca. Widziano, jak jeden z wilków pierzchnął bez szwanku. Historia ta bez wątpienia nadaje się do opowiadania przy kominku, a jest tym ciekawsza, że występuje zbieżność nazwisk i miejsca. Uznałem wszelako, że plotkarze z Providence

nie mogli o niej wiedzieć. Gdyby tak było, wspomniana zbieżność zaowocowałyby bardziej drastycznymi i okrutnymi czynami. Czyż jednak było możliwe, że to właśnie tego rodzaju plotki doprowadziły do wybuchu zamieszek i ostatecznie do wygnania Rouletów z miasta?

Teraz coraz częściej odwiedzałem przeklęty-dom, badałem niezdrową roślinność pniącą się w ogrodzie i studiowałem uważnie każdy cal piwnicznego klepiska. Wreszcie, za pozwoleniem Carringtona Harrisa, dorobiłem klucz do nie używanych z dawien dawna drzwi wiodących z piwnicy wprost na Benefit Street, wolałem bowiem mieć możliwość szybszego wydostania się na ulicę, niżli piąć się po mrocznych schodach i przez hol na piętrze dochodzić do frontowych drzwi. Miejsca, gdzie moim zdaniem zła aura była najsilniejsza, badałem wnikliwie całymi popołudniami, póki promienie słońca przezierały przez zasnuty pajęczyną świetlik nad piwnicznymi drzwiami, dzięki którym tylko kilka stóp dzieliło mnie od zatłoczonego zwykle chodnika na zewnątrz.

Moje wysiłki nie zaowocowały odkryciami, natknąłem się jedynie na pleśń, która trawiła badane przeze mnie pomieszczenie, nieprzyjemny odór, aczkolwiek niezbyt silny, i widniejące na podłodze mgliste, niepokojące zarysy. Podejrzewam, że wielu przechodniów, którzy widzieli mnie przez powybijane szyby, musiało ze zdziwieniem obserwować me poczynania.

Wreszcie, za namową stryja, postanowiłem zbadać to miejsce po zmierzchu i pewnej burzliwej nocy omiotłem promieniem mej latarki zawilgłą podłogę pokrytą dziwacznymi kształtami i poskręcanyimi, lekko fosforyzującymi spleśniami. Miejsce to natchnęło mnie owego wieczoru nieokreśloną bliżej trwogą i niemal nie zdziwiło mnie, gdy ujrzałem, lub wydało mi się, że ujrzałem, wśród białego nalotu wyjątkowo wyraźnie zmaterializowaną „skurczoną postać” zapamiętaną jeszcze z dzieciństwa.

Jej przejrzystość i wyrazistość nie miały sobie równych i były doprawdy zdumiewające, a gdy tak na nią patrzyłem, odniosłem wrażenie, że dostrzegam cienkie, żółtawe, falujące pasemka niby dymu, które wzbudziły we mnie trwogę tamtego deszczowego popołudnia, wiele lat temu.

Wznosiła się ponad antropomorficzną plamą pleśni przy kominku, delikatne, niezdrowe nieomal opary, które unosząc się drżąco nad wilgotnym spłachciem ziemi, zdawały się przybierać mglisty i bulwersujący w swej sugestii kształt, stopniowo jednak rozplływały się w coraz rzadsze pasma, by, zniknąwszy w czeluści wielkiego komina, pozostawić po sobie tylko odrażający fetor. Było to zaiste przerażające, zwłaszcza dla mnie, gdyż dysponowałem szczegółowymi informacjami dotyczącymi tego miejsca.

Odwracając się, by czym prędzej pierzchnąć z tego przeklętego miejsca, czułem, że z kolei to coś zaczęło obserwować mnie chciwie niewidzialnymi, lecz wyczuwalnymi oczyma. Kiedy opowiedziałem o tym stryjkowi, bardzo go moja historia poruszyła i po pełnej napięcia godzinie namysłu podjęliśmy ostateczną i drastyczną decyzję. Mając na uwadze ważkość sprawy i znaczenia naszego z nią związku, zaproponował, byśmy we dwóch zbadali i - jeżeli to możliwe - unicestwili czającą się w wymarłym domu grozę, podczas trwającego jedną lub więcej nocy czuwania wewnątrz owej mrocznej, cuchnącej stęchlizną i grzybem piwniczki.

## IV

W środę, dwudziestego piątego czerwca 1919 roku, po uprzednim powiadomieniu Carringtona Harrisa, lecz bez wyjaśnienia prawdziwego

celu naszej wyprawy, mój stryj i ja przenieśliśmy do wymarłego domu dwa składane krzesła oraz łóżko polowe i pewne ciężkie, nader złożone naukowe urządzenie mechaniczne. Za dnia znieśliśmy to wszystko do piwnicy, zakleiliśmy okna gazetami i oczekiwaliśmy nadejścia zmierzchu, kiedy to miało rozpocząć się nasze czuwanie. Zamknęliśmy drzwi wiodące być ona z natury wroga lub kierować się zwyczajnym instynktem samozachowawczym.

Tak czy inaczej, monsuum owo musi zostać z konieczności uznane za anomalię, intruza, którego kompletne unicestwienie powinno zostać uznane za pierwszorzędny obowiązek każdego człowieka, dbającego o dobro i rozwój całego świata.

Najgorsze było, że nie wiedzieliśmy, ba, nie wyobrażaliśmy sobie nawet potencjalnego spotkania z tą istotą. Nikt przy zdrowych zmysłach dotąd jej nie widział i mało kto uświadamiał sobie w ogóle jej obecność. Mogła to być forma czystej energii, eteryczna, przeto pozostająca poza granicami świata materialnego, lub fizyczna jedynie po części, ot, jakaś nieznana i podejrzanej natury plastyczna masa, zdolna zmieniać się wedle woli z formy materialnej w gazową, płynną lub rozproszoną tak, że całkiem niewidzialną.

Antropomorficzny kształt plamy pleśni na klepisku, żółtawe pasemka dymu i zakrzywione formy korzeni drzewa, o których mówiły pewne ludowe przekazy, zdawały się sugerować przynajmniej po części - zdawkowo wręcz - materializację sylwetki ludzkiej, lecz w jakim stopniu był on domeną owej istoty i czy kształt ten potrafiła przyjmować na dłużej, żaden z nas nie potrafił odpowiedzieć. Dysponowaliśmy dwoma rodzajami broni, by stawić jej czoło - ogromnym, zmodyfikowanym egzemplarzem cylindra Crookesa zasilanym z przenośnych akumulatorów i zaopatrzonym w specjalne ekrany oraz reflektory, na wypadek gdyby istota okazała się bezcielesna i eteryczna, a tym samym do unicestwienia jej

potrzebowalibyśmy silnego strumienia radiacji, jak również dwa wojskowe miotacze ognia, z rodzaju tych, które używane były podczas wojny światowej, w razie gdyby przyszło nam zmierzyć się z czymś choćby na poły materialnym i podatnym na zranienie konwencjonalnymi metodami. Jak wieśniacy z Exeter, gotowi byliśmy spalić na popiół serce owego stworzenia, gdyby takowe posiadało. Sprzęt bojowy rozstawiliśmy w piwnicy w ściśle określonych miejscach, podobnie jak wcześniej krzesła i łóżko, a dokładniej mówiąc, na wprost kominka, gdzie na klepisku widać było osobliwego kształtu plamę pleśni. Ów sugestywny spłachetek zgnilizny i zepsucia był, nawiasem mówiąc, słabo widoczny, kiedy rozstawialiśmy nasze meble i instrumenty, a kiedy tego wieczoru wróciliśmy, by podjąć czuwanie, przez krótką chwilę zwątpiłem w to, co wydawało mi się, że kiedyś ujrzałem, i wówczas powróciłem myślami do starych podań.

Czuwanie nasze rozpoczęliśmy o dziesiątej wieczorem i początkowo nie przyniosło spodziewanych efektów. Słabe, rozrzedzone światło płynące z sieczonych strugami deszczu latarni ulicznych na zewnątrz i blada fosforescencja odrażającej pleśni wewnątrz ukazywały ociekające gołe kamienne ściany, pozbawione najmniejszych nawet resztek wapna; wilgotne, cuchnące, skalane pleśnią klepisko z obscenicznie pieniającym się po nim grzybem; przegniłe szczątki czegoś, co było stołkami, krzesłami, stołami i niemożliwymi dziś do rozpoznania meblami; ciężkie deski i masywne belki stropowe, stare drzwi prowadzące do spiżarni i pomieszczenia pod innymi częściami domu; zmurszałe, kamienne schody ze zniszczoną drewnianą balustradą oraz toporny, ogromny kominek z poczerniałej cegły, gdzie przerdzewiałe żelazne elementy stanowiły smętne pamiątki po wspaniałych ongiś hakach, wilkach, szpikulcach różna, szczypcach i drzwiczkach holenderskiego pieca. Wszystko to dostrzec

można było w słabej poświacie, jak również nasze sprzęty, połowe łożko, składane krzesła i ciężką broń do walki z nieznanym.

Tak jak podczas swych poprzednich wizyt w tym domu, pozostawiliśmy drzwi prowadzące na ulicę nie zamknięte, by w razie manifestacji mocy, z którą nie moglibyśmy sobie poradzić, mieć w każdej chwili szansę ucieczki.

Byliśmy przekonani, że nasza obecność w domu wywabi złowrogą istotę, która się w nim gnieździła, a przy gotowaniu na spotkanie z nią, powinniśmy ją w ten lub inny sposób unicestwić, po uprzednim rozpoznaniu i przeprowadzeniu niezbędnych obserwacji. Nie mieliśmy pojęcia, jak dużo czasu może nam zająć przywołanie, zbadanie, a następnie likwidacja tej istoty. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza misja jest ogromnie niebezpieczna, nie sposób było bowiem stwierdzić, jaką mocą dysponować miała istota pojawiająca się przed nami. Uznaliśmy wszelako, że gra warta jest świeczki, i bez wahania tylko we dwóch podjęliśmy się tego zadania. Mieliśmy świadomość, iż szukając pomocy z zewnątrz, narazilibyśmy się jedynie na drwiny i szyderstwa, a może nawet na obrócenie wniwecz całego przedsięwzięcia. Rozmawialiśmy również na ten temat do późnych godzin nocnych, aż mój stryj, poczuwszy nieodpartą senność, za mą namową ułożył się na połówce, by pograć się w dwugodzinnej drzemce.

Osobliwy lęk zmroził mnie do szpiku kości, gdy tak czuwałem samotnie w środku nocy, sam, powiadam, gdyż ten, kto siedzi obok śpiącego, nie odczuwa wcale jego obecności, a może raczej silniej odbiera wówczas swoją własną. Stryj mój oddychał ciężko, odgłos jego wdechów i wydechów zlewał się z szumem deszczu na zewnątrz i drażniącym kapaniem wody w piwniczce, w domu tym bowiem, nawet gdy było gorąco i sucho, panowała wilgoć jak na bagnach. Przyjrzałem się bacznie obluzowanym starym kamieniom w ścianach, którym szczególnego charakteru dodawały fosforescencja pleśni i słabe światło, z trudem



przenikające z ulicy przez zaklejone gazetami okna. W pewnej chwili, gdy duszna atmosfera przytłoczyła mnie szczególnie mocno, otworzyłem drzwi i powiodłem wzrokiem wzdłuż ulicy w jedną i drugą stronę, napawając oczy znajomym widokiem, a nozdrza wypełniając rześkim, chłodnym powietrzem. Nadal nie wydarzyło się nic, co mogłoby wynagrodzić mi czas spędzony na czuwaniu, raz po raz zacząłem ziewać, zmęczenie bowiem z wolna pokonywało tkwiące we mnie lęki.

I wtem uwagę moją zwrócił stryj, który zaczął przewracać się przez sen. Poruszył się niespokojnie na łóżku kilka razy w ciągu ostatniej pół godziny, teraz wszelako oddech jego stał się dziwnie nieregularny, a od czasu do czasu z jego piersi dobywał się jakby zduszony, piskliwy jęk. Oświetliłem go promieniem elektrycznej latarki, lecz był odwrócony do ściany, przeto podszedłem do niego i ponownie zaświeciłem latarką, by sprawdzić, czy nic mu nie jest. To, co ujrzałem, mocno mną wstrząsnęło, co jest o tyle dziwne, że całe zdarzenie wydawało się raczej trywialne. Niewątpliwie na stan mój wpłynął fakt, iż znajdowaliśmy się w miejscu uznawanym za nawiedzone i byliśmy w trakcie wypełniania misji, której powodzenie uważaliśmy za rzecz najważniejszą, gdyż to, co się stało, nie było samo w sobie przerażające ani nadnaturalne. Na twarzy mego stryja widniał przedziwny grymas, wywołany bez wątpienia jakimś koszmarnym snem, grymas niezwyklego ożywienia, nadający mu niesamowity wygląd - przez chwilę nie wydawał się sobą.

Zazwyczaj był to człowiek spokojny, zrównowagony i łagodnej natury, teraz natomiast ścierały się w nim sprzeczne emocje. Wydaje mi się, że to ich mnogość była powodem mego zaniepokojenia. Mój stryj, który chwytając łapczywie dech i miotając się na łóżku, miał teraz otwarte oczy, zdawał się niejednym, lecz wieloma ludźmi, od których jego jaźń w jakiś niezwykle sposób zdołała się oddzielić.

Nagle zaczął mrużyć pod nosem, a wygląd jego zębów i ust, gdy to uczynił, zupełnie mi się nie spodobał. Słowa były z początku niezrozumiałe i nagle - jakbym doznał olśnienia - rozpoznałem je na tyle, że poczułem na plecach lodowate ciarki, a potem przypomniałem sobie rozliczne badania stryja i jego przekłady z artykułów dotyczących antropologii i starożytności w „Revue des Deux Mondes”. Sędziwy Elihu Whipple mamrotał bowiem po francusku i kilka zrozumiałych dla mnie słów zdawało się dotyczyć najmroczniejszych mitów, jakie staruszek przełożył na angielski ze słynnego paryskiego czasopisma.

Wtem na czole śpiącego zaperlił się pot i mężczyzna, na wpełn przebudzony, poderwał się z łóżka. Przeszedł wpełn słowa na angielski i pełnym podniecenia ochrypłym głosem zakrzyknął: - Oddech! Mój oddech! - Z tymi słowy obudził się zupełnie, a rysy jego twarzy powróciły do normy i po chwili stryj, ujawszy mnie za rękę, zaczął relacjonować mi sen, którego znaczenia mogłem z trwogą tylko się domyślać.

Jak wyznał, odpłynął z domeny typowego, pospolitego snu do koszmaru tak osobliwego, z jakim nigdy dotąd się nie zetknął. Był to ten świat i nie ten zarazem, cienisty, geometryczny chaos, w którym można było dostrzec elementy znajomych rzeczy najbardziej zaskakujących i nieprawdopodobnych kombinacjach. Jak przez mgłę widział nakładające się na siebie nawzajem obrazy, w układzie których zasady czasu i przestrzeni rozplływały się i mieszały ze sobą w sposób zdający się przeczyć wszelkiej logice. W tym kalejdoskopowym wirze fantasmagorycznych obrazów pojawiały się co chwila stop-klatki, choć słowo to niedokładnie określało to, co widział wtedy staruszek. Były to wizje niezwyklej przejrzystości, o niezmierzonej wszelako różnorodności.

Stryj mój odniósł w pewnej chwili wrażenie, jakby leżał w głębokiej ziemnej jamie, a z góry gapiły się nań gniewne oblicza ludzi, mężczyzn i kobiet w perukach i trójgraniastych kapeluszach. Innym razem wydawało

mu się, że znajdował się wewnątrz domu, starego domu, lecz szczegóły i jego mieszkańcy stale się zmieniali, do tego stopnia, że nie potrafił rozróżnić twarzy, mebli ani nawet samego pomieszczenia, gdyż drzwi i okna były najwyraźniej w ciągłym ruchu, podobnie jak większość tamtejszych ruchomych przedmiotów. Było to dziwne - diabelnie dziwne - a mój stryj mówił z wielką niepewnością, jakby się lękał, że mu nie uwierzę, gdy oświadczył, że pośród tych dziwnych twarzy wiele nosiło charakterystyczne rysy rodu Harrisów. Przez cały czas odczuwał dziwne, niezrozumiałe duszenie, jakby czyjaś obecność przenikała jego ciało, usiłując wysssać zeń wszystkie siły witalne.

Zadygotałem na myśl o tych siłach witalnych, nadwątłych, bezlitosnym zębem czasu, stawiających opór nieznanym mocom, których mógł lękać się najsprawniejszy i najsilniejszy z młodych organizmów. Jednak już po chwili skonstatowałem, że sny są tylko snami, a te niemiłe ogólnie wizje musiały zostać wywołane podświadomą reakcją mego stryja na nasze śledztwo oraz nadzieje przepełniające w ostatnich dniach umysły nas obu, pomijając wszelkie inne elementy tej sprawy.

Rozmowa niebawem zepchnęła w cień moje obawy i wrażenie obcości. Po pewnym zaś czasie zacząłem ziewać i ułożyłem się na spoczynek. Mój stryj wydawał się bardzo czujny, rozbudzony i z chęcią przejął po mnie wartę, choć koszmar wytrącił go ze snu na długo, nim upłynęły dwie godziny wyznaczone na jego odpoczynek. Sen zmorzył mnie szybko i niemal natychmiast nawiedziły mnie mroczne, bulwersujące koszmary i wizje kosmicznej, niezmierzonej samotności, a także wrażenie wrogości atakujące ze wszystkich stron ściany niby-więzienia, w którym się znalazłem. Zdawało mi się, że jestem związany i zakneblowany, dobiegało mnie płynące z oddali szydercze echo niezliczonych głosów domagających się mojej krwi. Ujrzałem twarz mego stryja w okropniejszej wszelako i bardziej osobliwej scenerii niż na jawie, i przypominam sobie, że nieraz

bezsukutecznie szamotałem się i próbowałem krzyezyć. To nie był przyjemny sen i przez krótką chwilę ucieszyłem się, usłyszawszy przeraźliwy wrzask, który przeniknął przez bariery snu, przywracając mnie skądinąd brutalnie do świata jawy, gdzie wszystko, co znajdowało się przed moimi oczyma, wydało mi się nagle bardziej rzeczywiste i wy-raźniejsze niż kiedykolwiek.

## V

Leżałem odwrócony plecami do krzeselka mego stryja, toteż przebudziwszy się gwałtownie, ujrzałem jedynie drzwi wiodące na ulicę, północne okno i ścianę, sufit oraz podłogę po tej stronie, odzwierciedlone z przeraźliwą wyrazistością w moim mózgu dzięki światłu jaśniejszemu niż fosforescencja pleśni czy poświata bijąca z zewnątrz. Nie było silne, w każdym razie nie na tyle, by można było przy nim czytać książkę. Spowodowało jednak pojawienie się na podłodze cienia łóżka i mnie samego, a jego żółtawa, przenikliwa moc sugerowała coś więcej niż tylko zwykłą luminescencję. To wszystko dostrzegłem z niezdrową wyrazistością, pomimo że dwa z moich zmysłów zostały w brutalny sposób zaatakowane. W uszach bowiem rozbrzmiewało mi wciąż echo tego rozdzierającego krzyku, nozdrza zaś przepełniał odór rozchodzący się po całym pomieszczeniu. Umysł mój, równie czujny jak zmysły, natychmiast oszacował sytuację jako poważną, i niemal automatycznie poderwawszy się z łóżka, odwróciłem się, by sięgnąć po narzędzie zniszczenia, które zostawiliśmy wymierzone w plamę pleśni przed kominkiem. Gdy się obróciłem, to, co ujrzałem, sprawiło, że zastygłem w bezruchu. Wrzask

bowiem pochodził z ust mego stryja, ja natomiast nie wiedziałem, przed jakim zagrożeniem miałem bronić jego i siebie.

Okazało się, że widok był znacznie gorszy, niż się spodziewałem. Istnieją koszmary wychodzące poza wszelkie znane bariery potworności, ta natomiast groza, niepojęta i mroząca krew w żyłach, była jedną z tych, którą kosmos rezerwuje dla garstki nielicznych pechowców-nieszczęśników. Z przezartej grzybem i wilgocią ziemi płynęło widmowe, trupie światło, żółte i niezdrowe, jak ropa z zakażonych tkanek, które falując i kołysząc się, urosło do gigantycznych rozmiarów, przyjmując mglistą postać ni to człowieka, ni to bestii, przez którą mogłem dostrzec znajdujące się dalej komin i ruszt kominka. Miało mnóstwo oczu, wilczych, wygłodniałych i drwiących, a jego toporna, jakby owalna głowa na czubku rozplynęła się w ciekłą smużkę mgiełki, która wirując przez chwilę, jęła rozpraszać się i znikać w czeluściach komina. Powiadam, że widziałem to coś, lecz dopiero otrząsnąwszy się ze zdenerwowania, po dłuższym namyśle, zdołałem przypomnieć sobie jego wygląd. W tamtych chwilach była to dla mnie jedynie wirująca, lekko fosforyzująca chmura grzybiastego plugastwa, spowijająca i rozpuszczająca z niezwykłą wręcz plastycznością jedyny obiekt, na którym skupiłem całą swą uwagę. Obiektem tym był mój stryj, sędziwy Elihu Whipple, którego czerniejące i rozkładające się oblicze łąpało na mnie i szczyrzyło się drwiąco, który wyciągał ku mnie ociekające tkankami zakrzywione w szpony palce, by rozedrzeć mnie na strzępy z nienasyconą wściekłością wywołaną tą zatrważającą grozą.

Tylko rutyna pozwoliła mi ocalić zdrowe zmysły. Byłem dobrze przygotowany na nadejście tej chwili i teraz poddałem się rutynie nabytej wskutek treningu. Ona mnie ocaliła. Stwierdziwszy, że wirujący zły opar był niematerialny, a przeto nie sposób było go zniszczyć tak jak rzeczy fizyczne, nie sięgnąłem po miotacz płomieni po lewej, lecz po cylinder Crookesa, i uruchomiwszy aparat, skierowałem na tę nieśmiertelną,

nienazwaną plugawość moc najsilniejszego promieniowania, jaką człowiek swą wiedzą jest w stanie wyzwolić z przestrzeni i fluidów natury. Pojawiła się błękitnawa mgiełka i rozległo się szaleńcze pyrkota-nie, a potem na moich oczach żółtawa fosforescencja poczęła słabnąć. Zorientowałem się, że jej blaknięcie wywołał jedynie kontrast z niebieskim ogniem i że fale z urządzenia nie wywarły na istocie żadnego skutku.

I nagle w samym środku tego demonicznego widowiska ujrzałem nową grozę, która wydobyła z mych ust krzyk przerażenia i skierowała mnie ślaniającego się na nogach do klamki nie zamkniętych drzwi od ulicy. Nie bacząc na to, jakie koszmary mogę wypuścić na świat ani jakie zdanie będą mieli o mnie ludzie, gdy dowiedzą się, co uczyniłem, pragnąłem jedynie opuścić to przeklęte miejsce. W tym słabym świetle, będącym mieszaniną żółtej i niebieskiej poświaty postać mego stryja rozpułynęła się nagle niczym wosk.

Składu tej substancji jednak nie sposób było nawet pobieżnie określić i nagle na jego roztapiającej się twarzy pojawiły się zmieniające się jak w kalejdoskopie oblicza, których wygląd mógł zrodzić się jedynie w umyśle szaleńca. Był w jednej chwili diabłem i całym legionem szatanów, trupem z kostnicy i całą rzeszą innych nienazwanych istot. Oświetlone mieszaną niepewnych promieni, owo galaretowate oblicze przyjęło dziesięć, dwadzieścia, sto odmiennych kształtów. Uśmiechając się, zaczęło spływać na ziemię gęstymi oleistymi strugami, karykatura podobizny legionów osobliwych i wcale nie tak niezwykłych zarazem.

Ujrzałem rysy twarzy rodu Harrisów, zarówno męskich, jak i żeńskich, dorosłych i dzieci, a także innych, starych i młodych, ostrych i łagodnych, znajomych i nieznajomych. Przez sekundę mignął mi także nieco spaczony wizerunek nieszczęsnej Rhoby Harris, której podobiznę widziałem w School of Design Museum, a innym razem wydawało mi się, że dostrzegam charakterystyczne, z uwagi na kościstą budowę, oblicze Mercy Dexter,

zapamiętane przeze mnie z obrazu w domu Carringtona Harrisa. Było to przerażające doświadczenie, którego nie sposób opowiedzieć aż do samego końca, kiedy ujrzałem osobiście ze sobą złączone wizerunki służącej i niemowlęcia, majaczące tuż nad porośniętym grzybem klepiskiem, gdzie rozlewała się plama zielonkawego tłuszczu. Wydawało się, jakby te zmieniające się kształty walczyły między sobą, usiłując przybrać na powrót łagodne rysy twarzy mojego stryja. Chciałbym myśleć, że jeszcze wtedy istniał i że w ten sposób próbował pożegnać się ze mną. Chyba wykrztusiłem wówczas przez zaciśnięte gardło krótkie pożegnanie i czym prędzej wybiegłem na ulicę. Cienka strużka tłuszczu podążała za mną przez drzwi, aż do skraju zroszonego deszczem chodnika.

Reszta to mroczna, potworna zagadka. Na skąpanej w deszczu ulicy nie było żywego ducha, a na całym świecie nie było nikogo, komu odważyłbym się o tym opowiedzieć. Szedłem przeto bez celu na południe, mijając College Hill i Ateneum, w dół ulicy Hopkinsa, a potem przez most do dzielnicy handlowej, gdzie wysokie budynki zdawały się mnie chronić, tak jak współczesne rzeczy materialne bronią świat przed pradawnymi okropieństwami i osobliwościami.

A potem szary świt nadszedł w strugach deszczu, od wschodu rozjaśniając pradawne wzgórze i sędziwe dachy domów, przywabiając mnie na powrót do miejsca, gdzie pozostawiłem pewną nie dokończoną, a nader ważną sprawę.

Szedłem tak i szedłem, przemoczony, z gołą głową, oszołomiony i zdezorientowany w blasku poranka, po czym przestąpiłem próg tego przeklętego domu przy Benefit Street, tą samą drogą, którą go opuściłem.

Drzwi pozostawiłem otwarte i wciąż były uchylone, ku zdziwieniu przechodniów, z którymi jednak nie odważyłem się podzielić swymi rewelacjami.

Tłuszczu już nie było, gdyż wilgotne i zagrzybione klepisko pozostało porowate, przed kominkiem zaś ani śladu po wielkiej zgiętej w pół osadowej postaci. Spojrzałem na łóżko, na krzesła, instrumenty, porzucony przeze mnie kapelusz i żółty słomiany kapelusz mego stryja. Byłem tak oszołomiony, że z trudem przypominałem sobie, co było snem, a co rzeczywistością. I wtedy wróciła mi świadomość, a wraz z nią poczucie, że doświadczyłem rzeczy dużo straszniejszych niż te, o których śniłem. Usiadłszy, spróbowałem na tyle, na ile to możliwe, z uwagi na swój obecny stan, zweryfikować, co się wydarzyło, i wykoncypować, jak położyć kres temu koszmarowi, jeżeli wydarzył się on naprawdę. Owo coś nie wydawało mi się ani materialne, ani też eteryczne, a co więcej, niepojęte dla umysłu przeciętnego śmiertelnika.

Czymże więc mogło być, jeśli nie jakąś egzotyczną emanacją, diabelską manifestacją, wampirycznym, bezcielesnym upiorem czyhającym, jak powiadają wieśniacy z Exeter, na niektórych starych cmentarzach? Był to, jak mi się zdawało, pewien ślad i ponownie spojrzałem na klepisko przed kominkiem, gdzie pleśń i saletra stworzyły plamę o dziwacznym kształcie. W ciągu dziesięciu minut podjąłem decyzję i zabrawszy kapelusz, udałem się do domu, gdzie wziąłem kąpiel, przekąsiłem co nieco i zamówiłem przez telefon oskard i łopatę, wojskową maskę przeciwigazową oraz sześć butli kwasu siarkowego, z prośbą, by dostarczono je następnego ranka przed drzwi piwniczki wymarłego domu przy Benefit Street. Później próbowałem choć trochę się przespać, bezskutecznie jednak, toteż zająłem się lekturą i układaniem marnych wierszy, co miało choć w pewnym stopniu ukoić me rozkołatanе nerwy.

Następnego dnia o jedenastej zacząłem kopać. Dzień był słoneczny i to poprawiło mi humor. Wciąż byłem sam, gdyż choć trawił mnie lęk przed nieznanym koszmarem, którego poszukiwałem, strach przed podzieleniem się z kimś moją wiedzą okazał się silniejszy. Później opowiedziałem o tym



Harrisowi, lecz tylko z konieczności i dlatego, że Harris słyszał już od starych najróżniejsze, dziwaczne historie, przeto uznałem, iż był skłonny mi Uwierzyć. Gdy zacząłem kopać w cuchnącej czarnej ziemi przed kominkiem, ostrze mego kilofa, trafiwszy w białe pasemka grzyba, rozplatało je, a z rozerwanych strzępków popłynęła lepka, żółtawa posoka. Zadrzałem na nieokreśloną bliżej, mglistą myśl, co mogę wkrótce napotkać. Niektóre sekrety wnętrza ziemi nie są dobre ani zdrowe dla ludzkości, ten natomiast wydawał się jednym z nich.

Ręce dygotały mi jak w febrze, ale nie przerywałem mozolnej pracy i wkrótce stałem już na dnie wykopanego przez siebie wielkiego dołu. W miarę jak pogłębiałem jamę, mającą jakieś sześć stóp kwadratowych, okropny fetor zaczął przybierać na sile, straciłem również wszelką wątpliwość co do nieuchronności zetknięcia z piekielną istotą, której złowrogi wpływ był od półtora wieku śmiertelnym przekleństwem dla wszystkich mieszkańców tego domu. Zastanawiałem się, jak będzie ona wyglądać, jaki będzie jej kształt i forma, a także jak wielka mogła stać się po prawie dwóch wiekach wysysania sił żywotnych z ludzkich ofiar. W końcu wygramoliłem się z jamy i rozrzuciwszy zwały nagromadzonej ziemi, przeniósłem wielkie butle z kwasem na skraj dołu, ustawiając je po dwóch stronach, by w razie konieczności możliwie szybko móc opróżnić ich zawartość do wnętrza dołu.

Od tej pory wyrzucałem ziemię tylko na stronę przeciwną niż ta, gdzie zainstalowałem butle, pracowałem wolniej i z uwagi na coraz silniejszy fetor nałożyłem maskę przeciwgazową. Bliskość tej nienazwanej istoty znajdującej się gdzieś pode mną sprawiła, że nerwy miałem napięte do granic możliwości.

Wtem ostrze mojej łopaty uderzyło w coś bardziej miękkiego niż gleba. Zadrzałem i niewiele brakowało, bym wypełził z jamy, której skraj miałem obecnie na wysokości szyi. Naraz powróciła mi odwaga i w świetle

elektrycznej latarki, którą miałem przy sobie, odgarnąłem ostatnią warstewkę ziemi z tego, na co natrafiłem łopata. Powierzchnia, którą odkryłem, była szklista i jakby rybia, przypominała na wpół przegniłą galarete, zastygłą i miejscami półprzeźroczystą. Odgarnąłem więcej ziemi i oczom moim ukazał się niezwykle kształt. Ujrzałem szczelinę w miejscu, gdzie część substancji nakładała się jedna na drugą. Odsłonięty fragment był ogromny i jakby cylindryczny, przypominał nieco miękka, sinobiałą, złożoną wpół rurę od pieca mierzącą w najszerszej części dwie stopy średnicy. Kopałem dalej i nagle wyskoczyłem z jamy jak oparzony, gorączkowo odkorkowując i przechylając wielkie, ciężkie butle, by opróżnić ich żrącą zawartość na cielsko tej plugawej, niewyobrażalnej wręcz potworności, której tytaniczny łokieć dane mi było zobaczyć.

Oślepiający wir zielonożółtych oparów, jaki buchnął gwałtownie z wnętrza jamy, gdy zalałem ją strugami żrącego kwasu, na zawsze już pozostanie w mej pamięci. Na całym wzgórzu ludzie opowiadają o żółtym dniu, kiedy zjadliwe, przerażające opary buchnęły gęstymi kłębami z odpadów fabrycznych wylewanych do rzeki Providence, lecz ja wiem, że wszyscy ci ludzie mylnie określają pochodzenie owej tajemniczej chmury. Mówią również o przerażającym ryku, który dobył się w tym samym czasie z jakiejś uszkodzonej rury wodociągowej lub płynących pod ziemią przewodów gazowych, i gdybym się odważył, w tym przypadku również mógłbym udowodnić, że byli w błędzie. Było to niewiarygodne, wstrząsające i przerażające - sam nie wiem, jak udało mi się pozostać przy życiu i zdrowych zmysłach. Po opróżnieniu czwartej butli straciłem przytomność, gdyż opary zdołały jakimś cudem przeniknąć w głąb mojej maski, lecz kiedy doszedłem do siebie, stwierdziłem, że z jamy przestał już wydostawać się żółty, cuchnący dym.

Opróżnienie dwóch ostatnich butli nie wywołało żadnych widocznych skutków i po pewnym czasie uznałem, że mogę już zasypać dół.

Skończyłem dobrze po zmierzchu, lecz groza dotąd obecna w tym domu gdzieś przysła.

Wilgoć nie emanowała już tak silnego odoru, a osobliwe grzyby wyschły i rozpadły się w szary, nieszkodliwy, sypki pył, który jak popiół rozsypał się po klepisku. Jeden z najgorszych podziemnych koszmarów tego świata został unicestwiony raz na zawsze, jeśli natomiast istniało piekło, dusza tej bluźnierczej, demonicznej istoty z pewnością musiała trafić do jego najgłębszej, najbardziej odrażającej czeluści. Uklepując ostatnią szuflę ziemi, po raz pierwszy - i nie ostatni - zapłakałem, by w ten tak patetyczny sposób oddać hołd pamięci mego ukochanego stryja.

Wiosną roku następnego w ogrodzie na tarasie przy wymarłym domu nie wyrosły już ani blada trawa, ani niezwykle chwasty, a wkrótce potem Carrington Harris wynajął posesję nowym lokatorom. Wciąż ma ona w sobie coś specyficznego, lecz ta niezwykłość szczerze mnie fascynuje i uczucie ulgi miesza się we mnie z nie skrywanym żalem, gdy w końcu budynek zostanie zburzony, by w miejscu tym powstał nowy butik dla snobów lub odpychająca kamienica czynszowa. Stare, dotąd nie rodzące drzewa w ogrodzie zaczęły owocować - jabłka są małe, lecz słodkie, a w ubiegłym roku, wśród poskręcanych gruzłowatych konarów po raz pierwszy uwiły gniazdo ptaki.

# ZIMNO

**P**rosicie, bym wyjaśnił, dlaczego obawiam się przeciągów, drzę bardziej niż ktoś inny, wchodząc do zimnego pokoju, a gdy chłód wieczoru wypiera ciepło spokojnego, jesiennego dnia, zaczynam odczuwać wyjątkową odrazę i mdłości podchodzą mi do gardła. Są tacy, którzy twierdzą, że reaguję na zimno jak inni na drażniący odór, i bynajmniej nie zamierzam temu zaprzeczać. Pragnę obecnie przedstawić najbardziej przerażające zdarzenie, jakie przytrafiło się w moim życiu, wam zaś pozostawiam dokonanie osądu, czy stanowi ono wystarczające wytłumaczenie moich dziwactw.

Błędem jest wyobrażanie sobie, że groza nierozzerwalnie wiąże się z ciemnością, ciszą i samotnością. Ja napotkałem ją w świetle popołudniowego słońca, pośród hałasu ruchliwej metropolii w obskurnej, zaniedbanej kamienicy czynszowej i nie byłem bynajmniej sam, lecz z prozaiczną, nudną właścicielką i dwoma silnymi, roslymi mężczyznami. Wiosną 1923 roku podjąłem pracę w redakcji pewnego taniego, słabo się sprzedającego czasopisma w Nowym Jorku i nie mogąc uiszczać opłat za czynsz, zmuszony byłem krążyć od jednego taniego lokum do drugiego, w poszukiwaniu pokoju, który byłby w miarę zadbane, czysty i niezbyt drogi, a na dodatek umeblowany. Wkrótce przekonałem się, że mogę co najwyżej wybierać pomiędzy różnymi odmianami zła, aż pewnego dnia natknąłem się na dom przy Czternastej Zachodniej i wzbudził on we mnie mniejszą odrazę niż pozostałe.

Był to trzypiętrowy budynek z piaskowca, pochodzący z końca lat czterdziestych, wyłożony boazerią i marmurem, którego przyćmiony teraz nieco splendor zdawał się świadczyć o dawnej świetności. W pokojach,

dużych, przestronnych, ozdobionych niezwykle tapetą i groteskowo ornamentowanymi stiukowymi karnesami czuć było przytłaczającą woń wilgoci i niemożliwy do określenia zapach jakichś potraw. Podłogi były czyste, pościel względnie porządna, a woda dostatecznie ciepła i rzadko wyłączana, tak więc uznałem to miejsce za dogodne do zahibernowania się w nim do czasu, aż uda mi się znów stanąć na nogi. Właścicielka, niechlujna, niemal brodata Hiszpanka nazwiskiem Herrero, nie zamęczała mnie plotkami i nie miała pretensji, że zbyt długo paliłem światło w swoim pokoju na drugim piętrze od frontu, moi współmieszkańcy zaś okazali się spokojnymi, cichymi, nie szukającymi wrażeń, stroniącymi od ludzi Latynosami o dość prymitywnej, niewymagającej naturze. Drażnić mógł jedynie hałas samochodów przejeżdżających ulicą.

Mieszkałem tam około trzech tygodni, kiedy wydarzył się pierwszy osobliwy incydent. Pewnego wieczoru około ósmej usłyszałem kapanie kropel na podłogę i uświadomiłem sobie, że już od pewnego czasu czuję drażniący odór amoniaku. Unosząc wzrok, ujrzałem, że sufit był mokry i przeciekał. Zalanie musiało nastąpić w kącie od strony ulicy. Pragnąc zapobiec niebezpieczeństwu, pospieszyłem do sutereny, by powiadomić właścicielkę, ta zaś zapewniła mnie, iż problem niebawem zostanie zażegnany.

– Dochter Munoz - zawołała, wbiegając przede mną po schodach - musiał rozlać swoje chymikalia. Jest za chory, aby samemu chodzić do lykarzy - stale się jemu pogarsza - ale ni życzy sobie żadnej pomocy. Muszem rzeknąć, że jest bardzo wydziwny w swojej chorobie - cały dzień bierze dziwnie pachnące kompiele, nie wolno się jemu denerwować ani przegrzewać. Sam sobie prząta - w jego małym mieszkaniu jest pełno butelek i machin - i nie pracuje jako doktor. Ale kiedyś był wielgi, mój ojciec w Barcelonie słyszał o niem - a jeszcze ni tak dawno wyleczył rękę hydraulikowi, który nagle zachorzał. Nigdy nie wychodzi, tylko na dach, a

mój chłopak, Estaban, przynosi jemu jedzenie, pranie, lekarstwa i chymikalia. Mój Boże, tyn alamoniak on używa, coby siem schładzać!

Pani Herrero znikła na schodach prowadzących na trzecie piętro, a ja wróciłem do swojego pokoju. Amoniak przestał się sączyć, wytarłem powstałą kałużę i otworzyłem okno, aby przewietrzyć pokój. W chwilę potem usłyszałem ciężkie kroki właścicielki w pokoju powyżej. Doktora Munozę nigdy nie słyszałem, z wyjątkiem odgłosów wydawanych przez jakieś znajdujące się w jego pokoju urządzenie mechaniczne, stąpał bowiem łagodnie i miękko.

Zastanawiałem się przez chwilę, na jaką nietypową chorobę mógł cierpieć ów mężczyzna i czy upór, z jakim odmawiał pomocy z zewnątrz, nie był czasem spowodowany bezpodstawną ekscentrycznością. Wybitne osobistości tego świata często charakteryzują się nadmiernym patosem.

Mógłbym nigdy nie poznać doktora Munozę, gdyby nie atak serca, który dosięgnął mnie niespodziewanie pewnego przedpołudnia, gdy siedziałem, pisząc, w swoim pokoju. Lekarze ostrzegali mnie przed tym zagrożeniem, a ja wiedziałem, że nie mam czasu do stracenia. Przypominając sobie, co właścicielka powiedziała o pomocy udzielonej przez inwalidę choremu robotnikowi, wdrapałem się na górę i niezdarnie zapukałem do drzwi pokoju znajdującego się bezpośrednio nad moim. W odpowiedzi usłyszałem dobiegający nieco z prawej strony silny głos, który doskonałym angielskim zapytał, kim jestem i co mnie tu sprowadziło. Kiedy to wyjaśniłem, drzwi, obok tych, przed którymi stałem, uchyliły się nieznacznie.

Powitał mnie powiew zimnego powietrza, i choć ów późny czerwcowy dzień był jednym z najgorętszych tego roku, zadygotałem, przestępując próg i wchodząc do olbrzymiego apartamentu, którego bogaty, urządzony ze smakiem wystrój zdumiał mnie w porównaniu z resztą zaniedbanej i ogólnie dość nędznej czynszówki. Składana kanapa pełniła obecnie rolę

dziennej sofy, a mahoniowe meble, okazałe draperie, stare obrazy i wytworne regały na książki zdradzały, już na pierwszy rzut oka, iż znalazłem się w pracowni dżentelmena, a nie, jak sądziłem, w sypialni kamienicy czynszowej.

Przekonałem się teraz, że „mały pokój” znajdujący się bezpośrednio nad moim, pełen butelek i maszyn, o których wspomniała pani Herrero, był, najkrócej mówiąc, laboratorium doktora; salon zaś urządzony był w przestronnym pokoju sąsiednim, gdzie wygodne nisze i okazała, przyległa łazienka mieściły wszelkie potrzebne mu rzeczy, sprzęty i urządzenia.

Doktor Munoz musiał być bez wątpienia człowiekiem wysokiego urodzenia, wyznającym przeróżne tradycje i dyskryminacje. Postać przede mną była niska, lecz wybornie proporcjonalna i przyodziana w strój zdradzający doskonale dopasowanie i krój. Arystokratyczne oblicze, pozbawione jednak aroganckiego wyrazu, zdobiła krótka, stalowoszara broda i staroświeckie pincenez. Oczy były żywe i ciemne, a orli nos nadawał fizjonomii arabskiego akcentu, choć reszta rysów była bez wątpienia celtycka. Gęste, starannie przycięte włosy świadczące o regularnych wizytach fryzjera zgrabnie rozdzielały się nad wysokim czołem, cały obraz zaś mówił wyraźnie o zdumiewającej inteligencji, wysokim urodzeniu i błękitnej krwi płynącej w żyłach tego człowieka.

Mimo to kiedy ujrzałem doktora Munozę w podmuchu zimnego powietrza, poczułem odrazę, której nie mógł usprawiedliwić żaden szczegół jego wyglądu czy zachowania. Jedyne jego chorobliwie blada cera i chłód dotyku mogły stanowić powód owego odczucia, ale nawet powyższe mankamenty powinny być wybaczone, z uwagi na inwalidztwo owego człowieka. Być może ten właśnie chłód był przyczyną silnej odrazy, zimno wydało mi się bowiem nienormalne w tak upalny dzień, a to, co anormalne, zwykle powoduje niechęć, nieufność i strach.

Niemniej jednak już wkrótce odraza przysła, przesłonięta podziwem, gdyż dziwaczny lekarz od razu ujawnił swe wyjątkowe zdolności zawodowe, pomimo lodowatego zimna i drżenia dłoni, które sprawiały wrażenie, jakby zupełnie odsączono je z krwi. Najwyraźniej na pierwszy rzut oka zrozumiał me potrzeby i udzielił pomocy z mistrzowską wprawą. Jednocześnie niezwykle modulowanym głosem, aczkolwiek dziwnie pustym i pozbawionym tembru, zapewnił mnie, że był najzagorzalszym spośród przeciwników śmierci i utracił całą fortunę oraz wszystkich przyjaciół, prowadząc wieloletni eksperyment, dzieło swego życia, mający na celu jej ostateczne pokonanie. Miał w sobie coś z zagorzałego fanatyka i stał się niemal uciążliwie gadatliwy, gdy osłuchiwał moją klatkę piersiową, a potem przygotował mieszankę jakichś leków przyniesionych z mniejszego pokoju laboratoryjnego. Najwyraźniej towarzystwo dobrze urodzonego mężczyzny było dlań w tym obskurnym miejscu przyjemną odmianą i pod wpływem fali wspomnień z dawnych, lepszych dni rozwiązał mu się język.

Jego głos, mimo iż dziwny, miał kojący wpływ, nawet nie czułem powiewu oddechu, gdy potok słów wypływał nieprzerwanie spomiędzy jego ust. Starał się odwrócić mą uwagę od ataku, opowiadając o swoich teoriach i eksperymentach. Pamiętam, jak taktownie pocieszał mnie, mówiąc o moim słabym sercu, i z uporem maniaka twierdził, iż wola oraz świadomość są silniejsze niż życie organiczne samo w sobie, tak więc, gdyby cielesną powłokę utrzymywano w doskonałym zdrowiu i starannie konserwowano, dzięki pewnym nerwowym wzmocnieniom wymienionych właściwości, można by osiągnąć całkiem wysoki stopień animacji nerwowej, i to pomimo najpoważniejszych urazów, defektów, czy wręcz braku większości kluczowych organów. Półzartem stwierdził, że któregoś dnia mógłby nauczyć mnie żyć - lub w każdym razie osiąść pewien poziom świadomej egzystencji - pomimo braku serca, jednego z najważniejszych ludzkich organów! Co się tyczy jego, cierpiał na rozliczne



choroby wymagające szczególnego postępowania, w tym przebywania w stałym chłodzie. Każdy poważniejszy wzrost temperatury mógłby na dłuższą metę okazać się dlań fatalny, panujący zaś w mieszkaniu chłód, około 55-56° Fahrenheita, uzyskiwany był dzięki systemowi pochłaniania amoniakowego chłodziwa, owemu silnikowi spalinowemu, którego pracujące pompy słyszałem często w swoim pokoju poniżej.

Gdy w zdumiewająco krótkim czasie ustąpiły wszelkie objawy ataku, opuściłem mroźny apartament jako oddany uczeń i przyjaciel osobliwego odludka. Od tej pory okutany w gruby płaszcz często składałem mu wizyty, słuchałem, podczas gdy on opowiadał o swych sekretnych badaniach i nieomal upiornych rezultatach, a niejednokrotnie widziałem, że dygotał, gdy przeglądałem niekonwencjonalne i zdumiewające stare woluminy na półkach jego biblioteczki. Muszę dodać, że w końcu, dzięki starannej opiece doktora Munoz, zostałem nieomal całkowicie wyleczony z mej choroby. Wyglądało na to, że nie podrwiwał on ze średniowiecznych inkantacji, wierzył bowiem, iż owe tajemne, mroczne formuły zawierały rzadkie psychologiczne bodźce, które mogły wywierać niezwykle efekty na całość systemu nerwowego, skąd wypływały wszelkie impulsy organiczne. Poruszyła mnie jego opowieść o starym doktorze Torresie z Walencji, z którym dzielił niegdyś eksperymenty i który pielęgnował go podczas ciężkiej choroby przed osiemnastu laty, odkąd, nawiasem mówiąc, zaczęły się jego trwające po dziś dzień dolegliwości zdrowotne. Sędziwy praktyk uratował swego kolegę po fachu, lecz niemal natychmiast sam zapadł na tę samą posępną, śmiertelną chorobę i został przez nią pokonany. Być może napięcie było zbyt wielkie - doktor Munoz stwierdził bowiem jasno - choć z pominięciem szczegółów - że metoda leczenia była doprawdy niezwykła, aczkolwiek niektórzy starsi i konserwatywni lekarze mogliby nie zaakceptować pewnych niezbędnych dla całości elementów terapii. W miarę upływu tygodni z żalem zauważyłem, że stan zdrowia mego nowego

przyjaciela z wolna, acz regularnie ulega pogorszeniu, co wcześniej niejasno zasugerowała mi pani Herrero. Bładość jego lica stała się jeszcze bardziej uderzająca, głos bardziej pusty i niewyraźny, ruchy mięśni zatracaly koordynację, umysł zaś i wola zdradzały mniejszą bystrość, inicjatywę i elastyczność. Munoz również musiał chyba zdawać sobie sprawę z tej smutnej zmiany i powoli do jego zachowania oraz słów wkradła się posępna ironia, która ożywiła we mnie uśpioną dotychczas odrazę, tak wyrazistą podczas naszego pierwszego spotkania.

Odkrył w sobie dziwne kaprysy, zamiłowanie do egzotycznych pachnideł i egipskich kadzidełek, aż w jego pokoju zaczęło pachnieć jak w grobowcu jednego z faraonów z Doliny Królów. Jednocześnie wzrosły jego potrzeby zimnego powietrza i z moją pomocą rozbudował układ rur z amoniakowym chłodziwem znajdujący się w jego pokoju, zmodyfikował zestaw pomp i maszynę chłodzącą, dopóki nie udało mu się osiągnąć poziomu temperatury rzędu 34-40° F, a ostatecznie nawet 28° F. W łazience i laboratorium, rzecz jasna, panował nieco mniejszy ziąb, aby woda nie zamarzała i by proces chemiczny nie uległ zahamowaniu. Sąsiad z mieszkania obok zaczął skarżyć się na chłód bijący od przejściowych drzwi, toteż pomogłem doktorowi usunąć ową niedogodność, obwieszając ścianę łączną wyjątkowo grubymi, ciężkimi zasłonami.

Odniosłem wrażenie, że doktora Munozą ogarnia coraz większy, narastający z dnia na dzień lęk, najczarniejsza z możliwych, posępna groza. Bez przerwy mówił o śmierci, ale wybuchał pustym śmiechem, gdy padały wzmianki o rzeczach takich jak pogrzeb czy przygotowanie do pochówku.

Tak czy inaczej, jowialny ongiś lekarz stał się człowiekiem burkliwym, ponurym i nieprzyjemnym, ja wszakże, wdzięczny za uleczenie, nie mogłem go opuścić i pozostawić obcym, toteż każdego dnia przychodziłem doń, by posprzątać pokój i pomóc mu załatwić wszelkie codzienne

potrzeby. Na te okazje zakładałem kupiony specjalnie, gruby, bardzo ciepły płaszcz.

Robiłem również dla niego sprawunki i aż otwierałem oczy ze zdziwienia, widząc, jak potężne baterie środków chemicznych zamawiał u aptekarzy i w magazynach laboratoryjnych. Wokół jego mieszkania zaczęła narastać niewytłumaczalna atmosfera paniki.

Cały dom, jak już wspomniałem, przesycony był odorem wilgoci, niemniej smród w pokoju doktora był o wiele gorszy i wyczuwalny, pomimo wszelkich wonności, kadzidełek czy silnych środków chemicznych, używanych podczas nie mających końca kąpeli, odbywanych uparcie w samotności, stwierdziłem przeto, iż fetor ów musi mieć jakiś związek z dręczącą Munozę dolegliwością, i wzdrygnąłem się, rozmyślając nad istotą jego choroby.

Pani Herrero przeżegnała się, kiedy na niego spojrzała, i opiekę nad nim przekazała wyłącznie mnie, zabroniła nawet swemu synowi, Estebanowi, załatwiać dla doktora codzienne sprawunki. Kiedy zasugerowałem sprowadzenie lekarza, chory nieomal wpadł w furję. Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś równie wzburzonego. Najwyraźniej obawiał się fizycznych skutków swego brutalnego wybuchu, niemniej jego siła woli i poruszenie miast osłabnąć, jeszcze się wzmogły i stanowczo odmówił położeni a się do łóżka. Zmęczenie będące skutkiem przewlekłej choroby ustąpiło na rzecz zapachu do pracy i ożywienia, powrotu do celu stanowiącego wykładnię jego życia. Wydawało się, że rzucił zuchwałe wyzwanie demonowi śmierci, nawet gdy ów prastary wróg ucapił go już w swe mordercze szpony. Symulacja spożywani a posiłków, która zawsze w jego przypadku wydawała się osobliwą formalnością, została całkowicie zarzucona; chyba już tylko mentalna moc chroniła go przed ostatecznym załamaniem.

Wyrobił w sobie nawyk sporządzania jakichś długich dokumentów, które starannie zapieczętował i przekazywał mi z zaleceniem, abym po jego śmierci doręczył je pewnym, ściśle określonym z nazwiska osobom - większość z nich zaadresowana była do Hindusów, ale jeden dokument miał trafić do rąk własnych sławnego ongiś francuskiego lekarza - powszechnie uważanego obecnie za zmarłego, na temat którego krążyły najróżniejsze, budzące trwogę, przekazywane najcichszym szeptem plotki. Kiedy to się stało, spaliłem wszystkie te pisma nie doręczone i nie otwierane. Jego wygląd i głos stał się wręcz przerażający, obecność zaś była nieomal nie do zniesienia. Pewnego wrześnieowego dnia na widok Munoz mężczyzna, który przyszedł naprawić lampkę elektryczną na jego biurku, doznał ataku epilepsji.

Lekarz, zniknąwszy mu z oczu, przygotował, rzecz jasna, lekarstwo, które w mig poradziło sobie z ową dolegliwością. Mężczyzna ten, i to chyba było najdziwniejsze, przeżył koszmar wielkiej wojny, nie doznawszy ani razu równie potężnego wstrząsu.

I nagle, w połowie października, nastąpiła niespodziewana jak grom z jasnego nieba kulminacja koszmarów. Którejś nocy, około jedenastej, zepsuła się pompa maszyny chłodzącej, tak że w ciągu trzech godzin proces oziębiania stał się niemożliwy. Doktor Munoz wezwał mnie, waląc w podłogę, i rozpaczliwie zabrałem się do dzieła, usiłując naprawić uszkodzenie, podczas gdy mój gość klął w głos, w którym brzmiała niemożliwa do opisanego, martwa, grzechocząca pustka. Moje amatorskie wysiłki okazały się wszelako bezskuteczne, a kiedy z pobliskiego, czynnego całą dobę warsztatu sprowadziłem mechanika, okazało się, że do rana usunięcie usterki jest niemożliwe, gdyż konieczne jest zdobycie i zamontowanie nowego tłoka.

Gniew i lęk posępnego odludka narosły do groteskowych rozmiarów, wydawało się, że lada moment jego wynędzniała cielesna powłoka rozleci

się na kawałki. Nagle gwałtowny spazm sprawił, że mężczyzna przyłożył obie ręce do oczu i pognął do łazienki. Wychodząc, szukał drogi po omacku; twarz miał mocno zabandażowaną i nigdy już nie ujrzałem jego oczu.

Chłód w pomieszczeniu wyraźnie tracił na sile i około piątej nad ranem doktor powrócił do łazienki, nakazując, bym przyniósł mu tyle lodu, ile zdołam zdobyć we wszystkich dostępnych kafeteriach i drogeriach.

Powracając z kolejnych wycieczek i pozostawiając zdobyty lód przed zamkniętymi drzwiami łazienki, słyszałem tylko niepokojący plusk dobiegający z wnętrza i ochryply głos skrzeczący ponaglająco: - Jeszcze!

Jeszcze! - W końcu nastał ciepły dzień i otwarto kolejne sklepy.

Poprosiłem Estebana, aby pomógł mi, dostarczając lód, podczas gdy ja pojedę po pompę, albo by przywiózł pompę, a ja będę wciąż znosił do domu lód. On jednak zgodnie z zaleceniem matki stanowczo odmówił.

W końcu wynająłem mocno zaniedbanego nieroba, którego spotkałem na rogu Ósmej Alei, aby donosił pacjentowi lód z niewielkiego sklepiku, w którym go przedstawiłem, a sam zająłem się odszukaniem właściwej pompy tłoczącej i zaangażowaniem zespołu fachowców, którzy by ją zainstalowali.

Zadanie to zdawało się nie mieć końca i wściekałem się niemal równie mocno, jak mój odludek, tracąc godzinę za godziną na bezskuteczne telefony i gorączkowe przemieszczanie się z miejsca na miejsce, zarówno metrem, jak i samochodem. Około południa natrafiłem na właściwy sklep z częściami do maszyn, znajdujący się daleko w śródmieściu i około wpół do drugiej po południu wróciłem do czynszówki z całą pompą i dwoma krzepkimi, znającymi się na rzeczy monterami. Uczyniłem, co w mej mocy, i miałem nadzieję, że zdążyłem na czas.

Czarna zgroza najwyraźniej dotarła na miejsce przede mną. W domu panował nieopisany chaos, a pośród bełkotu przerażonych głosów usłyszałem głęboki bas jakiegoś modlącego się mężczyzny. Zło czaiło się w

powietrzu, a mieszkańcy domu, przesuając w dłoni paciorki różańca, opowiadali, jak poczuli przeraźliwy odór bijący spod zamkniętych drzwi apartamentu doktora. Wałkoń, którego wynająłem, jak się okazało, umknął, krzyżąc i tocząc obłąkańczo oczyma, niedługo po dokonaniu drugiej dostawy lodu - być może było to skutkiem jego nadmiernej ciekawości. Nie mógł, rzecz jasna, zamknąć za sobą drzwi, a jednak teraz były one zamknięte na głucho - najprawdopodobniej od wewnątrz.

Ze środka nie dobiegał żaden odgłos z wyjątkiem jakiegoś nieokreślonego, powolnego plusku kapiących kropel. Po krótkiej konsultacji z panią Herrero i monterami, pomimo grozy zżerającej mą duszę, doradziłem, aby wyłamano drzwi. Właścicielka zdołała jednak jakimś dziwnym narzędziem z drutem przekręcić klucz w zamku od zewnątrz.

Wcześniej pootwieraliśmy drzwi do wszystkich innych pokoi w korytarzu i okna na całą szerokość. Teraz z chusteczkami przy nosach, na drżących nogach weszliśmy do przeklętego południowego pokoju, którego wnętrze skąpane było w ciepłych promieniach wczesnopopołudniowego słońca.

Od otwartych drzwi łazienki ciągnął się dziwny, ciemny, śluzowaty ślad, prowadząc do drzwi na korytarz, a stamtąd do biurka, gdzie utworzyła się całkiem pokaźna, mroząca krew w żyłach kałuża. Na blacie leżała kartka, na której upiorna, prowadzona na oślep ręka nakreśliła pospiesznie krótki list.

Papier był potwornie pomazany, jakby przez straszliwe szpony, które przesuwały się po kartce wraz z pozostawianymi na niej słowami. Stamtąd szlak prowadził do kanapy i tam też się kończył. Tego, co znalazło się lub znajdowało na kanapie, nie mogę i nie ośmielę się tu opisać. Oto jednak, co udało mi się nie bez trudu odczytać z usmarowanej lepką mazią kartki papieru, zanim zapaliłem zapałkę i zmieniłem ją w popiół; oto, czego

dowiedziałem się, zdjęty grozą, podczas gdy właścicielka i dwaj mechanicy wybiegli jak szaleni z tego piekielnego pokoju, by przeraźliwie bełkocząc, złożyć na najbliższym komisariacie nieskładne, mętne zeznania.

Owe upiorne słowa w złocistych promieniach słońca wydawały się wręcz niewiarygodne, gdy odczytywałem je przy wtórze ryku aut i ciężarówek sunących hałaśliwie wzdłuż zakorkowanej Czternastej Ulicy, niemniej przyznać muszę, że nawet wtedy uwierzyłem w ich prawdziwość. Czy wierzę w nie teraz - szczerze mówiąc, nie wiem. Są rzeczy, o których lepiej nie debatować i jedyne, co mogę powiedzieć, to, że nie cierpię woni amoniaku, a nagły podmuch zimnego powietrza nieomal przyprawia mnie o omdlenie.

„To już koniec - brzmiały słowa nagryzmołone drżącą ręką. - Nie ma już lodu, a dostawca tylko raz rzucił na mnie okiem i uciekł. Z każdą minutą jest coraz cieplej, tkanki nie wytrzymają długo. Przypuszczam, że wiesz - to, co mówiłem na temat woli, nerwów i konserwacji ciała, kiedy organy przestają funkcjonować. To była dobra teoria, lecz nie dało się podtrzymać procesu w nieskończoność. Następowало stopniowe pogorszenie, zepsucie tkanek, którego nie przewidziałem. Doktor Torres wiedział o tym, ale zmarł wskutek szoku. Nie mógł znieść tego, co musiał uczynić. Jeśli miał postąpić zgodnie z moimi zaleceniami, powinien umieścić mnie w jakimś specyficznym, ciemnym miejscu, gdzie mógłbym odzyskać zdrowie. Organy, które raz wysiadają, nie zaczynają ni stąd, ni zowąd działać od nowa. To musiało być zrobione po mojemu - w grę wchodziła tylko sztuczna konserwacja - bo widzisz, ja nie przeżyłem tej choroby, umarłem równo osiemnaście lat temu”.

# ON

Ujrzałem go pewnej bezsennej nocy, kiedy krążyłem rozpaczliwie ulicami, usiłując uchronić mą duszę i wizję. Przyjazd do Nowego Jorku okazał się pomyłką - poszukiwałem bowiem cudów, uroku i inspiracji, które miałem nadzieję znaleźć wśród labiryntu starych uliczek wijących się bez końca od zapomnianych podwórców, placów i nabrzeży po równie zapomniane podwórza, place i nabrzeża w cyklopowych, nowoczesnych wieżowcach i pinaklach wznoszących się niczym czarne wieże Babilonu pod bladym sierpem księżyca. Odnalazłem zaś jedynie grozę i uczucie osobliwego nacisku, które groziły mi zdominowaniem, sparaliżowaniem i absolutnym unicestwieniem.

Rozczarowanie przychodziło stopniowo. Przybywając do miasta, ujrzałem je po raz pierwszy z mostu wznoszącego się majestatycznie ponad wodami rzeki, a niewiarygodne szczyty i piramidy podnosiły się delikatnie, niczym główki kwiatów z oparów fioletowej mgły, aby igrać z rozpalonymi do czerwoności chmurami i pierwszymi wieczornymi gwiazdami. Później ponad toczącymi się leniwie falami zapłonęły światła w oknach, rozpały się jedno po drugim, a poniżej, na wodzie kiwały się i migotały latarnie, syreny mgielne zawodziły swe smętne, charakterystyczne melodie i ogólnie widok ten przywiódł mi na myśl rozgwieżdżony firmament snów przesycony niebiańską muzyką, dorównujący swym majestatem tudom Carcassonne, Samarkandy, Eldorado i innych wspaniałych, na wpół mitycznych miast.

Niedługo potem wyruszyłem owymi pradawnymi uliczkami tak drogimi mej wyobraźni - wąskimi, krętymi alejkami i przesmykami, gdzie rzędy



murów z czerwonej, georgiańskiej cegły mrugały małymi okienkami z drobnych szybek ponad oflankowanymi kolumnami, drzwiami do domów, łypiącymi wyniosłe na pozłacane karoce i panelowe powozy - wówczas po raz pierwszy stwierdziłem, że skoro udało mi się urzeczywistnić to z dawna odczuwane pragnienie, nic nie stoi na przeszkodzie, abym w swoim czasie stał się również poetą.

Sukces i szczęście nie były mi jednak dane. Jasny dzień ujawnił jedynie brud, obcość i drażliwą obskurność wszechobecnych, pnących się jak najwyżej kamieni wszędzie tam, gdzie księżyc zapowiadał istnienie piękna i starszej magii. Tłumy zaś, zaludniające ciasne, kręte uliczki, okazały się należeć do rasy śniadych, krępych cudzoziemców o zhardziałych obliczach i wąskich oczach, sprytnych, inteligentnych, obcych, pozbawionych snów i więzi z tym, co rozgrywało się wokół nich, którzy nie mieli nic do zaoferowania błękitnookiemu potomkowi starego ludu, w którego sercu płonęło umiłowanie czystych, zielonych plantów i białych dachów domów, jakie widuje się na terenie Nowej Anglii.

Tak więc zamiast weny, na którą liczyłem, doznałem jedynie uczuci a niezmożonej samotności i przyprawiającej o zimny dreszcz ciemności otaczającej mnie z wszystkich stron. Poznałem również ostatnią, przeraźliwą prawdę, której nikt nigdy nie ważył się wcześniej wyjawic, niewysłowioną tajemnicę tajemnic, która brzmiała, że owo miasto z kamieni i szkła nie stanowi przedłużenia żywota dawnego miasta, które znajdowało się kiedyś w tym miejscu, tak jak Londyn jest Starym Londynem, a Paryż Starym Paryżem, ale że jest ono martwe, a jego rozciągnięte bezładnie cielsko zostało niedokładnie zabalsamowane i zaroilo się, niczym robactwem, osobliwymi, animowanymi istotami, które ma z nim tyleż wspólnego, co ów nieżywy twór z prawdziwym istnieniem. Dokonawszy tego odkrycia, nie mogłem sypiać spokojnie, w końcu jednak osiągnąłem stan pewnej (aczkolwiek zrezygnowanej) równowagi, w miarę

jak wyrobiłem w sobie nawyk unikania ulic za dnia i przemierzania ich wyłącznie nocą, która wydobywa z zapomnienia tę odrobinę przeszłości, jaka jeszcze w nich pozostała, a stare bielone odrzwia przypominają sobie skulone sylwetki, które dawno temu prześlizgiwały się przez nie cichaczem.

Z pewną ulgą napisałem kilka wierszy, ale wciąż nie chciałem powrócić do mego ludu, nie dopuszczając do siebie myśli o porażce.

I wtedy, pewnej bezsennej nocy, spotkałem tego mężczyznę. Stało się to na ukrytym podwórzu w dzielnicy Greenwich, gdzie zamieszkałem wskutek mej ignorancji, gdyż doszły mnie słuchy, że tu właśnie znajduje się największe naturalne skupisko poetów i artystów. Archaiczne alejki, domy i niespotykane nigdzie indziej podwórza oraz dziedzińce rzeczywiście wywarły na mnie nader pozytywne wrażenie, lecz poeci i artyści, których tam odnalazłem, okazali się jedynie krzykliwymi oszustami, amatorami, sztucznymi jak tania błyskotka, ich życie zaś pozbawione było (za ich przyzwoleniem) czystego piękna składającego się na poezję i sztukę, czyli tego wszystkiego, co w głębi serca ukochałem. Wyobrażałem sobie, że są tacy jak w czasach, gdy wioska Greenwich tętniła samoistnym życiem, nie wchłonięta jeszcze przez wielkomięjską metropolię, a w godzinach przedświt, kiedy wszyscy birbanci i lumpy układali się na spoczynek, kroczyłem samotnie pośród krętych, tajemnych alejek, rozmyślając o osobliwych sekretach pozostawionych przez pokolenia zamieszkujących tu ludzi. To utrzymywało mą duszę przy życiu i obdarzało snami oraz wizjami, które, aczkolwiek nieliczne, zaspokajały pragnienia tkwiącego we mnie poety.

Mężczyzna natknął się na mnie około drugiej pewnej chmurnej, sierpniowej nocy, kiedy przemierzałem rząd rzadko uczęszczanych, na wpół zapomnianych podwórz, do których obecnie można było dojść jedynie przez nie oświetlone przejścia dzielących je budynków, a które niegdyś tworzyły całą sieć uroczych, malowniczych alejek. Usłyszałem o nich

niejako przypadkiem i nie otrzymałem ścisłych informacji, okazało się bowiem, że nie ma ich na żadnej współczesnej mapie, niemniej fakt, iż zostały zapomniane, tylko wzbudził moje zainteresowanie i ze zdwojoną gorliwością wyruszyłem na ich poszukiwanie. Teraz, gdy je odnalazłem, ożywiłem się raz jeszcze, gdyż coś w ich układzie niejasno sugerowało, że mogły stanowić ledwie zaczątek całej sieci mrocznych, odrzuconych alejek i uliczek, ogrodzonych i ograniczonych wysokimi murami, ścianami domów czy nie oświetlonymi przejściami, do których nigdy nie zapuszczali się śniadzi cudzoziemcy i których strzegli skryci, małomówni artyści zajmujący się rzeczami nie przeznaczonymi dla szerokiej publiczności i nie oglądającymi nigdy światła dziennego.

Odezwał się do mnie bez żadnej zachęty z mojej strony, zwracając uwagę na mój nastrój i spojrzenia, jakimi obrzucałem pewne zaopatrzone w kołatki odrzwia ponad otoczonymi balustradą schodami. Błada poświata z umieszczonych nad wejściami okienek nieśmiało oświetlała mą twarz.

Jego oblicze tonęło w cieniu. Nosił na głowie szerokoskrzydły kapelusz, który nadspodziewanie dobrze pasował do jego staroświeckiego płaszcza.

Zanim jednak odezwał się do mnie, poczułem dziwny, niczym nie wytłumaczony niepokój. Był bardzo szczupły, wręcz chudy, istna skóra i kości, głos miał niewiarygodnie miękki i pusty, ale nieszczerólnie głęboki.

Stwierdził, że widział mnie kilkakrotnie podczas mych nocnych wędrówek, i dodał, że przypominam mu jego samego z przeszłości, kiedy to wiedziony skrywanymi w głębi ducha pragnieniami odbywał podobne wycieczki. Czy nie zechciałbym przewodnika, kogoś, kto dłużej ode mnie prowadził podobne poszukiwania, a jego zasób informacji i wiedza o tutejszych zakamarkach były dużo większe niż nowo przybyłego wędrowca takiego jak ja?

Kiedy mówił, przez mgnienie oka dostrzegłem jego twarz w strudze żółtego światła z pojedynczego okna na poddaszu. Było to przystojne,

niemłode już oblicze zdradzające szlachecki rodowód, które w tym czasie i miejscu wydawało się wręcz absurdalne. Było w nim jednak coś jeszcze, co zaniepokoiło mnie równie mocno, jak widok ostrych, silnych rysów natchnął mnie radością. Być może było zbyt blade, zbyt pozbawione wyrazu i zbyt różne od fizjonomii tutejszej społeczności i właśnie dlatego poczułem się dziwnie nieswojo. Tak czy inaczej, podążyłem za nim, w tych ponurych dniach poszukiwanie tego, co stare, piękne i tajemnicze, było bowiem wszystkim, co pozwalało utrzymać mą duszę przy życiu, i uznałem za rzadkie zrzędzenie losu spotkanie z człowiekiem, który, dzielając w pełni me zainteresowania, uzyskał rezultaty dalece przewyższające moje skromne osiągnięcia.

Coś, być może sama noc, sprawiło, że otulony płaszczem mężczyzna pogrążył się w posepnym milczeniu i przez długą godzinę prowadził mnie, nie wypowiedziawszy choćby jednego niepotrzebnego słowa; rzucał jedynie zdawkowe komentarze dotyczące prastarych nazw, dat i zmian, a pełniąc rolę mego przewodnika, posługiwał się głównie gestami. W ten oto sposób przeciskaliśmy się przez wąskie łączniki, przemierzaliśmy ciasne, mroczne korytarze, pokonywaliśmy ceglane murki, a raz nawet przepęłziliśmy na czworakach przez niskie, łukowato sklepienie kamienne przejście, którego niesamowita długość i przyprawiająca o zawroty głowy liczba zakrętów pozbawiła mnie do szczętu resztek orientacji, jakie do tej pory udało mi się zachować. Rzeczy, które widzieliśmy, były bardzo stare i precudowne lub takie się wydawały, kiedy postrzegałem je w słabym, bladożółtym świetle.

Nigdy jednak nie zapomnę gigantycznych jońskich kolumn, żłobkowanych pilastrów i bogato zdobionych, żelaznych ogrodzeń, oświetlonych okien o małych szybkach i ozdobnych latarni, które stawały się coraz rzadsze i coraz dziwniejsze, im głębiej zapuszczaliśmy się w ten niewyczerpany labirynt nieznanego i zapomnianej przeszłości.

Nie spotkaliśmy nikogo i w miarę upływu czasu coraz mniej było oświetlonych okien. Z początku widzieliśmy tylko latarnie naftowe, później zaś pojawiły się latarnie ze świecami, aż w końcu, pokonawszy pewne przeraźliwe, nie oświetlone podwórze, gdzie mój przewodnik musiał szukać w ciemności, po omacku swą osłoniętą rękawicą dłonią, by odnaleźć wąską, drewnianą bramę w wysokim murze, dotarliśmy do fragmentu alejki, gdzie lampy paliły się przy co siódmym domu. Były to - rzecz niesłychana - kolonialne, blaszane latarnie ze stożkowymi nasadami i otworami w bocznych ściankach. Alejka ta wiodła stromo pod górę - bardziej stromo niż wydawało mi się to możliwe w tej części Nowego Jorku - a jej górny koniec przegradzał porośnięty bluszczem mur prywatnej posesji, za którym mogłem dostrzec szczyt bladej kopuły i wierzchołki drzew kołyszące się na tle rozjaśniającego się nieba. W murze tym znajdowała się mała, nisko sklepi ona brama z nabitego ćwiekami, czarnego dębu, którą mężczyzna otworzył olbrzymim kluczem. Wprowadziwszy mnie do środka, ruszył pośród kompletnych ciemności wzdłuż, jak mi się zdawało, żwirowej ścieżki i w końcu po kilku kamiennych stopniach do drzwi frontowych domu, które otworzył kluczem i uchylił przede mną.

Weszliśmy i w tej samej chwili zrobiło mi się słabo, gdyż poczułem niesamowity fetor przesycający powietrze, którego fala wypłynęła nam na spotkanie. Była to odrażająca woń, której nagromadzenie wytłumaczyć można było jedynie trwającym od stuleci procesem rozkładu.

Gospodarz mój zdawał się tego nie zauważać, a ja z uwagi na swe dobre wychowanie zachowałem stosowne milczenie, gdy przeprowadził mnie po krętych schodach na piętro i korytarzem do pokoju, którego drzwi, jak usłyszałem, skrzętnie zamknął za nami na klucz. Następnie ujrzałem, jak zaciąga zasłony trzech okien o małych szybkach, które na tle jaśniejszego nieba wydawały się prawie niewidoczne. To uczyniwszy, podszedł do obramowania kominka, by przy użyciu stali i krzesiwa zapalić dwie z

liczącego dwanaście świec kandelabru, po czym stosownym gestem oraz miłym słowem zaprosił mnie, bym usiadł.

W słabym, migotliwym świetle ujrzałem, że znajdowaliśmy się w przestronnej, dobrze umeblowanej, wyłożonej boazerią bibliotece pochodzącej z początku osiemnastego wieku, z przepyszными pedymetami przy wejściu, wspaniałym doryckim karnesem i ozdobnym obramowaniem kominka. Ponad półkami wypełnionymi księgami, w przerwach na ścianach wisiały udatne portrety rodzinne, wszystkie jednak zmatowiały do stanu enigmatycznej szarości i noszące ślad wyraźnego podobieństwa do mężczyzny, który wskazał mi właśnie krzesło stojące obok zgrabnego stołu chippendale. Zanim zasiadł po drugiej jego stronie, naprzeciw mnie, gospodarz mój znieruchomiał na chwilę, jakby zakłopotany, po czym skrętnie zdjął rękawiczki, szerokoskrzydły kapelusz oraz pelerynę, stając w teatralnej pozie, by ukazać strój, jaki miał na sobie, pełny kostium z połowy okresu georgiańskiego, począwszy od utrefionej, upudrowanej peruki i kryzy, po sięgające kolan bryczesy, jedwabne pończochy i buty ze sprzączkami, których wcześniej nie zauważyłem. Mężczyzna osunął się wolno na krzesło z oparciem w kształcie liry, wbijając we mnie przenikliwy wzrok.

Bez kapelusza wydał mi się dużo starszy, niż przypuszczałem, i zastanawiałem się, czy owa ledwie dostrzegalna wcześniej oznaka osobliwej długowieczności nie stanowiła zasadniczego źródła mego zaniepokojenia.

Kiedy w końcu przemówił, jego miękki, pusty i starannie tłumiony głos często się łamał. Od czasu do czasu miałem więc trudności, aby za nim nadążyć, niemniej słuchałem go z nieskrywanym zdumieniem i niejasnym niepokojem, który narastał we mnie z minuty na minutę.

– Macie przed sobą, panie - zaczął mój gospodarz - człowieka wielce ekscentrycznych nawyków, za którego ubiór osoby o waszej inteligencji,

skłonnościach i przekonaniach bynajmniej nie trzeba przeproszać.

Rozmyślając o lepszych czasach, bez skrupułów przyjąłem tamtejszy styl ubierania oraz maniery; nawyk ów, jeśli nie nazbyt ostentacyjny, nie powinien wydać się nikomu obraźliwy. Miałem szczęście utrzymać wiejską posiadłość moich przodków, pomimo iż pochłonęły ją aż dwa miasta - najpierw Greenwich, które zbudowano tu po roku 1800, a następnie Nowy Jork, przyłączony około roku 1830. Wiele było w mojej rodzinie powodów do zachowania tej posesji i starałem się możliwie jak najlepiej wypełniać spoczywające na mnie powinności. Dziedzic, który przejął ten majątek w 1768 roku, studiował pewne sztuki i dokonał pewnych odkryć, które wiązały się nierozdzielnie z mocą zawartą w tym szczególnym zakątku ziemi, wymagającym stałego i wzmożonego nadzoru. Zamierzam ukazać wam pewne osobliwe rezultaty owych sztuk i odkryć, naturalnie w ścisłej tajemnicy, ufam jednak - a znam się trochę na ludziach - że zawierając wam swe sekrety, z uwagi na wasze niezwykle zainteresowania, nie sprawicie mi, panie, zawodu.

Przerwał, a ja tylko skinąłem głową. Wspomniałem już, że byłem zaniepokojony, lecz dla mojej duszy nie było nic bardziej zabójczego niż Nowy Jork za dnia, a niezależnie od tego, czy człek ten był niegroźnym ekscentrykiem czy znawcą śmiertelnie niebezpiecznych sztuk, nie miałem innego wyboru, jak tylko dać się mu poprowadzić i pozwolić, by zadziwił mnie swymi sekretnymi rewelacjami. Tak więc zamieniłem się w słuch.

– Dla mego przodka - ciągnął łagodnym tonem - ludzka wola zdawała się posiadać pewne wyjątkowe właściwości, właściwości z rzadka podejrzewanej dominacji wywierającej wpływ nie tylko na poczynania własne i innych osób, lecz na wszelkiego rodzaju siły i rzeczy istniejące w naturze, jak również na rozliczne żywioły i wymiary wydające się jeszcze bardziej uniwersalne niżli sama natura. Czy mam jeszcze dodać, iż bluźnił on tak powszechnie uznanym świętościom, jak czas i przestrzeń,

przeprowadzając osobliwe rytuały pewnych półkwi Indian, którzy zamieszkiwali ongiś na tym wzgórzu?

Indianie ci stali się istną plagą, kiedy zbudowano tę posiadłość, i naprzykrzali się niepomiernie, domagając się, by zezwolono im na odwiedzanie tych terenów podczas każdej pełni księżyca. Przez całe lata, kiedy tylko mogli, przekradali się w określone noce przez mur i w skrytości dokonywali okrutnych, mrocznych rytuałów. W 1868 roku nowy dziedzic przyłapał ich podczas jednego z obrzędów i to, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie. Od tej pory handlował z nimi i zezwalał na odwiedzanie posiadłości, kiedy tylko tego zapragnęli, w zamian za ścisłe informacje na temat tego, co robili.

Dowiedział się, że obrzędy te były po części spuścizną ich czerwonoskórych przodków, po części zaś pochodziły od starego Holendra z czasów Stanów Generalnych. Niech go zaraza zeźre. W tydzień po tym, jak poznał tajemnicę Indian, dziedzic - czy to celowo czy przypadkiem - poczęstował ich wyjątkowo nieświeżym rumem, tak czy inaczej, pozostał jedynym człowiekiem znającym tajemnicę starego plemienia. Wy, panie, jesteście pierwszym człowiekiem z zewnątrz, który poznał prawdę o tym zdarzeniu i niech mnie piekło pochłonie, gdybym miał ryzykować jej ujawnienie, wiem wszelako, że żywo interesujecie się tego typu sprawami - przeszłością i z dawna zapomnianymi mocami.

Wzdrygnąłem się, słysząc słowa i niezwykle, pochodzące z przeszłości akcenty w jego głosie. A mój gospodarz jak gdyby nigdy nic mówił dalej.

– Musicie jednak wiedzieć, panie, że to, czego ów dziedzic dowiedział się od tych czerwonych dzikusów, stanowiło zaledwie drobną cząstkę zdobytej przezeń wiedzy. Nie na darmo uczęszczał do Oksfordu czy wiódł długie dysputy z prastarym chemikiem i astrologiem w Paryżu. Stało się dlań jasne - a teraz pragnął to jedynie udowodnić - że cały świat jest jeno dymem naszych intelektów, który przepływa obok dla wszystkich



ignorantów i wulgarnych prostaków, a którymi ludzie roztropni mogą zaciągać się z lubością niczym dymem przedniego wirgińskiego tytoniu. Jesteśmy w stanie urzeczywistnić nasze pragnienia, a to, czego nie chcemy, możemy gładko odrzucić. Nie powiem, że to wszystko jest w stu procentach prawdą, niemniej jest nią z pewnością na tyle, aby od czasu do czasu doświadczyć udatnego widowiska.

Wy, jak mniemam, z zadowoleniem przyjmujecie krótki wgląd w czasy, których ujrzania nie dozwala wam wasza wyobraźnia, przeto postarajcie się stłumić w sobie lęk przed drobnym pokazem, którego będziecie teraz świadkiem. Podejdźcie do okna i nie mówcie nic.

Gospodarz ujął mnie za rękę i podprowadził do jednego z dwóch okien w dłuższej ścianie odrażająco cuchnącego pokoju. Już pierwsze dotknięcie jego nie przyobleczonych w rękawiczkę palców zmroziło mnie do szpiku kości.

Jego ciało, choć suche i twarde, było chłodne jak lód, mało brakowało, a gwałtownie wyrwałbym rękę z nieprzyjemnego uścisku. Znów jednak pomyślałem o pustce i grozie rzeczywistości i zebrawszy w sobie śmiałość, wyruszyłem na spotkanie nieznanego. Znalazłszy się przy oknie, mężczyzna rozsunał żółte, jedwabne zasłony i nakazał, bym wyjrzał na zewnątrz. Przez chwilę nie widziałem nic oprócz miliarda drobnych, tańczących świetlnych punkcików, daleko, bardzo daleko przede mną. Wtem, jakby w odpowiedzi na sekretny ruch dłoni mego gospodarza, niebo przecięła błyskawica, a ja ujrzałem przed sobą morze bujnej roślinności, roślinności nieskalanej wszędzie tam, gdzie każdy normalny człowiek spodziewałby się zobaczyć morze dachów. Po mojej prawicy migotały zjadliwe fale Hudsonu, a w oddali, na wprost, dostrzegłem niezdrowe lśnienie rozległych, słonych trzęsawisk, nad którymi unosiły się chmary świetlików. Światło błyskawicy dogasło i złowieszczy uśmiech rozjaśnił woskowe oblicze starego nekromanty.

– To było przed moimi czasami - przed nastaniem nowego dziedzica.  
Spróbujmy raz jeszcze.

Czułem się słabo, byłem w znacznie gorszym stanie niż ten, który wywołała we mnie zniechęcająca nowoczesność przeklętego miasta.

– Dobry Boże! - wyszeptałem - czy możecie to zrobić, kiedy zechcecie?  
- A gdy skinął głową i obnażył czarne pieńki tego, co było kiedyś żółtymi kłami, schwyciłem się mocno za szyję, by nie upaść. On jednak podtrzymał mnie zimnymi jak lód szponami palców i ponownie wykonał złożony, sekretny gest.

Znowu błysnęło - lecz tym razem obraz nie był już tak obcy. Było to Greenwich, takie jak w przeszłości, tu i ówdzie widać było dachy domów, precudowne zielone alejki, pola i skrawki trawiastych plantów. W oddali wciąż skrzyły się moczary, lecz poza nimi ujrzałem już wierzchołki nowojorskich budowli - Trinity, St Paul i Brick Church górowały nad innymi, a w powietrzu unosiła się mgiełka dymu palonych drewn. Oddychałem ciężko, nie tyle wstrząśnięty samym widokiem, ile raczej możliwością, iż na mą wyobraźnię rzucony został jakiś straszliwy urok.

– Czy możecie - odważycie się - pójść jeszcze dalej? - spytałem zdjęty grozą i przez chwilę wydawało mi się, że podzielał moje odczucia, lecz w końcu znów uśmiechnął się zjadliwie.

– Dalej? To, com widział, zmieniłoby was w szalony słup soli! Wstecz i w przód, wstecz i w przód. Patrz, tępaku, patrz!

I zmełszy w ustach te słowa, wykonał jeszcze jeden gest - tym razem błysk był znacznie silniejszy niż poprzednie. Przez pełne trzy sekundy oczom moim ukazał się pandemoniczny widok, wizja, która od tej pory już zawsze prześladować mnie będzie w snach. Ujrzałem niebiosy, w których roilo się od osobliwych, latających istot, a w dole piekielne, czarne miasto z wielkimi, kamiennymi tarasami, bluźnierczymi piramidami mierzącymi

wierzchołkami ku księżycowi i diabelskimi światłami gorejącymi w niezliczonych oknach.

Na napowietrznych galeriach zaś dostrzegłem odrażające kłębowisko żółtoskórych, skośnookich mieszkańców tego miasta przyodzianych w przeraźliwe, pomarańczo-woczerwone szaty i płasających obłąkańczo w rytm wygrywany na groteskowych kotłach, obscenicznych krotalach i zawodzących upiornie rogach, których dźwięki wznosiły się i opadały niby fale bluźnierczego, bitumicznego oceanu.

Jak mówię, ujrzałem to wszystko i usłyszałem niejako w głębi duszy przeraźliwą, bluźnierczą kakofonię, która towarzyszyła tym obrazom. Ten wyjący koszmar niepojętej grozy, owo trupie miasto, którego widok przepełnił mą duszę dojmującą grozą, sprawiły, że zapomniałem o nakazie zachowania bezwzględnej ciszy i zacząłem krzyczeć. Krzyczałem, wylem i ryczałem, wysiadły mi bowiem nerwy, a ściany wokół mnie dygotały niczym galareta.

Wtem, kiedy światło pioruna przygasło, ujrzałem, że mój gospodarz drży również - wyraz wywołanego szokiem przerażenia na w pół wymazał z jego oblicza grymas zjadliwego gniewu spowodowany moimi wrzaskami. Zachwiał się i schwycił kotary, tak jak ja poprzednio, i jak ścigane zwierzę jął obracać głową z boku na bok. Bóg jeden wie, że miał po temu powód, gdyż kiedy ucichło echo mego krzyku, rozległ się kolejny odgłos tak piekielnie sugestywny, że jedynie ogólne odrętwienie i przytępienie odbieranych wrażeń pozwoliło mi zachować świadomość oraz zdrowe zmysły. Było to regularne, dziwnie ukradkowe skrzypienie schodów za zamkniętymi drzwiami, jakby wspinała się po nich cała horda bosonogich lub noszących miękkie obuwie ludzi, aż w końcu rozległo się ostrożne zrazu grzechotanie mosiężnej zasuwki, błyszczącej w wątlym świetle migoczących świec. Starzec zachwiał się na nogach i zamachnął na mnie,

zakrzywiając lodowate palce w szpony. Z jego ust wraz z kropelkami śliny popłynęły warkliwe, jakby z oporem wyrzucane słowa.

– Pełnia księżycyca... bądź przeklęty... ty... ty... skomlały psie... przywołałeś ich... idą po mnie! Stopy obute w mokasyny... umarli... niech was piekło pochłonie, czerwone diabły, nie zatrąłem waszego rumu... czyż nie strzegłem należycie sekretów magii, które mi powierzyliście?... przeklęte świnie, zaszkodził wam nadmiar alkoholu, odejdźcie, powiadam! Nie wińcie dziedzica za to, co się stało! Odejdźcie, nic tu po was! Zostawcie te drzwi...

W tej samej chwili trzy powolne i bardzo silne, nieprzypadkowe uderzenia zadygotały grubymi drzwiami, a w kącikach ust rozgorączkowanego czarownika pojawiła się piana. Jego przerażenie przerodziło się w depresję i znów poczuł przypływ wściekłości względem mnie. Chwiejnie postąpił w stronę stołu, którego brzegu kurczowo się przytrzymałem. Zasłony, które ścisnął w prawej ręce, zamachując się lewą, naprężyły się i ostatecznie runęły wraz z wyrwanym karniszem, a wewnątrz pokoju zalał blask księżycyca w pełni, srebrzyste światło rozjaśniające ciemność nieba. Migoczące świece przygasły, a cuchnący stęchlizną pokój wydał mi się jeszcze bardziej zapomniany niż dotychczas, pomieszczenie toczyła zgnilizna, boazerię zżerały korniki, klepki podłogi były wypaczone, kominek poobtłukiwany, meble stare i zniszczone, zasłony postrzępione. Wrażenie to nie ominęło również starca, choć nie wiem, czy źródłem była księżycowa poświata, czy może aura jego lęku i gorączkowej pasji, faktem jest, że ujrzałem, jak czernieje i kurczy się, podchodząc do mnie na uginających się nogach, by ponownie spróbować mnie dosięgnąć zakrzywionymi niby szpony palcami. Tylko jego oczy pozostały nie zmienione, emanując dodający mu siłą biały blask, podczas gdy reszta oblicza wokół nich marszczyła się, zapadała i przybierała barwę zwęglonego drewna.

Łomotanie narastało z minuty na minutę, aż w końcu do odgłosów głuchych uderzeń dołączył charakterystyczny zgrzyt metalu. Czarna istota naprzeciw mnie zmieniła się teraz w samą głowę z oczami, która bezskutecznie usiłowała przepełznąć w moją stronę po zapadającej się podłodze i raz po raz wyrzucała z siebie syk przepełniony niezmierzoną zjadliwością i nieśmiertelną nienawiścią. Teraz na mocno już naruszone odrzwia posypał się istny grad uderzeń, w szczelinach, jakie się na nich pojawiły, raz po raz dostrzegałem złowróźbny błysk ostrza tomahawka.

Nie ruszyłem się z miejsca, bo nie byłem w stanie, patrzyłem jedynie w niemym osłupieniu, jak drzwi rozsypują się na kawałki, by wpuścić do środka gigantyczną, bezkształtną masę atramentowej substancji upstrzoną niezliczonym mrowiem łypiących złowrogo oczu. Przelewała się szybko gęstą, oleistą strugą, jak strumień oleju przebijający przegniły bukszpryt.

Rozlewając się coraz dalej, przewróciła krzesło, aż w końcu przepłynąwszy pod stołem, dotarła na drugi koniec pokoju, gdzie wciąż łypała na mnie poczerniała głowa z oczami. Zamknęła się wokół niej, zupełnie ją pochłaniając, a w chwilę później zaczęła się wycofywać, zabierając swe niewidoczne brzemie, nawet mnie nie dotknąwszy. Wypłynęła przez poczerniałe wejście i w dół niewidocznych schodów, które zaskrzypiały jak poprzednio, tyle że dokładnie na odwrót.

Właśnie wtedy runęła podłoga, a ja osunąłem się, nawet nie krzyknąwszy, w głąb sypialni poniżej, dławiąc się pajęczynami i o mało nie tracąc przytomności z przerażenia. Zielony księżyc, świecąc przez powybijane okna, ukazał mi na wpół otwarte frontowe drzwi, a gdy podniosłem się z usłanej gruzami podłogi i, odwracając się, oderwałem wzrok od zapadniętego sufitu, ujrzałem przepływającą opodal, odrażającą falę czerni z połyskującymi w niej dziesiątkami złowrogich oczu. To szukało drzwi do piwnicy, a gdy je odnalazło, znikło w jej mrocznym wnętrzu. Jednocześnie poczułem, że również podłoga tego pokoju, tak jak

wcześniej biblioteki powyżej, zaczyna, ustępować, a gdy z góry dobiegł przeraźliwy, głuchy łomot i coś wielkiego przeleciało obok zachodniego okna, zrozumiałem, że musiały to być szczątki kopuły. Pospieszyłem czym prędzej przez korytarz ku frontowym drzwiom, a gdy okazało się, że nie mogę ich otworzyć, schwyciłem za krzesło, wybiłem okno i jak oszalały wpełzłem przez nie na zarośnięty trawnik, gdzie światło księżyca tańczyło pośród wysokich na jard chwastów i źdźbeł traw. Mur był wysoki, a wszystkie bramy zamknięte, lecz przystawiwszy sobie w rogu stertę skrzyń, zdołałem wspiąć się na górę i przywrzeć do znajdującej się na szczycie ogromnej, kamiennej urny. W stanie skrajnego wyczerpania, w jakim się znalazłem, widziałem jedynie dziwne mury, okna i stare dwuspadowe dachy. Nigdzie nie mogłem dostrzec stromej uliczki, którą tu przyszedłem, a to, co widziałem, przesłoniła niebawem gęsta mgła, która nadpłynęła od rzeki pomimo świecącego jasno księżyca. Nagle urna, którą kurczowo ścisnąłem, zaczęła dygotać, jakby udzieliło się jej moje roztrzęsienie, i nie wytrzymała tak wielkiego napięcia, gdyż w chwilę potem runąłem bezradnie w dół, ku niewiadomemu przeznaczeniu.

Mężczyzna, który mnie znalazł, stwierdził, że musiałem przepelznąć nieliczy szmat drogi pomimo pogruchotanych kości, gdyż ślady krwi ciągnęły się tak daleko, jak odważył się sięgnąć wzrokiem. Ulewny deszcz zmył niebawem szkarłatne pasma wiodące ku miejscu, gdzie przeżyłem śmiertelnie niebezpieczną przygodę, a w oficjalnym raporcie stwierdzono jedynie, że do-czołgałem się z bliżej nie określonego miejsca do wylotu niewielkiego, mrocznego podwórka w pobliżu Perry Street.

Nigdy nie próbowałem powrócić do tego posępnego labiryntu ani, gdybym nawet mógł, nie skierowałbym tam żadnego zdrowego na umyśle człowieka.

Nie mam pojęcia, kim lub też czym był ów pradawny stwór, niemniej powtarzam, że to miasto jest martwe i pełno w nim niemożliwych do

przewidzenia koszmarów. Nie wiem, dokąd on odszedł, ja natomiast powróciłem w rodzinne strony do nieskalanych alejek Nowej Anglii, które wieczorami omiata przesycona różnymi zapachami nadmorska bryza.

# SNY W DOMU WIEDŹMY

**S**ny W Domu Wiedźmy Walter Gilman nie wiedział, czy to gorączka wywołała sny, czy może raczej na odwrót. Na wszystko padał cień przyczajonej, pradawnej, plugawej grozy starego miasta i przeżartych pleśnią, bluźnierczych spadzistości dachu, pod którym pisał, studiował i borykał się z równaniami i prawami, chyba że akurat miotał się na prostym, żelaznym łóżku.

Słuch niesamowicie mu się wyczulił, osiągając prawie prymitywny poziom odbioru, będący niemal nie do zniesienia. Gilman już dawno temu zatrzymał tani zegar kominkowy, którego tykanie przywodziło mu na myśl huk dział pułku artylerii. Nocami słabe odgłosy czarnego miasta na zewnątrz, złowrogie chrobotanie szczurów w przeżartych przez robactwo ścianach wystarczyły, by odbierał je niby swoiste, diabelskie pandemonium. Mrok zawsze zdawały się przepełniać niewyjaśnione dźwięki, a jednak czasami dygotał ze strachu, póki odgłosy nie ucichły, a wówczas odbierał inne, nieco słabsze odgłosy, które, jak podejrzewał, czały się pod nimi.

Znajdował się w niezmiennym, nawiedzonym, pełnym legend Arkham, z tulącymi się do siebie dwuspadowymi dachami, zwieszającymi się i zaciemniającymi poddasza, gdzie pośród mroku, w dawnych czasach, przed ludźmi króla chroniły się czarownice. W mieście tym nie było bardziej mrocznego i owianego złą sławą miejsca niż szczytowy pokój, w którym znalazł swą przystań, w tym bowiem domu i w tym pokoju schroniła się ongiś stara Keziah Mason, która w niewiadomy po dziś dzień sposób umknęła z Salem, unikając stryczka.



Było to w 1692 roku - kat popadł w obłąd, bełkocząc o niewielkim, futrzastym stworzeniu z białymi kłami, które wybiegło z celi Keziah i nawet sam Cotton Mather nie był w stanie wyjaśnić znaczenia kątów oraz łuków nakreślonych na szarym, kamiennym murze jakimś lepkiem czerwonym płynem.

Może Gilman nie powinien był tak zawzięcie studiować. Geometria nieeuklidesowa i fizyka kwantowa mogą nadszarpnąć każdy umysł, kiedy zaś na dodatek ktoś interesuje się folklorem i usiłuje wysledzić dziwne źródła wielowymiarowej rzeczywistości na podstawie pewnych upiornych wzmianek z opowieści gotyckich i bluźnierczych plotek przekazywanych wieczorami przy kominku, trudno spodziewać się choćby częściowego wyzwolenia od silnego napięcia psychicznego. Gilman pochodził z Haverhill, lecz dopiero kiedy poszedł do college'u w Arkham, zaczął wiązać wyższą matematykę z fantastycznymi legendami o pradawnej magii. Jakaś aura tego mrocznego miasta mocno musiała wpłynąć na jego wyobraźnię. Profesorowie z Uniwersytetu Miskatonic nalegali, by choć trochę przystopował i z własnej woli zrezygnował z uczestnictwa w niektórych wykładach. Co więcej, odwiedli go od czerpania wiedzy z wątpliwej wartości ksiąg, zawierających sekrety, które przechowywano pod kluczem w skarbcu uczelnianej biblioteki.

Stało się to jednak poniewczasie, Gilman zdążył już zajrzeć do zakazanego, przerażającego Necronomiconu Abdula Alhazreda, niepełnej Księgi Eibonu i wyklętego Unaussprechlichen Kulten von Junzta, by porównać swą abstrakcyjną formułę dotyczącą właściwości przestrzeni i wymiarów - to, co znane, z nieznanym.

Wiedział, że jego pokój znajdował się w starym Domu Wiedźmy i właśnie dlatego go wynajął. W kronikach hrabstwa Essex sporo było wzmianek o procesie Keziah Mason, a to, co wyznała na torturach sądowi Oyer i katu, bez reszty zafascynowało Gilmana. Opowiedziała sędziemu

Hathorne'owi o liniach i krzywych, które można nakreślić, wyznaczając kierunki wiodące poprzez ściany przestrzeni do zupełnie innych miejsc, poza nimi. Sugerowała przy tym, że wzmiankowane linie i krzywe były często używane podczas pewnych spotkań o północy w ciemnej dolinie białych kamieni za Meadow Hill i na bezludnej wysepce na rzece. Wspomniała także o Czarnym Człowieku, o swej przysiędze i o nowym, sekretnym nahabejskim imieniu. A potem nakreśliła te linie na ścianie swojej celi i zniknęła.

Gilman uwierzył w dziwne rzeczy dotyczące Keziah i przeszył go dziwny dreszcz, gdy dowiedział się, iż jej dom stał jeszcze, od ponad dwustu trzydziestu pięciu lat. Kiedy doszły go słuchy, jakoby Keziah po dziś dzień pojawiała się w starym domu i wąskich uliczkach opodal, gdy dowiedział się o nieregularnych śladach ludzkich zębów pozostawianych na ciałach niektórych śpiących, zarówno w tym, jak i w sąsiednich domach, o dziecięcych krzykach rozlegających się podczas Wiosennego Przesilenia i wigilii Wszystkich Świętych, o feterze wyczuwalnym często na poddaszu starego domu po tych dwóch przerażających okresach w roku, a także o małym kudłatym stworzeniu o ostrych zębach nawiedzającym obracającą się w ruinę budowlę i z zawziętością nękającym ludzi w najciemniejszą noc, tuż przed świtem, postanowił, że za wszelką cenę musi tam zamieszkać.

Wynajęcie pokoju nie było trudne. Dom był wszak mało popularny, ludzie niechętnie w nim mieszkali i dawno już obniżono tu ceny czynszu do minimum. Gilman nie mógł powiedzieć, co spodziewał się tam odnaleźć, wiedział jednak, że chciał znaleźć się w budynku, gdzie wskutek jakichś okoliczności, bardziej lub mniej gwałtownie, pewna stara kobieta z siedemnastego wieku posiadała wiedzę matematyczną wykraczającą być może poza największe współczesne osiągnięcia Plancka, Heisenberga, Einsteina i de Sittera. Badał belki i gipsowe ściany w poszukiwaniu

tajemniczych znaków we wszystkich dostępnych miejscach, gdzie tapeta złuszczyła się i odwinęła, a w ciągu tygodnia udało mu się wynająć pokój na poddaszu, od wschodu, gdzie Keziah uprawiała swoje czary. Pokój stał pusty niemal od początku, nikt bowiem nie chciał zabawić w nim dłużej, niemniej właściciel domu, z pochodzenia Polak, w sprawie wynajmu tego pomieszczenia okazał się wyjątkowo nieufny. Gilmanowi wszelako nic się nie stało, aż do dnia, kiedy dostał tej gorączki. Nie ujrzał widmowej postaci Keziah, przepływającej przez posępne korytarze i pokoje, ani małej, pokrytej sierścią istoty wślizgującej się co noc na poddasze, by go dręczyć. W swych poszukiwaniach nie natknął się nawet na zapisy inkantacji. Bywało, że spacerował zaciemnionymi, niebrukowanymi alejkami, cuchnącymi wilgocią i grzybem, przy których czaiły się przycupnięte blisko siebie przeraźliwe, brązowe domy, liczące sobie Bóg wie ile lat, nachylone, rozchwierutane i łypiące drwiąco wąskimi oknami o małych, kanciastych szybkach. Wiedział, że tu właśnie wydarzyło się ongiś wiele dziwnych rzeczy i coś zdawało się sugerować, że pomimo pozorów spokoju upiorna przeszłość, ta najmroczniejsza, najbardziej wstydliva i zakazana, wciąż była żywa i miała się całkiem nieźle - przynajmniej wśród niektórych z tych krętych, wąskich uliczek.

Dwukrotnie wybrał się również łódką na owianą złą sławą wysepkę na rzece, szkicując osobliwe kąty przybierane przez rzędy omszałych, szarych, stojących kamieni, których pochodzenie jest niejasne, zagubione gdzieś w pomroce dziejów.

Pokój Gilmana był spory, lecz o dziwnie nieregularnym kształcie, północna ściana lekko nachylona do wewnątrz, podczas gdy niski sufit opadał delikatnym skosem w tę samą stronę. Pomijając szcurze nory i ślady pozostawione przez inne nocne stworzenia, nie było dostępu ani nawet śladu dawnego dojścia do wnęki, która musiała istnieć pomiędzy ukośną ścianą a prostym zewnętrznym murem domu od strony północnej,

aczkolwiek w ścianie widocznej z ulicy można było wyraźnie dostrzec okno, dawno temu zabite deskami. Poddasze nad pokojem, które musiało mieć spadzistą podłogę, było równie niedostępne.

Kiedy Gilman wspiął się po drabinie na zasnuty pajęczynami stryżek nad resztą poddasza, odkrył pozostałości dawnych szczelin, otworów zabitych skrzętnie starymi deskami i zabezpieczonych twardymi, drewnianymi kołkami, typowymi dla ciesielki z czasów kolonialnych. Żadne jednak słowa perswazji nie były w stanie przekonać nieugiętego właściciela domu, by pozwolił mu spenetrować którąś z tych zamkniętych przestrzeni.

W miarę upływu czasu jego zainteresowanie nieregularną ścianą i sufitem w pokoju narastało, zaczął bowiem nadawać osobliwym kątom matematycznego znaczenia, które dość jeszcze niejasno poczęło zdradzać mu ich rzeczywiste przeznaczenie. Stara Keziah, konstatował, musiała mieć swoje powody, by żyć w pokoju o tak dziwacznie wzniesionych ścianach, czyż bowiem sama nie wyznała, że to właśnie dzięki pewnym układom kątowym zdołała wydostać się poza granice przestrzeni znanego nam świata? Jego zainteresowania z wolna przeniosły się z nie badanych pustych przestrzeni za ukośnie ułożonymi powierzchniami na same powierzchnie, a ściślej mówiąc, na cel, jaki wytyczał ich szczególny układ.

Pierwsze symptomy zapalenia opon mózgowych, a wraz z nimi sny, wystąpiły z początkiem lutego. Już od jakiegoś czasu niezwykle kąty ścian w pokoju Gilmana zaczęły wywierać nań dziwny, nieomal hipnotyczny wpływ.

W miarę zaś trwania mroźnej, posępnej zimy coraz częściej popatrywał on z uwagą w róg pomieszczenia, gdzie opadający sufit stykał się z wychyloną do wewnątrz ścianą. W okresie tym Gilman przejmował się mocno niemożnością skoncentrowania się na nauce, obawiał się nadchodzących egzaminów semestralnych. Jednak nadpobudliwość

słuchowa równie mocno dawała mu się we znaki. Życie stało się nieustającą, prawie niemożliwą do zniesienia kakofonią rozmaitych odgłosów i, co gorsza, zaczął on również odbierać inne, rozlegające się bez przerwy dźwięki, dochodzące być może z nieznanymi obszarami poza światem żyjących - balansujące na granicy słyszalności. Jak dotąd, najbardziej nieprzyjemnymi znajomymi dźwiękami było szuranie szczurów w starych ścianach. Czasami ich skrobanie wydawało się nie tylko ukradkowe, ale wręcz celowe. Gdy dochodziło spoza pochyłej ściany północnej, mieszało się z dziwnym, jakby suchym chrzęstem, a kiedy rozlegało się od strony zamkniętego od wieków poddasza nad pochyłym sufitem, Gilman zawsze zastygał w pełnym niepokoju bezruchu, jakby spodziewał się czegoś strasznego, jakiegoś niewysłowionego koszmaru, który, co prawda nierychliwy, zjawi się któregoś dnia, by go ostatecznie pochłonąć.

Sny były pozbawione choć odrobiny zdrowego rozsądku, a Gilman poczuł, że muszą być wypadkową jego zainteresowań i dogłębnych badań z dziedziny nauki i etnografii. Zbyt wiele rozmyślał o niejasnych przestrzeniach, które, zgodnie z tym, co mówiły mu jego prawa, musiały leżeć poza znanymi nam trzema wymiarami, a także o możliwości, że Keziah Mason, za sprawą jakiegoś niepojętego impulsu czy wpływu, zdołała odnaleźć bramę do tych obszarów. Pożółkłe ze starości kroniki zawierające zeznania jej i jej oskarżycieli były tak niesamowicie sugestywne we fragmentach mówiących o rzeczach wykraczających poza znane ludziom doświadczenia, a także w opisach nader ruchliwej, kosmatej istoty, służącej jej jako chowaniec, że pomimo niesamowitości szczegółów wydawały się boleśnie wręcz realistyczne.

Wspomniane stworzenie, nie większe niż spory szczur i nazywane przez miejscowych „Brązowym Jenkinem”, zdawało się owocem łagodnego przypadku masowej hysterii, gdyż w roku 1692, ni mniej, ni więcej, tylko

jedenaście osób twierdziło, że go widziało. Były też świeższe plotki - kłopotliwe zeznania powszechnie szanowanych rzeczowych osób, które trudno uznać za fałszywe, potwierdzające się w znacznej liczbie szczegółów.

Świadkowie twierdzili, że stworzenie miało długą sierść i wygląd szczura, lecz jego brodate oblicze z ostrymi jak igły zębami, choć złowrogie, przypominało ludzkie, łapy zaś wyglądały jak ludzkie ręce. Istota była posłańcem pomiędzy starą Keziah a diabłem, karmiła się krwią więdźmy, wysysając ją niby wampir. Jej głos przypominał odrażający chichot, a umiała mówić wieloma językami. Spośród wszystkich ohydnych okropności pojawiających się w snach Gilmana, nic nie przepełniało go większą paniką i odrazą niż owa drobna, acz bluźniercza hybryda, której postać jawiła się w jego wizjach, po tysiąckroć bardziej nienawistna, aniżeli mogło to wynikać z lektury na jawie pradawnych kronik i cierpliwego przysłuchiwania się powtarzanym pokątnie plotkom.

Sny Gilmana w dużej mierze dotyczyły lotów pośród bezkresnych otchłani zmierzchu o dziwnych barwach, wśród których rozlegała się oszałamiająca kakofonia niepokojących dźwięków; otchłani, których własności, tak grawitacyjnych, jak materialnych, a także ich relacji wobec jego własnej istoty nie potrafił ani nie próbował wyjaśniać. Nie chodził ani nie wspinał się, nie latał ani nie pływał, nie wił się ani nie pełznął, a jednak doświadczał wrażenia ruchu, na poły umyślnie, na poły nieumyślnie. Co się tyczyło jego własnego stanu, nie potrafił ocenić go właściwie., gdyż ze względu na jakieś dziwne zakrzywienie perspektywy nie mógł dostrzec swoich rąk, nóg ani torsu, czuł jednak, że jego ciało fizyczne oraz zdolności uległy bliżej nieokreślonej, cudownej transmutacji i deformacji rzutu, choć pozostawały w pewnym, dość groteskowym związku z jego normalnymi właściwościami i proporcjami.

Otchłania nie były bynajmniej nie zamieszkane, wypełniały je charakteryzujące się niemożliwymi do opisanego kątami i układami płaszczyzn masy substancji o nieludzkich odcieniach, niektóre z nich wydawały się organiczne, inne zaś nieorganiczne.

Kilka obiektów organicznych obudziło w jego umyśle odległe, mgliste wspomnienia, choć nie potrafił powiedzieć, co na swój ironiczny sposób przypominały lub sugerowały. W późniejszych snach zaczął rozróżniać odrębne kategorie, na które owe obiekty organiczne zdawały się dzielić i które w każdym przypadku wyraźnie segregowały gatunki, ze względu na ich styl zachowania i podstawy motywacyjne. Spośród tych kategorii jedna grupowała obiekty nieco mniej nielogiczne i irracjonalne w ich poczynaniach aniżeli członkowie innych kategorii.

Wszystkich tych obiektów zarówno organicznych, jak i nieorganicznych nie sposób opisać, a co dopiero zrozumieć. Gilman porównywał niekiedy materię nieorganiczną do pryzmatów, labiryntów, połączonych sześciątów i płaszczyzn, a także gigantycznych budowli; organiczne natomiast rozróżniał jako bąble, ośmiornice, wijące się żywych hinduskich bożków i skomplikowane arabeski, poruszające się płynnymi, węzłowymi ruchami. Wszystko, co ujrzał, było niewypowiedziane złowrogi i przerażające, kiedy zaś którakolwiek z organicznych istot swymi ruchami dawała mu do zrozumienia, że go zauważyła, fala upiornego, dojmującego lęku, który go wówczas ogarniał, powodowała, iż natychmiast się budził.

O tym, jak poruszały się istoty organiczne, nie potrafił powiedzieć więcej niż o samym sobie. W pewnym momencie zauważył kolejną zagadkę - tendencję do pojawiania się pewnych istot jakby znikąd lub znikania z równie niezrozumiałą gwałtownością.

Wycie i przeraźliwe ryki przenikające najdalsze zakamarki otchłani były niezbadane, czy to pod względem tembru, rytmu czy wysokości, wydawały się jednak zsynchronizowane z mglistymi zmianami wizualnymi,

zachodzącymi u wszystkich tych nieskończonych obiektów, pospołu organicznych i nieorganicznych. Gilman odczuwał przez cały czas lęk, którego intensywność zdawała się urastać do niewyobrażalnych rozmiarów podczas kolejnych niejasnych, niepokojąco nieuchronnych fluktuacji. Nie w tej wszelako obcej domenie spostrzegł Brązowego Jenkina. Ów szokujący koszmar został zarezerwowany dla pewnych lżejszych, ostrzejszych snów, które nawiedzały go, nim głębiej zatapiał się w objęciach Hypnosa. Leżał pośród malw, usiłując nie zapaść w sen, gdy nagle słaba, migocząca poświata rozjaśniała starodawny pokój, ukazując wśród fioletowej mgły konwergencję pochyłych płaszczyzn, które tak dogłębnie zaprzętały jego umysł. Groza wychynęła najprawdopodobniej ze szczurzej dziury w kącie i po-truchtała do niego po podłodze wyłożonej szerokimi, zapadającymi się deskami, z wyrazem złowrogiego oczekiwania na małym, brodatym, ludzkim obliczu; szczęśliwie jednak sen ów zawsze kończył się, zanim istota zdołała zbliżyć się doń na tyle, by mogła go dotknąć. Miała diabelnie długie, ostre, psie zęby.

Gilman każdego dnia usiłował zabić otwór szczurzej nory, nocą jednak jej mieszkańcy, kimkolwiek byli, przegryzali się przez przeszkodę. Któregoś dnia właściciel domu zabił otwór kawałkiem blachy, lecz tej samej nocy szczury wygryzły w niej nowy otwór, wypychając przy tym czy wywlekając na zewnątrz, do pokoju, dziwny, mały kawałek kości.

Gilman, mimo gorączki, nie poszedł do lekarza, wiedział bowiem, że nie zdałby egzaminów, gdyby polecono mu zgłosić się do uczelnianej przychodni, podczas gdy każdą wolną chwilę powinien obecnie przeznaczyć na zakuwanie. I tak był już do tyłu z matematyką i psychologią ogólną, choć liczył, że zdoła przed końcem semestru nadrobić zaległości.

Z początkiem marca do jego snów wkradł się nowy szczegół, a koszmarnemu wizerunkowi Brązowego Jenkina zaczął towarzyszyć zamglony kształt, coraz bardziej przypominający przygarbioną, starą



kobietę. Wizja ta zaniepokoiła go niepomiernie, lecz ostatecznie uznał, że w osobliwy sposób przypomina ona staruchę, którą spotkał dwukrotnie w mrocznym labiryncie uliczek przy opuszczonym, odludnym nabrzeżu. W czasie owych spotkań złe, sardoniczne i dziwnie przenikliwe spojrzenia niewiarygodnie starej babiny przyprawiały go o gęsią skórkę, zwłaszcza za pierwszym razem, kiedy wyjątkowo duży szczur, wybiegający z mroku sąsiedniego zaułka całkiem irracjonalnie przywiódł mu na myśl Brązowego Jenkina. Teraz, jak skonstatował, owe nerwowe lęki odzwierciedlały się w jego chaotycznych, posępnych snach.

Nie mógł zaprzeczyć, że stary dom wywierał nań zły wpływ, lecz jego mroczne zainteresowania, pozostałość z dawnych lat, nie pozwalały mu się stamtąd wyprowadzić. Domniemywał, że za jego mroczne fantazje w całości odpowiedzialna była gorączka i gdy tylko ta osłabnie, upiorne wizje odejdą.

Były to wszelako widzenia zdumiewająco wyraziste, żywe i przekonujące, a gdy się budził, doznawał osobliwego odczucia, że doświadczył więcej, aniżeli pamiętał. Miał przeraźliwą pewność, że w tych nie zapamiętanych snach rozmawiał zarówno z Brązowym Jenkinem, jak i starą kobietą i że oboje oni namawiali go, by udał się z nimi na spotkanie z trzecią, wielkiej mocy istotą.

Pod koniec marca zaczął nadrabiać zaległości z matematyki, choć inne studia pochłaniały go coraz bardziej. Doznał intrygującego olśnienia związanego z rozwiązaniem równań Riemannowskich i zdumiał profesora Uphama swoim pojmowaniem problematyki czwartego wymiaru oraz innych zagadnień, które dla reszty klasy były czarną magią. Któregoś popołudnia podczas dyskusji na temat możliwości osobliwych zakrzywień przestrzeni i teoretycznych pomiarów zbliżenia czy nawet kontaktów pomiędzy naszą częścią wszechświata a najróżniejszymi odległymi zakątkami przestrzeni kosmicznej, w rodzaju najdalszych gwiazd, otchłani

transgalaktycznych czy miejsc tak bajecznych i odległych, jak kontrowersyjnie pojmowane jednostki kosmiczne, znajdujące się poza całym einsteinowskim kontinuum czasoprzestrzennym, Gilman, zabrawszy głos, zdumiał wszystkich znajomością tematu, choć niektóre z hipotez wywołały później nową falę plotek na temat jego nerwowej, wynikłej z samotnego trybu życia, ekscentryczności. Studenci kręcili głowami, słysząc śmiałą teorię, że człowiek byłby w stanie - dysponując wiedzą matematyczną wykraczającą poza wszelkie znane nam obecnie dokonania w tej dziedzinie - przenieść się rozmyślnie z Ziemi na wybrane przez siebie uprzednio ciało niebieskie, mogące znajdować się w bliżej odeń niesprecyzowanej lub nawet nieskończenie wielkiej odległości w przestrzeni kosmicznej.

Krok taki, stwierdził, wymagałby dwóch jedynie etapów - po pierwsze, wyjścia ze znanej nam sfery trójwymiarowej i, po drugie, powrotu w konkretnym punkcie do tejże przestrzeni, punktów tych natomiast może być nieskończenie wiele. O tym, iż jest to możliwe bez rozstawania się z życiem, świadczy mnóstwo przypadków. Prawdopodobnie każda istota z przestrzeni trójwymiarowej jest w stanie przeżyć w czwartym wymiarze, ale jej przetrwanie drugiego etapu zależy od tego, jaką obcą część przestrzeni trójwymiarowej wybierze na miejsce swego powrotu. Mieszkańcy niektórych planet mogą żyć na wielu innych, nawet tych znajdujących się w innych galaktykach lub w zbliżonych fazami wymiarowymi innych kontinuumach czasoprzestrzennych, lecz, rzecz jasna, istnieć musi cała reszta światów niebezpiecznych dla obu stron, czy to ze względu na matematyczne zestawienie ciał czy sfer przestrzeni.

Było również możliwe, że mieszkańcy danej krainy wymiarowej przeżyją wejście do wielu nieznanych i niepojętych światów wielu bądź nieskończenie wielu wymiarów czy to wewnątrz czy na zewnątrz danego kontinuum czasoprzestrzeni - i na odwrót. Sprawa ta podlegała naturalnie

dyskusji, lecz można było mieć niemal pewność, że rodzaj mutacji zapoczątkowany przejściem z danej płaszczyzny wymiarowej na inną nie będzie w pełni destrukcyjny dla biologicznej integralności człowieka, w naszym pojmowaniu tego określenia. Gilman nie miał pewności co do założeń tego ostatniego przypuszczenia, lecz tę mglistą wątpliwość przyćmiewało niezbite przekonanie co do prawdziwości innych, bardziej wstrząsających zagadnień.

Profesorowi Uphamowi najbardziej przypadła do gustu jego demonstracja wiedzy z zakresu wyższej matematyki w połączeniu z pewnymi elementami pradawnej wiedzy magicznej, o ludzkim lub nawet praludzkim rodowodzie, przewyższająca w znacznym stopniu nasze możliwości pojmowania wszechświata oraz rządzących nim praw.

Z początkiem kwietnia Gilman zaczął się poważnie martwić, gdyż gorączka, która go nękała, bynajmniej nie spadała. Ponadto zaniepokoiły go doniesienia współlokatorów o rzekomych przypadkach jego chodzenia we śnie.

Wydawało się, że często wstawał z łóżka, a mężczyzna mieszkający w pokoju niżej donosił o skrzypieniu desek podłogi w późnych godzinach nocnych.

Człowiek ten wspominał też, jakoby słyszał nocami odgłos obutych stóp, lecz Gilman był pewien, iż tamten się mylił, gdyż buty jak i reszta przyodziewku znajdowała się rano tak, jak je pozostawił. W tym mrocznym starym domu urojenia słuchowe nie należały do rzadkości, czyż bowiem sam Gilman nie odnosił teraz wrażenia, że z mrocznych czeluści za pochyłymi ścianą i dachem dochodziły inne jeszcze, poza szczerzym skrobaniem, odgłosy? Jego boleśnie wyczulone zmysły zaczęły nasłuchiwać dochodzących z zamkniętego poddasza kroków i niekiedy złudzenia okazywały się nad wyraz realne.

Wiedział wszelako, że stał się somnambulikiem, dwakroć bowiem nocą jego pokój zastano pusty, choć ubranie leżało na swoim miejscu. Zapewnił go o tym Frank Elwood, kolega ze studiów, którego bieda zmusiła do wynajęcia pokoju w tym mrocznym, obskurnym i powszechnie nie lubianym domu.

Elwood uczył się do rana i zajrzał do pokoju Gilmana z prośbą o pomoc w rozwiązaniu pewnego szczególnie trudnego równania, lecz mieszkanie zastał puste. Może nie powinien był otwierać nie zamkniętych na klucz drzwi, gdy nie uzyskał odzewu na swoje, dość natarczywe pukanie, lecz potrzebował pilnie pomocy i przypuszczał, że nawet obudzony, jego przyjaciel nie będzie miał mu tego za złe. Ani za pierwszym, ani za drugim razem Gilmana nie było w pomieszczeniu, a kiedy mu o tym wspomniano, zastanawiał się, dokąd mógł się udać, boso i tylko w piżamie. Postanowił rozwikłać tę zagadkę, jeśli doniesienia o jego lunatyzmie będą się powtarzały, myślał nawet o rozsypaniu mąki na podłodze w korytarzu, aby stwierdzić, w którą stronę się udał, lunatykując. Domniemywał, że wychodził drzwiami, gdyż za wąskim oknem nie było najwęższego nawet parapetu.

Dni mijały, a wyostrzony gorączką słuch Gilmana zaczęły drażnić modlitwy głośno odmawiane przez nader pobożnego mechanika nazwiskiem Joe Mazurewicz, który miał swój pokój dwa piętra niżej. Mazurewicz opowiadał długie, szaleńcze historie o duchu starej Keziah i kudłatej obrzydliwej istoty o długich kłach i dodawał, że zjawy te nękały go tak okrutnie, że tylko srebrny krucyfiks - otrzymany z tego właśnie względu od ojca Iwanickiego z kościoła św. Stanisława - był w stanie przynieść mu ulgę. Teraz modlił się, gdyż niedaleko już było do sabatu czarownic. Zbliżał się maj, a wraz z nim Noc Walpurgii, kiedy na ziemię przybywały demony z najczarniejszych otchłani piekieł, a wszyscy niewolnicy Szatana zbierali się, by dokonywać plugawych czynów i wypełniać bluźniercze obrzędy. W

Arkham zawsze był to fatalny okres, choć prawi mieszkańcy domów przy Miskatonic Avenue oraz ulic High i Saltonstall udawali, że nic o tym nie wiedzą. Wydarzy się wiele złych rzeczy i być może również zaginie kilkoro dzieci. Joe wiedział o tym, gdyż jego babka w Starym Kraju słyszała różne opowieści od swojej babki.

O tej porze roku rozsądnie było modlić się i odmawiać różaniec. Przez trzy miesiące Keziah i Brązowy Jenkin nie zbliżali się do pokoju Joe ani Paula Choińskiego, a to nie mogło oznaczać nic dobrego. Widać coś szykowali.

Szesnastego Gilman poszedł do lekarza i z pewnym zdumieniem dowiedział się, że nie miał tak wysokiej temperatury, jak się obawiał. Lekarz zadał mu kilka krótkich, rzeczowych pytań i poradził mu, by skontaktował się z psychiatrą. Po namyśle Gilman ucieszył się, że nie zdecydował się na wizytę u lekarza uczelnianego, który był bardziej dociekliwy. Stary Waldron, u którego zasięgał porad wcześniej, poradziłby mu dłuższy odpoczynek, co zwłaszcza teraz, gdy był bliski rozwiązania swoich równań, nie wchodziło w rachubę. Tak niewiele dzieliło go od granicy znanego nam wszechświata i czwartego wymiaru, a kto wie, jak daleko mógł ostatecznie dotrzeć?

Równocześnie zaczął się zastanawiać nad źródłem owej dziwnej pewności siebie. Czy ta złowroga bliskość brała się z formuł, którymi dzień po dniu zapełniał teraz kartki papieru? Te mylne, ukradkowe, wyimaginowane kroki na zamkniętym poddaszu doprowadzały go do obłądu. Teraz zaś narastało w nim przeczucie, że ktoś stale próbuje nakłonić go do czegoś, czego nie był w stanie uczynić. A co z somnambulizmem? Dokąd udawał się nocami? I co począć ze słabym dźwiękiem, który, jak mu się wydawało, nawet za dnia, na jawie przewiercał się przez natłok łatwych do zidentyfikowania odgłosów?

Jego rytm nie korelował z żadnym znanym dotąd na Ziemi, z wyjątkiem być może kadencji jednego lub dwóch niewypowiedzianych sabatowych zaśpiewów, i czasami Gilman odnosił wrażenie, że miał on coś wspólnego z mglistymi, niejasnymi wrzaskami czy rykiem dochodzącym z obcych, niegościnnych otchłani snu.

Sny tymczasem stawały się coraz gwałtowniejsze. Zła stara kobieta wydawała się teraz znacznie bardziej złowroga niż dotychczas, a Gilman wiedział, że to właśnie ona wystraszyła go w dzielnicy nędzy. Przygarbiona, długonosa, o cofniętym podbródku - nie mógł się omylić - wrażenia dopełniał bezkształtny brązowy ubiór. Na jej twarzy malował się wyraz odpychającej wrogości i rozbawienia, a kiedy się budził, pamiętał jeszcze jej głos, który przekonywał i groził. Musiał spotkać się z Czarnym Człowiekiem i udać się potem wraz z nim przed tron Azathotha do jądra ostatecznego chaosu. Tak powiedziała.

Musiał podpisać księgę Azathotha własną krwią i przyjąć nowe, sekretne imię, właśnie teraz, gdy jego tajemne studia posunęły się tak daleko. Przed pójściem z nią i Brązowym Jenkinem do tronu Chaosu, gdzie cienkie flety wygrywały obłądne melodie, powstrzymywał go fakt, że w Necronomiconie natknął się na imię „Azathoth” i wiedział, że oznaczało ono pierwotne zło, zbyt przeraźliwe, by można je opisać.

Stara kobieta pojawiała się zawsze znikąd, w kącie u zbiegu pochyłej ściany z sufitem. Zdawała się materializować bliżej sklepienia niż podłogi i każdej nocy wydawała się nieco bliższa i bardziej wyrazista. Podobnie Brązowy Jenkin, który z każdym snem coraz bardziej przybliżał się ku niemu, a jego żółtobiałe kły połyskiwały posępnie w nieziemskiej, fioletowej poświacie.

Jego piskliwy odrażający chichot coraz częściej rozlegał się nawet na jawie w umyśle Gilmana, rankiem zaś Walter przypomniał sobie wypowiedziane przez istotę słowa - „Azathoth” i „Nyarlathotep”.

W głębszych snach wszystko było równie wyraziste, a Gilman zorientował się, że spowite poświatą zmierzchu otchłanie wokół niego były domeną czwartego wymiaru. Owe organiczne istoty, których ruchy zdawały się najmniej absurdalne i nieprzemyślane, stanowiły zapewne projekcję form życia z naszej własnej planety, w tym również ludzi. Czym były inne, nie ważył się nawet domniemywać. Dwie z mniej irracjonalnie poruszających się istot, raczej spore skupisko opalizujących, sferoidalnych bąbli oraz znacznie od niego mniejszy polihedron o nieznanym barwach i gwałtownie zmieniających się kątach powierzchni najwyraźniej go dostrzegły i albo podążyły za nim, albo płynęły tuż przed nim, gdy zmieniał pozycję pośród gigantycznych pryzmatów, labiryntów, gromad sześciątów i płaszczyzn oraz quasi-budowli. Przez cały czas niejasne wrzaski i ryki coraz bardziej przybierały na sile, jakby zbliżały się do osiągnięcia jakiegoś przerażającego crescendo o niemożliwym do zniesienia, nieopisanym, niewyobrażalnym wręcz natężeniu intensywności.

Nocą z dziewiętnastego na dwudziestego kwietnia wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Gilman na wpół mimowolnie przemierzał otchłanie zmierzchu wraz z masą bąbli i niewielkim polihedronem, gdy nagle spostrzegł osobliwie regularne kąty utworzone przez krawędzie jakiegoś gigantycznego zbiorowiska pryzmatów, znajdującego się nieopodal. W następnej sekundzie wyrwał się z głębiny i stanął drżący na kamiennym stoku skąpanym w intensywnym, rozrzedzonym zielonym świetle. Był boso i w koszuli nocnej, a gdy spróbował iść, przekonał się, że podnoszenie stóp przychodzi mu z ogromnym trudem. Wirujący opar skrył wszystko, z wyjątkiem najbliższej pochyłości, a Gilman aż się skulił, usiłując nie myśleć, jakie odgłosy mogą wypłynąć spośród tej osobliwej mgły.

Naraz ujrział dwa kształty pełzające mozolnie w jego kierunku, starą kobietę i małe, kosmate stworzenie. Starucha podciągnęła się na kolana i w

niezwykłym geście skrzyżowała ramiona, podczas gdy Brązowy Jenkin wskazał kierunek swą odrażającą antropoidalną przednią kończyną, unosząc ją z wyraźnym trudem. Pod wpływem bliżej niesprecyzowanego impulsu Gilman zaczął brnąć przed siebie w stronę wskazywaną mu przez kudłatego stworka i układ rąk starej wiedźmy. Zanim, powłócząc nogami, zrobił trzy kroki, zapadł się znowu w otchłań skąpaną blaskiem wiecznego zmierzchu.

Wokół niego gromadziły się mrowia geometrycznych kształtów, wśród których ogarnęło go nagłe oszołomienie i wrażenie bezkresu. W końcu obudził się w swoim łóżku, w pokoju na piętrze tego niezwykłego, budzącego grozę starego domu.

Tego ranka czuł się bardzo zmęczony i nie poszedł na zajęcia. Coś tajemniczego najwyraźniej przykuwało jego wzrok, gdyż nie był w stanie oderwać oczu od pewnego, na pozór zwyczajnego miejsca na podłodze.

Nieco później skupił swój niewidzący wzrok na zupełnie innym punkcie, a w południe jak otępiały zaczął wpatrywać się w pustkę. Około drugiej wybrał się na obiad, a przemierzając wąskie uliczki miasta, wędrował przez cały czas na południowy wschód. Dopiero zmęczenie skłoniło go do zajścia do kafejki przy Church Street, kiedy zaś się posilił, znów odczuł ów silny, nieznany i nieprzeparty impuls. Będzie musiał w końcu odwiedzić psychiatrę - może w tym wszystkim istniał jakiś związek z jego somnambulizmem, lecz póki co, powinien sam spróbować przełamać zły czar. Bez wątpienia mógł jeszcze wyzwolić się od przyciągającej go siły, dlatego też, z wielkim wahaniem, stawiał jej czoło i skierował się na północ, wzdłuż Garrison Street. Zanim dotarł do mostu na Miskatonic, był zlany zimnym potem i kurczowo ścisnął żelazną poręcz, wpatrując się w górę rzeki, na okrytą złą sławą wyspę, której regularne linie ustawionych pionowo kamiennych bloków lśniły posepnie w popołudniowym słońcu.

I nagle ogarnęło go przerażenie. Na ogromnej wyspie ujrzał bowiem wyraźnie sylwetkę ludzką, a ponowne spojrzenie upewniło go, że miał



przed sobą dziwną, starą kobietę, której złowroga postać nawiedzała jego sny, zmieniając je w koszmary. Wysoka trawa wokół niej również się poruszała, jakby tuż nad ziemią u jej stóp pełzało jakieś małe stworzenie. Kiedy starucha zaczęła odwracać się ku niemu, zbiegł z mostu i ukrył się w labiryncie uliczek na nabrzeżu. Mimo odległości dzielącej go od wyspy czuł, że monstrualne i niepokonane zło w każdej chwili mogło napłynąć doń w sardonicznym spojrzeniu tej zgiętej w pół pradawnej postaci w brązowym odzieniu.

Wciąż coś ciągnęło go na południowy wschód, toteż nie bez trudu Gilman wrócił wreszcie do starego domu i wspinał się po rozchwierutanych schodach.

Przez wiele godzin siedział milczący i zrezygnowany, ze wzrokiem skierowanym ku zachodowi. Około szóstej po południu jego wyczulone uszy wychwyciły zawodzący głos modlącego się dwa piętra niżej Joe Mazurewicza i ogarnięty desperacją schwycił kapelusz i wypadł na ozłoconą promieniami słońca ulicę, pozwalając się prowadzić nieodpartemu instynktowi w nieznaną.

W godzinę później zmrok zastał go na polu za kacim potokiem; w dali przed nim migotały pierwsze gwiazdy. Pragnienie marszu zastąpiła nagle nieprzeparta chęć dokonania mistycznego przeskoku w kosmos i wtedy zorientował się, co było źródłem trawiącego go impulsu. Niebo. Konkretny punkt pośród gwiazd obrał go sobie za cel i przyzywał.

Był to punkt leżący pomiędzy Hydrą a Argo Navis. Gilman wiedział, że zew ten towarzyszył mu od chwili, kiedy obudził się tego ranka, po wschodzie słońca. Rano miał owo miejsce pod stopami, teraz natomiast leżało ono na południe, a ściślej na południowy zachód od niego. Co to mogło oznaczać?

Czyżby tracił zmysły? Jak długo to potrwa? Gilman znów zebrał się w sobie i zawrócił do złowrogiemu, starego domu.

Mazurewicz czekał na niego w progu i z pewnym niepokojem, ale i wahaniem zaczął szeptać mu nowe, wywodzące się zapewne ze starych legend historie. Mówiły o wiedźmim świetle. Poprzedniego wieczoru Joe nie było w domu - w Massachusetts był Dzień Patriotów - i wrócił dobrze po północy. Spoglądając na dom z zewnątrz, w pewnej chwili odniósł wrażenie, że w pokoju Gilmana jest ciemno, gdy wtem dostrzegł bijącą z wnętrza słabą, fioletową poświatę. Chciał ostrzec młodego dżentelmena przed tym światłem, gdyż wszyscy w Arkham wiedzieli, że to wiedźmie światło Keziah, które pojawiało się w pobliżu Brązowego Jenkina i ducha samej starej czarownicy.

Wcześniej o tym nie mówił, teraz jednak nie miał wyboru, gdyż znaczyło to, że Keziah i jej długo-zęby chowaniec nawiedzał młodzieńca po nocach.

Któregoś razu on, Paul Choiński i właściciel domu, Dombrowski, odnieśli wrażenie, że dostrzegają światło przeświecające przez szczeliny zamkniętego na cztery spusty poddasza nad pokojem studenta, lecz zgodnie uznali, że nikomu więcej o tym nie powiedzą. Będzie chyba lepiej dla młodego dżentelmena, jeżeli niezwłocznie zajmie jakiś inny pokój i zdobędzie krucyfiks od porządnego, uczciwego księdza, takiego, jak ojciec Iwanicki.

Mężczyzna mówił bez chwili przerwy, a Gilman poczuł dojmujący lęk, ściskający go za gardło. Wiedział, że wczoraj wieczorem, wracając do domu, Joe musiał być na wpół pijany, a jednak wzmianka o fioletowym świetle w oknie jego pokoju przyprawiła go o gęsią skórkę. Taka wszak poświata otaczała złowrogą kobietę i jej kosmatego familiara w owych lżejszych, bardziej wyrazistych snach, poprzedzających jego zanurzenie się w czeluściach nieznanymi otchłani, a myśl, że inna osoba na jawie mogła ujrzeć ową senną jasność, wprost nie mieściła mu się w głowie. Tylko jakim cudem ten człowiek mógłby coś takiego wymyślić? Czyżby poza

chodzeniem we śnie zdarzało mu się również rozmawiać z napotkanymi przypadkowo osobami? Nie, rzucił Joe, bynajmniej, ale należałoby to zbadać. Może Frank Elwood mógłby mu coś powiedzieć, choć nie miał wcale ochoty pytać go o cokolwiek.

Gorączka - szalone sny - somnambulizm - omamy słuchowe - dziwny impuls, przyciągający jego wzrok ku niebu - a teraz jeszcze szalone podejrzenie o rozmowy w trakcie lunatycznych przechadzek! Musiał przerwać swoje studia, odwiedzić psychiatrę i odzyskać równowagę umysłową. Wchodząc schodami na piętro, zatrzymał się przed drzwiami pokoju Elwooda, ale okazało się, że jego przyjaciel dokądś wyszedł. Gilman z wahaniem, niespiesznie wszedł do swego pokoju i przez dłuższy czas siedział po ciemku. Wciąż spoglądał ku zachodowi, lecz równocześnie nasłuchiwał jakichś odgłosów z zamkniętego strychu powyżej i w duchu wyobrażał sobie złowróżbną, fioletową poświatę wpływającą przez niezliczone szczeliny w wąskim, pochyłym suficie.

Tej nocy, gdy Gilman usnął, fioletowe światło zalało go z większą niż dotąd intensywnością, a stara wiedźma i małe, kosmate stworzenie zbliżyli się doń jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, szydząc nieludzkimi piskami i szatańskimi gestami. Z radością zapadł się w przesycone osobliwym rykiem zmroczniałe otchłanie, choć pościg za nimi opalizującego grona bąbli małego kalejdoskopowego wielościanu wydał mu się złowieszczy i irytujący. Wtedy nastąpiła zmiana - ponad i poniżej niego pojawiły się rozległe, zbieżne płaszczyzny. Zmiana ta dobiegła kresu w jednym oślepiającym błysku szaleństwa i powodzi nowego, obcego światła, w którym żółć, karmin i indygo tworzyły posępną i obłądną mieszankę.

Na wpół leżał na wysokim tarasie, zdobionym fantastyczną balustradą, ponad bezkresną dżunglą dziwacznych, niewiarygodnych szczytów, wypoziomowanych płaszczyzn, kopuł, minaretów, horyzontalnie ułożonych dysków wspartych na iglicach i całym mnóstwem jeszcze bardziej

niewysłowionych form z kamienia i metalu, które skrzyły się upojnie w zmieszanej, niemal oślepiającej poświacie polichromatycznego nieba.

Spoglądając w górę, ujrzał trzy niesamowite ogniste dyski o różnych odcieniach i znajdujące się na różnej wysokości nad nieskończenie odległą, zaznaczoną pasmem niskich gór krzywizną horyzontu. Z tyłu, za nim, jak okiem sięgnąć rozciągały się rzędy tarasów. Miasto poniżej zdawało się nie mieć końca. Gilman modlił się w duchu, by nie napłynął stamtąd żaden dźwięk.

Chodnik, z którego podniósł się bez trudu, wykonany był z bliżej nieokreślonego, pożyłkowanego, polerowanego kamienia, a płyty, w kształtach i o najróżniejszych kątach, jakie sobie tylko można wyobrazić, wydały mu się nie tyle chaotyczne, ile raczej podporządkowane prawom jakiejś nieziemskiej, niepojętej dla ludzi symetrii. Balustrada sięgała mu do piersi, była delikatna i fantastycznie kuta, a na poręczy, w niewielkiej od siebie odległości, umieszczono misternie wykonane małe figurki o groteskowym wyglądzie. One również, podobnie jak cała balustrada, zdawały się zrobione z jakiegoś lśniącego metalu, którego koloru nie sposób się było domyślić w tym chaosie zmieszanych barw, a ich natura wykraczała poza ludzkie zdolności pojmowania. Miały baryłkowaty kształt, były prążkowane i u góry ozdobione promieniście ramionami, u dołu zaś pionowymi wypustkami i guzami. Każda z gałek była osią dla pięciu długich, płaskich, trójkątnie zwężających się ramion nadających obiektowi wygląd rozgwiazdy, niemal horyzontalnych, lecz nieznacznie oddalonych od skraju środkowej wypukłości. Podstawa dolnej, pękatej części była tak delikatnie przytwierdzona do bariereki, że kilka obiektów odłamało się i w miejscach tych ziały rażące dziury.

Obiekty miały cztery i pół cala wysokości, a dzięki rozpiętości ramion osiągały aż dwa i pół cala średnicy. Kiedy Gilman wstał, posadzka pod stopami wydała mu się gorąca. Był sam. Najpierw podszedł do balustrady i

spojrzał z zapartym tchem na bezkresne, gigantyczne miasto rozciągające się prawie dwa tysiące stóp niżej.

Nasłuchując, odniósł wrażenie, że z ulic w dole dochodzą go słabe dźwięki fletów, i zapragnął nagle ujrzeć mieszkańców owej metropolii. Od patrzenia w dół zakręciło mu się nagle w głowie i zapewne upadłby na chodnik, gdyby instynktownie nie uchwycił się bogato zdobionej balustrady. Prawą dłoń oparł na jednej z figurek, jej dotyk nieznacznie dodał mu sił. Było to jednak zbyt wiele dla egzotycznej delikatności rzeźby i niewielka, przypominająca rozgwiazdę figurka ułamała się pod naporem jego palców. Wciąż na pół oszołomiony ścisnął ją w jednej dłoni, podczas gdy drugą zacisnął kurczowo na pozbawionym ozdób fragmencie balustrady.

Naraz jego wyczulone uszy usłyszały jakiś dźwięk dochodzący z tyłu, zza niego, i Gilman obejrzał się przez ramię. W jego kierunku zmierzało zdecydowanym krokiem pięć postaci, wśród których znalazła się też złowroga starucha i małe, kosmate stworzenie o długich kłach. Widok trzech pozostałych pozbawił go natychmiast przytomności, były to bowiem żywe istoty wzrostu około ośmiu stóp, wyglądające identycznie jak ich miniatury zdobiące balustradę, poruszające się na podobieństwo pajęczaków na rozstawionych szeroko, zwężających się jak u rozgwiazdy odnóżach.

Gilman obudził się w łóżku, zlany zimnym potem, z obolałą twarzą, dłońmi i stopami. Wstał, umył się i ubrał pospiesznie, jakby musiał jak najszybciej wyjść z tego przeraźliwego domu. Nie wiedział, dokąd chce się udać, ale czuł, że i tym razem przyjdzie mu opuścić zajęcia. Dziwny impuls, przyciągający go ku miejscu na niebie pomiędzy Hydrą i Argo osłabł, lecz jego miejsce zajął inny, jeszcze silniejszy. Czuł teraz, że musi podążać na północ, tylko i wyłącznie na północ. Lękał się przejść przez

most, skąd mógłby ujrzeć bezludną wyspę na Miskatonic, wybrał więc most przy Peabody Avenue.

Po godzinie poczuł się lepiej. Odzyskał rezon. Znajdował się w sporej odległości od miasta. Wokół niego rozciągały się połacie słonych moczarów, podczas gdy wąska droga na wprost niego wiodła do Innsmouth, owego prastarego, na wpół opuszczonego miasta, którego mieszkańcy Arkham w szczególny sposób unikali. Choć pragnienie udania się na północ ani trochę w nim nie osłabło, oparł mu się, tak jak wcześniej poprzedniemu impulsowi, i w końcu stwierdził, że jest w stanie je sobie nawzajem przeciwstawić. Po powrocie do miasta i wypiciu kawy w kafejce powlókł się do biblioteki publicznej i dłuższy czas spędził na przeglądaniu popularnych czasopism.

Spotkani później przyjaciele zapytali go, gdzie się tak strasznie spiekł, lecz nie opowiedział im o swojej niezwykłej przechadzce. O trzeciej zjadł obiad w restauracji, gdzie stwierdził, że dręczący go impuls stracił na sile lub uległ rozproszeniu. Następnie Gilman zabił trochę czasu w tanim kinie, oglądając po kilka razy ten sam głupi film, aż w końcu przestał zwracać uwagę na to, co działo się na ekranie.

Około dziewiątej dotarł do domu i wszedł do środka. Joe Mazurewicz wciąż głośno się modlił, więc Gilman, nie zaglądając do pokoju Elwooda, czym prędzej udał się do siebie, na górę. Kiedy zapalił światło, doznał prawdziwego wstrząsu. W okamgnieniu zorientował się, że na stole leżało coś, czego tam wcześniej nie było. Powtórne spojrzenie upewniło go w tym przeświadczeniu. Na boku - bo sama stać nie mogła - leżała egzotyczna figurka, którą w upiornym śnie odłamał z fantastycznej balustrady. Nie brakowało żadnego szczegółu. Prążkowany, baryłkowany środek, cienkie, promieniste ramiona, wypustki na obu końcach i płaskie, zakrzywiające się na zewnątrz macki, jak u rozgwiazdy - było tu wszystko. W świetle elektrycznej lampy figurka miała barwę opalizującej szarości upstrzonej

zielonymi żyłkami. Gilman zdezorientowany i przerażony ujrzał, że jedna z wypustek miała postrzępiony, ułamany koniec, który wcześniej przymocowany był do balustrady.

Tylko otępienie i oszołomienie uchroniły go wtedy przed wrzaśnięciem. Ta fuzja snu i rzeczywistości była nie do zniesienia. Wciąż odrętwiały ze zgrozy, ściskając w dłoni promienistą figurkę, zszedł chwiejnym krokiem na dół, do mieszkania właściciela domu, Dombrowskiego. Zawodzące modlitwy pobożnego mechanika wciąż rozlegały się donośnie wśród cuchnących pleśnią i wilgocią korytarzy, ale teraz Gilman nie zwracał na nie uwagi.

Właściciel był akurat w mieszkaniu i powitał go przyjaźnie. Nie, nie widział wcześniej tej rzeczy i nic o niej nie potrafił powiedzieć. Jego żona wyznała jednak, że znalazła tę zabawną metalową rzecz w jednym z łóżek, sprząając w południe pokoje. Może to było właśnie to. Dombrowski zawołał ją i weszła do pokoju. Tak, to ta figurka, znalazła ją w łóżku tego młodego dżentelmena, z boku, przy ścianie. Wydała się jej bardzo dziwna, ale, rzecz jasna, młody dżentelmen miał u siebie mnóstwo osobliwych rzeczy - książki, unikaty, rysunki i znaki na papierze. Nie wiedziała nic o figurce. Gilman z mętlikiem w głowie wrócił do siebie, przekonany, że albo wciąż śnił, albo jego somnambulizm osiągnął niewiarygodne ekstremum i doprowadził go do składania wizyt w nieznanym i niezbadanym miejscu. Skąd wzięła się ta figurka? Nie pamiętał, by widział ją w muzeum w Arkham. A jednak skądś musiała się wziąć - wizja zaś, jakoby zdobył ją we śnie, musiała zostać wywołana obrazem tarasu i gigantycznej balustrady. Następnego dnia popyta dyskretnie tu i ówdzie - i być może odwiedzi również psychiatrę.

Póki co zamierzał sprawdzić trasę swych lunatycznych spacerów. Idąc na piętro i w korytarzu poddasza rozsypał trochę mąki pożyczonej w tym właśnie celu od właściciela domu. Po drodze zatrzymał się przed drzwiami

pokoju Elwooda, wewnątrz było jednak ciemno. Po wejściu do swojego mieszkania położył promienistą figurkę na stole i nie rozbierając się, kompletnie wyczerpany runął na łóżko. Wydawało mu się, że słyszy płynące z zamkniętego na głucho stryszku odgłosy kroków i szuranie, lecz był zbyt zmęczony, by zastanowić się nad tym choć przez chwilę. Znowu czuł narastające pragnienie wyruszenia w kierunku północnym, choć zdawało się ono płynąć z punktu umiejscowionego niżej na nieboskłonie.

Stara kobieta i kosmate stworzenie o długich kłach znów się pojawili, w potokach fioletowego światła i znacznie wyraźniej niż poprzednio. Tym razem byli tuż przy nim i poczuł zakrzywione palce staruchy sięgające w jego stronę. Został zwleczony z łóżka i ci śnięty w pustkę, przez chwilę słyszał rytmiczny ryk i ujrzał zalaną blaskiem zmierzchu amorficzną mglistość otchłani wirującej opętańczo dokoła. Chwila ta trwała jednak krótko, nagle bowiem znalazł się w topornym, pozbawionym okien małym pomieszczeniu z nie heblowanymi deskami i belek sklepiającym się trójkątnie nad jego głową, pod stopami zaś miał pochyłą podłogę. Na równym odcinku podłogi stały kufry pełne książek, starych i w dużym stopniu zniszczonych, pośrodku zaś znajdował się stół i ława, najwyraźniej przymocowane w tym miejscu na stałe. Niewielkie przedmioty nieznanego kształtu i przeznaczenia stały rzędem na wiekach skrzyń, a w płomiennym, fioletowym świetle Gilman ujrzał w nich kopie promienistych figurek, które tak silnie go zdominowały.

Po lewej stronie podłoga kończyła się gwałtownie, za krawędzią zaś ziała trójkątna, mroczna otchłań, z której po chwili upiornego szurania i grzechotu wygramoliła się nagle ta nienawistna, kosmata istota o żółtych zębiskach i brodatym obliczu.

Uśmiechająca się złowieszczo starucha wciąż go trzymała, za stołem zaś stała postać, której nigdy wcześniej nie widział - wysoki, szczupły mężczyzna o czarnej cerze, lecz bynajmniej nie wyglądający na Murzyna.



Nie miał zarostu ani włosów na czaszce, a jego jedynym odzieniem była bezkształtna szata z jakiegoś grubego, czarnego materiału. Stóp nie było widać, stał bowiem za stołem i ławą, niemniej musiał nosić jakieś buty, gdyż kiedy zmieniał pozycję, słychać było głośne tupanie. Mężczyzna milczał, a jego twarz o regularnych, łagodnych rysach nie wyrażała żadnych emocji. Wskazał jedynie na ogromną księgę leżącą na stole, podczas gdy starucha wcisnęła Gilmanowi w prawą dłoń wielkie szare pióro.

Całej tej ceremonii towarzyszyła atmosfera narastającej grozy i szaleństwa, której szczyt nastąpił z chwilą, gdy kosmate stworzenie wspięło się po ubraniu Gilmana na jego ramię i zbiegłszy po lewym ręką, wgrzyzło mu się w nadgarstek, tuż poniżej mankietu koszuli. Z rany trysnęła krew, a Gilman zemdlął.

Obudził się rankiem dwudziestego drugiego z obolałym lewym przegubem i ujrzał, że mankiet koszuli jest cały brązowy od krwi. W głowie miał mętlik, lecz pamiętał wyraźnie obce pomieszczenie i Czarnego Mężczyznę.

Najwyraźniej gdy spał, musiał zostać ugryziony przez szczura. Otworzył drzwi, stwierdził, że w rozsypanej na korytarzu mące widniały jedynie ślady gburowatego mężczyzny, mieszkającego w pokoju po przeciwnej stronie poddasza. A więc tym razem nie lunatykował. Trzeba było jednak zrobić coś z tymi szczurami. Pomówi o nich z właścicielem domu. Raz jeszcze próbował zabić dziurę w podstawie spadzistej ściany, wkładając w nią odpowiedniej wielkości świecę. Potwornie dźwięczało mu w uszach, jakby wciąż słyszał echa jakiegoś okropnego hałasu ze snów.

Wykąpawszy się i przebrawszy, usiłował przypomnieć sobie, o czym śnił po owej scenie w skąpanym fioletowym blaskiem pomieszczeniu, lecz nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Scena ta musiała mieć coś wspólnego z zamkniętym stryszkim powyżej, który tak gwałtownie

atakował jego wyobraźnię, lecz ostatnie wizje były słabe, niewyraźne i mgliste.

Pojawiły się sugestie skąpanych blaskiem zmierzchu otchłani i jeszcze rozległej szych, mrocznych głębi za nimi, głębi, których nawet nie sposób było sobie wyobrazić, gdyż wymykały się naszym zdolnościom pojmowania.

Był tam zabierany przez grono bąbli i mały polihedron, które podążały za lub przed nim, lecz podobnie jak on w owej dalszej pustce nieskończonej czerni zmieniały się w smużki białawej mgiełki. Było przed nim coś jeszcze - większa smuga dymu lub mgły, która obecnie zaczęła przybierać pewne pozory formy. Odniósł przy tym wrażenie, że oni wszyscy nie poruszali się po linii prostej, lecz raczej po jakichś obcych krzywiznach i spiralach niepojętego, eterycznego wiru podległego prawom nie znanym matematyce i fizyce jakiegokolwiek zrozumiałego dla ludzkości wszechświata. Na koniec pojawiła się jeszcze zapowiedź ogromnych, śmigających cieni, monstrualnego, na wpół akustycznego pulsowania i monotonnego, świszczącego popiskiwania niewidzialnego fletu, i to było już wszystko.

Gilman uznał, że ostatnia wizja musiała zostać wywołana tym, co wyczytał w Necronomiconie na temat bezmyślnej istoty zwanej Azathoth, władającej czasem i przestrzenią ze swego czarnego tronu w samym sercu Chaosu.

Po zmyciu krwi okazało się, że rana nadgarstka jest niewielka, a Gilman zastanawiał się nad przyczyną powstania w tym miejscu dwóch małych nakłuć. Zorientował się, że na pościeli nie było śladu krwi, i wydało mu się to dziwne, zważywszy na wygląd jego ręki i mankietu. Czyżby lunatykował i szczur ukąsił go, kiedy siedział na krześle albo gdzie indziej? Przepatrzył wszystkie kąty w poszukiwaniu brązowych plam lub śladów kropel - bezskutecznie. Postanowił odtąd rozsypywać mąkę zarówno w mieszkaniu, jak i na korytarzu na zewnątrz. Wiedział, że spacerował we śnie, i musiał

teraz położyć temu kres. Potrzebował pomocy Franka Elwooda. Musiał go o nią poprosić. Tego ranka dziwny impuls z kosmosu nieco zelżał, choć zastąpiła go inna, bardziej jeszcze nie wyjaśniona sensacja. Było nią niejasne pragnienie natychmiastowego wyrwania się z obecnej sytuacji, porzucenie jej, ulecenie gdzieś w dal, choć bez skonkretyzowania kierunku ani celu. Kiedy podniósł ze stołu ową dziwną, promienistą figurkę, miał wrażenie, że powrócił ten stary impuls pchający go ku północy, lecz już wkrótce nowe, nieprzeparowane pragnienie wzięło nad nim górę.

Zaniósł statuetkę do pokoju Elwooda, z trudem znosząc modlitewne zawrodozenie mechanika z parteru. Dzięki Bogu, Elwood był u siebie i już nie spał. Mieli chwilę na krótką rozmowę przed śniadaniem i pójściem do college'u. Gilman pospiesznie opowiedział przyjacielowi o swych ostatnich lękach i koszmarach. Jego rozmówca okazał się człowiekiem wyrozumiałym i stwierdził, że trzeba coś z tym począć. Był wstrząśnięty fatalnym wyglądem wychudłego i zmizerowanego gościa, zwrócił również uwagę na dziwne, nienormalne oparzenia, jakby od słońca, które zauważyli także inni. Niewiele mógł jednak powiedzieć. Nie widział Gilmana podczas żadnej z jego lunatycznych przechadzek i nie miał pojęcia, co przedstawiała dziwna figurka. Wydawało mu się, że któregoś wieczoru słyszał, jak mieszkający piętro niżej pod Gilmanem Cajun rozmawia z Mazurewiczem. Mówili, jak bardzo lękają się nadchodzącej Nocy Walpurgii, do której zostało już tylko kilka dni, i wymieniali pełne współczucia komentarze na temat „biednego, zgubionego, młodego dżentelmena”. Desrochers, człowiek mieszkający pod pokojem Gilmana, opowiadał o odgłosach kroków, zarówno bosych, jak i obutych stóp, i fioletowym świetle, które ujrzał pewnej nocy, gdy zakradł się cichaczem, by przez dziurkę od klucza zajrzeć na poddasze do Waltera. Jak wyznał Mazurewiczowi, nie odważył się uchylić drzwi po tym, jak ujrzał przez ziejące szpary bijący z nich blask.

Słysząc było również cichą rozmowę... a kiedy zaczął ją opisywać, jego głos zmienił się w konspiracyjny szept.

Elwood nie potrafił wyobrazić sobie, co skłoniło tych porządných ludzi do plotek, lecz jak przypuszczał, ich wyobraźnię rozbudziły z jednej strony osobliwe zachowanie Gilmana, z drugiej zaś zbliżająca się milowymi krokami majowa noc czarów i strachów. O tym, że Gilman mówi przez sen, wiedzieli wszyscy, plotki zaś o fioletowym świetle zaczął zapewne rozsiewać Desrochers po swej wizycie pod drzwiami pokoju na poddaszu. Ci prości ludzie byli skłonni uwierzyć w każde dziwne zjawisko, o którym tylko usłyszeli. Co się tyczyło planu działania, Gilman miał przeprowadzić się do pokoju Elwooda, by nie sypiać samotnie. Jeżeli Elwood nie będzie akurat spał i usłyszy, że Gilman mówi przez sen lub spostrzeże go wstającego, miał go natychmiast obudzić. Poza tym Walter powinien niezwłocznie udać się do specjalisty. Tymczasem Gilman i Elwood zamierzali zabrać figurkę i pokazać ją pewnym naukowcom, specjalistom z dziedziny archeologii, oraz w kilku muzeach, szukając u nich potwierdzenia, iż był to zwykły metalowy szmelc bez jakiegokolwiek wartości. Dombrowski zaś miał zająć się wytruciem gnieźdzących się w ścianach szczurów. Pokrzepiony obecnością Elwooda, Gilman udał się tego dnia na wykłady. Wciąż czuł dziwne impulsy, lecz skutecznie zdołał się im przeciwstawić. Podczas przerw pokazał osobliwą statuetkę kilku profesorom, wzbudzając ich głębokie zainteresowanie, żaden jednak nie potrafił rzucić światła na jej naturę czy pochodzenie. Tej nocy spał na kozetce, którą na prośbę Elwooda przyniósł z piętka gospodarz domu, i po raz pierwszy od wielu tygodni nie dręczyły go koszmary. Wciąż jednak miał gorączkę, a zawodzący głos modlącego się mechanika nie przynosił ukojenia.

W ciągu kilku kolejnych dni Gilman był niemal całkowicie wolny od upiornych manifestacji. Elwood stwierdził, że jego kolega nie mówił ani nie

wstawał we śnie, właściciel domu zaś wyłożył wszędzie trutkę na szczury.

Jedynym niepokojącym elementem były plotki krążące wśród przesądnych cudzoziemców, których urojenia stały się wyjątkowo wyraziste. Mazurewicz nakłaniał go do zaopatrzenia się w krucyfiks i w końcu zmusił do przyjęcia krzyża, poświęconego, jak sam powiedział, przez prawego księdza, ojca Iwanickiego. Desrochers również miał swoje do powiedzenia, uparł się, że pierwszej i drugiej nocy, po tym jak Gilman wyprowadził się z pokoju, słyszał dochodzące stamtąd ciche kroki. Paulowi Choińskiemu wydawało się, że słyszał jakieś odgłosy płynące z korytarza i od strony schodów i że ktoś w nocy poruszał klamką u drzwi wejściowych do jego mieszkania. Pani Dombrowski zarzekała się, że po raz pierwszy od wigilii Wszystkich Świętych widziała Brązowego Jenkina. Te doniesienia nie znaczyły jednak wiele i Gilman pozostawił tani metalowy krzyżyk zawieszony na gałce komódki w mieszkaniu Elwooda. Przez trzy dni Gilman i Elwood odwiedzali miejscowe muzea, usiłując określić rodowód dziwnej promienistej statuetki, bez powodzenia jednak. W każdym wszelako przypadku wzbudzali nią ogromne zaciekawienie u swych rozmówców, jej absolutna obcość bowiem stanowiła nie lada wyzwanie dla ciekawości naukowców. Jedno z małych ramion zostało ułamane i poddane analizie chemicznej. Profesor Ellery stwierdził, że był to stop platyny, żelaza i tellurium zmieszany z trzema jeszcze innymi składnikami o wyższej wadze atomowej, których składu chemicznego nie jest jednak w stanie określić. Nie tylko nie przypominały one żadnych znanych ludzkości pierwiastków, lecz nawet nie pasowały do luk zarezerwowanych dla potencjalnych „brakujących ogniw” układu okresowego. Tajemnica po dzień pozostaje nie rozwiązana, choć statuetka znajduje się wśród eksponatów muzeum uniwersytetu Miskatonic.

Rankiem, dwudziestego siódmego kwietnia, w pokoju, gdzie gościł Gilman, pojawiła się nowa szczurza nora, lecz Dombrowski natychmiast

zabił ją kawałkiem blachy. Trutka nie skutkowała, gdyż. wciąż słyhać było dochodzące ze ścian skrobanie.

Tego wieczoru Elwood miał wrócić późno. Gilman czekał na niego. Nie chciał zasypiać samotnie w tym pokoju, zwłaszcza że wieczorem, a ściślej mówiąc o zmierzchu, ujrzał tę samą odrażającą staruchę, która w tak upiorny sposób nawiedzała go w snach. Zastanawiał się, kim była i co jej towarzyszyło, grzechocząc blaszaną puszką wśród sterty śmieci u wylotu niewielkiego podwórka. Starucha najwyraźniej go dostrzegła, gdyż wyszczerzyła się w złowrogim uśmiechu, a może tylko tak mu się wydawało.

Następnego dnia obaj młodzieńcy byli straszliwie zmęczeni i wiedzieli, że gdy nadejdzie noc, usną jak zabici. Wieczorem długo dyskutowali o matematyce, która pochłonęła Gilmana bez reszty, nawiązując do mrocznej, potencjalnie możliwej więzi między pradawną magią a ludowym folklorem.

Rozmawiali o Keziah Mason, a Elwood zgodził się, że Gilman miał ważne powody, by sądzić, iż natknął się na pewną osobliwość, lecz znaczącą informację. Tajemne sekty, do których należały czarownice, strzegły częstokroć i przekazywały z pokolenia na pokolenie zdumiewające sekrety zamierzchłej, dawno zapomnianej przeszłości. Było całkiem możliwe, że Keziah zdołała po mistrzowsku opanować sztukę przechodzenia przez bramy wymiarów. Tradycja mówi wyraźnie o niemożności zatrzymania wiedzy w zamknięciu, a skoro bariery materialne nie stanowiły dla nich przeszkód, któż wie, co naprawdę skrywały w sobie opowieści o nocnych lotach czarownic na miotłach i ożogach?

Wkrótce się okaże, czy współczesny student miał szansę zyskać podobną moc dzięki zgłębieniu prawideł matematycznych. Sukces, dodał Gilman, mógł prowadzić do niebezpiecznych i niewyobrażalnych sytuacji, któż bowiem zdoła przewidzieć warunki panujące w bliskim nam, lecz normalnie niedostępnym wymiarze? Z drugiej strony, możliwości, jakie się

dzięki temu zyskiwało, były wręcz powalające. W pewnych pasmach przestrzeni czas mógł w ogóle nie istnieć i wchodząc oraz pozostając w takim obszarze, człowiek był w stanie przedłużyć swoje życie w nieskończoność, nie doświadczać przemian metabolicznych w organizmie ani chorób, z wyjątkiem okresu, kiedy odwiedzał swój własny plan lub płaszczyzny zbliżone doń pod względem warunków. Dzięki temu badacz mógł wejść w pozbawiony czasu wymiar i wyłonić się zeń w jakimś odległym okresie z ziemskiej historii równie młody jak poprzednio. Trudno było powiedzieć na pewno, czy kiedykolwiek komuś się to udało. Stare legendy są pełne niejasności i przekłamań, a w znanym ludzkości okresie historii wszelkie próby wniknięcia w którąś z zakazanych luk wydają się utrudniane przez dziwne i potworne sojusze z istotami oraz posłańcami z zewnątrz.

Istniała odwieczna postać przedstawiciela lub wysłannika sekretnych i przerażających mocy - „Czarny Człowiek” znany wśród czarownic i „Nyarlathep” z „Necronomiconu”. Istniały także przekazy o pomniejszych pośrednikach lub umyślnych, quasi-zwierzątkach i osobliwych hybrydach noszących w podaniach miana „chowańców”, czyli „familiarów” wiedźm.

Kiedy Gilman i Elwood udali się na spoczynek, zbyt zmęczeni, by mogli dłużej rozmawiać, usłyszeli, jak Joe Mazurewicz, pod dobrą datą wraca do domu, i zadygotali, słysząc jego donośne, pełne religijnej żarliwości zawodzenia. Tej nocy Gilman znów ujrzał fioletowe światło. We śnie usłyszał, jak coś skrobie i przegryza przepierzenie, a później wydawało mu się, że ktoś niezdarnie gmera przy kłamce. Zaraz potem ujrzał starą kobietę, a po wyłożonej dywanem podłodze podbiegło ku niemu małe, kosmate stworzenie. Oblicze staruchy przepełnił wyraz nieludzkiego uniesienia, a mały żółtozęby kudłaty stworek zachichotał drwiąco, wskazując na śpiącego jak kamień Elwooda na kanapie pod przeciwległą ścianą pokoju.

Przerazający lęk ścisnął mu gardło. Jak poprzednio, odrażająca starucha schwyciła Gilmana za ramiona i zwałókszy z kozetki, porwała go w otchłań. Również tym razem po obu jego stronach śmigały nieskończone, przepełnione rykiem przestrzenie, lecz w sekundę później Gilman odniósł wrażenie, że znajduje się w ciemnej, błotnistej alejce wypełnionej nieprzyjemnym fetorem gnijących ścian pradawnych domów, które wznosiły się dokoła.

Przed nim stał czarno odziany mężczyzna, którego ujrzał w poprzednim śnie w spiczasto sklepionym pomieszczeniu, podczas gdy stojąca bliżej starucha kiwała nań i wykrzywiła się władczo. Brązowy Jenkin łąsił się do stóp Czarnego Mężczyzny, ukrytych pod grubą warstwą lepkiego błocka. Po prawej stronie znajdowało się mroczne przejście; Czarny Mężczyzna wskazał je bezgłośnie. Uśmiechnięta starucha pospieszyła w tę stronę, ciągnąc Gilmana za rękaw piżamy. Dotarli do skrzypiących złowrogo i okropnie cuchnących schodów, które starucha zdawała się skąpać falą słabego, fioletowego światła, a po nich do podestu i znajdujących się na nim drzwi.

Starucha gmerała przez chwilę przy klamce i pchnięciem otworzyła drzwi, dając Gilmanowi znak, by zaczekał, po czym znikła w mrocznym wnętrzu.

Przećzulone uszy młodzieńca wychwyciły odrażający, zdławiony krzyk i zaraz potem starucha wyłoniła się z czarnego pomieszczenia, dźwigając małe i pozbawione zmysłów ciało, które bezceremonialnie podała sńiacemu, jakby chciała, by je poniósł. Jego wzrok i widok jego twarzyczki przełamały czar. Wciąż zbyt oszołomiony, by krzyczeć, zbiegł na łeb na szyję po skrzypiących schodach i wybiegł na ulicę. Zatrzymał go dopiero i unieruchomił duszącym chwytem Czarny Mężczyzna, czekający przed domem. Tracąc przytomność, usłyszał jeszcze słaby, piskliwy chichot długozębego, podobnego do szczura stworka.



Rankiem, dwudziestego dziewiątego, Gilman obudził się na krawędzi koszmaru. Z chwilą gdy tylko otworzył oczy, zorientował się, że coś było nie tak, znajdował się bowiem znów w swoim starym pokoju na poddaszu, leżąc na nie posłanym łóżku. Nie wiadomo czemu, bolało go gardło, a gdy podniósł się do pozycji siedzącej, ujrzał, że stopy i nogawki piżamy pokryte ma zaschniętym błotem. Przez chwilę błądził wśród mglistych wspomnień, lecz w końcu stwierdził, że najwyraźniej znów lunatykował. Elwood zasnął zbyt głęboko, by mógł go usłyszeć i obudzić. Na podłodze widniały zagadkowe błotniste ślady, lecz co dziwne, nie prowadziły one ku drzwiom. Im dłużej Gilman się im przyglądał, tym wydawały mu się one dziwniejsze, prócz śladów bowiem, które rozpoznawał jako swoje, dostrzegł inne, mniejsze, prawie okrągłe znaki, jakie mogły pozostawić nogi sporego fotela lub stołu, większość z nich jednak była rozdwojona. Dostrzegł również osobliwe błotniste ślady szczura wiodące od strony nowej dziury i ku niej. Gilman poczuł ogarniający go lęk i zdumienie, gdy zbliżywszy się do drzwi i wyjrzawszy na zewnątrz, nie ujrzał na korytarzu żadnych brunatnych śladów.

Im bardziej przypominał sobie upiorny sen, tym bardziej był przerażony, a wrażenie desperacji pogłębiło jeszcze religijne zawodzenie modlącego się dwa piętra niżej Mazurewicza.

Po zejściu do pokoju Elwooda obudził swego śpiącego jeszcze gospodarza, informując go pokrótce, w jakiej sytuacji się znalazł, lecz przyjaciel nie był w stanie wyjaśnić mu, co się stało. Nie sposób stwierdzić, gdzie właściwie przebywał Gilman, jak wrócił do swego pokoju, nie pozostawiając śladów w korytarzu, ani też skąd wzięły się na poddaszu mieszkania te dziwne, nie pozostawione przez niego, brudnobrązowe znaki. Były jeszcze sińce na jego szyi, podbiegnięte krwawo, prawie fioletowe, jak gdyby Gilman próbował sam siebie udusić. Dotknął ich palcami, lecz stwierdził, że odciski nie pasują do jego dłoni. Gdy tak rozmawiali, zjawił

się Desrochers, by powiedzieć, że nad ranem podsłuchał coś bardzo zagadkowego i przerażającego zarazem.

Nie, po północy nikt nie kręcił się po schodach, choć wydawało mu się, że słyszał czyjeś kroki na poddaszu i ukradkowe stąpanie na schodach, które bynajmniej mu się nie spodobało. Dodał, że dla Arkham nadszedł wyjątkowo zły okres w roku. Lepiej, by młody dżentelmen nie rozstawał się z krucyfiksem otrzymanym od Joe Mazurewicza. Nawet za dnia nie było bezpiecznie, po świcie bowiem w domu rozlegały się dziwne odgłosy... zwłaszcza piskliwy, dziecięcy szloch, który urwał się jak ucięty nożem.

Gilman udał się rano na zajęcia, lecz w ogóle nie potrafił się skupić na treści wykładów. Ogarnął go nastrój mrozącego krew w żyłach niepokoju, jakby oczekiwał w każdej chwili nadejścia miażdżącego, niszczycielskiego ciosu.

W południe zjadł obiad w stołówce na uczelni i czekając na deser, sięgnął po leżącą obok gazetę. Nie zjadł go jednak, gdyż informacja z pierwszej strony sprawiła, że wstrząśnięty, zlany zimnym potem i z wybałuszonymi oczami mógł jedynie zapłacić rachunek i pocłapać niepewnie do domu i do pokoju Elwooda.

Poprzedniej nocy w Orne's Gangway doszło do dziwnego porwania. W niejasnych okolicznościach znikło bez śladu dwuletnie dziecko młodej praczki nazwiskiem Anastazja Wołejko. Jak się wydaje, matka już od pewnego czasu obawiała się o jego los, jednakże powody jej lęków uznano za tak irracjonalne, że nikt nie traktował ich poważnie. Stwierdziła, że od początku marca widywała w swoim mieszkaniu Brązowego Jenkina, a po jego grymasach i bełkotliwej mowie zorientowała się, że mały Ladislas ma być złożony na ofiarę podczas krwawego sabatu w Noc Walpurgii. Poprosiła sąsiadkę, Mary Czaneck, by spała u niej i pomogła jej chronić dziecko, lecz Mary nie miała dość odwagi. Policji nie odważyła się powiadomić, gdyż stróże prawa nie wierzyli w przesady. Odkąd sięgała

pamięcią, każdego roku dzieci ginęły bez śladu. Jej przyjaciel, Piotr Słowacki, odmówił pomocy, gdyż nie lubił małego i uważał go za przeszkodę w ich związku.

Jednakże zimny pot na czole Gilmana wycisnęła opowieść dwóch birbantów, którzy wracali do domu dobrze po północy. Przyznali, że byli pod dobrą datą, lecz obaj zapewniali, że widzieli obłądnie ubrane trio wchodzące w głąb mrocznego przejścia. Był tam, jak wyznali, ogromny czarnoskóry mężczyzna w powłóczyściej szacie, niska stara kobieta odziana w łachmany i młody biały chłopak w piżamie. Starucha ciągnęła młodzieńca, podczas gdy u stóp czarnoskórego w brązowym bloku śmigał udomowiony szczur.

Gilman przesiedział w otępieniu całe popołudnie, a Elwood, który tymczasem przejrzał gazety i przeczytał artykuł, zdołał wysnuć zeń szokujące wnioski - zastał go w takim właśnie stuporze. Tym razem nie wątpił już, że wokoło działo się coś upiornego i poważnego zarazem. Pomiędzy wizjami koszmarne go snu i jawy zaczynała krystalizować się jakaś potworna i niewyobrażalna więź i tylko wytężona czujność mogła zapobiec znacznie potworniejszemu rozwojowi wypadków. Gilman prędzej czy później musiał skonsultować się z lekarzem, ale jeszcze nie teraz, gdy wszystkie gazety rozpisywały się wyłącznie o porwaniu.

To, co wydarzyło się naprawdę, było niejasne i przyprawiające o obłąd, przez dłuższą chwilę Gilman i Elwood wymieniali szeptem najbardziej nieprawdopodobne teorie. Czyżby całkiem nieświadomie Gilman odniósł sukces w swych studiach nad przestrzenią i jej wymiarami? Czyżby zdołał wydostać się poza naszą sferę i dotarł do niewyobrażalnych, nieznanyc i niepojętych miejsc? Gdzie był przez szereg tych mrocznych, diabelskich nocy? Ryczące otchłanie wypełnione poświatą zmierzchu... zielone wzgórze... podniebny taras... impuls płynący od gwiazd... ostateczny, czarny wir... Czarny Mężczyzna... błotnista alejka i schody... stara

wiedźma i kosmaty potworek o długich kłach... grono bąbli i mały wielościan... dziwne oparzenie słoneczne... rana na nadgarstku... nie wyjaśniona wizja... ubłocone stopy... ślady na szyi... legendy, mity i przesady cudzoziemców... co miało znaczyć to wszystko?

Tej nocy obaj nie zmrużyli oka, lecz następnego dnia opuścili zajęcia i zdrzemnęli się. Był trzydziesty kwiecień, o zmierzchu zaś miał nadejść czas diabelskiego sabatu, którego lękali się wszyscy cudzoziemcy i ludzie przesądni. Mazurewicz wrócił do domu o szóstej trzydzieści, twierdząc, że robotnicy w fabryce plotkowali, jakoby uroczystości Nocy Walpurgii miały odbyć się w mrocznym parowie za Meadow Hill, gdzie w miejscu pozbawionym wszelkiej roślinności stoi krąg z pradawnych białych kamieni.

Niektórzy nawet powiadomili o tym policję, polecając, by tam właśnie poszukiwano zaginionego dziecka Wołejki, lecz żaden z nich nie wierzył, by cokolwiek w tej sprawie poczyniono. Joe upierał się, by nieszczęsny młodzian założył na szyję łańcuszek z krzyżykiem, Gilman zaś, dla świętego spokoju, zrobił to i wsunął niklowany krucyfik pod koszulę.

Późną nocą dwaj młodzieńcy usiedli na krzesłach i zapadli w drzemkę, ukołysani do snu płynącym z dołu modlitewnym zaśpiewem. Gilman wychwytywał te dźwięki bez trudu; jego pierwotnie wyostrzony słuch miał przede wszystkim wyłapywać znacznie subtelniejsze, przeraźliwe mamrotanie zagłuszone innymi dźwiękami rozlegającymi się w starym domu.

Przypomniawszy sobie fragment mrocznego, przerażającego „Necronomiconu” i Czarnej Księgi i nagle zorientował się, że kołysze się w takt bluźnierczych rytmów towarzyszących, jak powiadają, najmroczniejszym rytuałom sabatu, biorących swój początek poza znanymi nam czasem i przestrzenią.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, czego nasłuchiwał - diabelskiej pieśni intonowanej przez uczestnika sabatu w odległej, czarnej dolinie. Skąd tyle wiedział o ich oczekiwaniach? Skąd wiedział, kiedy Nahab i jej akolita mieli przynieść wielką misę, a następnie czarnego koguta i czarnego kozła?

Zauważył, że Elwood usnął, i próbował zawołać, aby go obudzić. Coś wszelako sprawiło, że głos uwiązł mu w gardle. Nie panował nad sobą. Czy jednak złożył podpis w księdze Czarnego Mężczyzny?

Wtem jego wyostrzony gorączką, nieludzki słuch wychwycił odległe, niesione wiatrem dźwięki. Napływały z odległości wielu mil, ponad wzgórzem, polem i ulicami, lecz rozpoznał je bez trudu. Przy ognisku tancerze rozpoczęli swe pląsy. Jak mógł tam nie pójść? Co go powstrzymywało? Matematyka... folklor... dom... stara Keziah... Brązowy Jenkin... i nagle dostrzegł nową szczurzą norę w ścianie opodal kozetki.

Poprzez odległy śpiew i zawodzenie Mazurewicza przebił się inny dźwięk, ukradkowe skrobanie w ścianach. Miał nadzieję, że nie zgaśnie światło. I wtedy dostrzegł przekłete brodate, drobne, ozdobione długimi zębiskami oblicze wyłaniające się z otworu - przekłętą twarz, która, jak sobie dopiero teraz uświadomił, była uderzająco podobna do starej Keziah, a potem usłyszał szelest, jakby ktoś manipulował przy drzwiach.

Błysnęły przed nim bezkresne, wyjące otchłanie i poczuł się nagle bezradny w bezkształtnym uścisku opalizującego grona bąbli. Przed nim podążał niewielki, kalejdoskopowy wielościan, a całą wirującą pustkę przenikało narastające i przyspieszające tempa niejasne jeszcze brzmienie, które zdawało się zwiastować jakieś niewypowiedziane, niemożliwe do zniesienia crescendo. Chyba wiedział już, co się zbliżało - monstrualna fala rytmu Walpurgii, w której kosmicznym tembrze miało zawierać się całe pierwotne, ostateczne czasoprzestrzenne wrzenie skrywające się za masami sfer materii, a niekiedy wyrywające się stamtąd rytmicznymi odbiciami

przenikającymi z niezbyt wielką siłą wszystkie warstwy bytów i nadające upiornego znaczenia pewnym szczególnie posępnym okresom, we wszystkich istniejących światach.

To wszystko znikło w jednej sekundzie. Znów znajdował się w skąpanym fioletową poświatą pomieszczeniu o trójkątnym sklepieniu, spadzistej podłodze, niskimi kuframi pełnymi prastarych ksiąg, ławą i stołem, dziwnymi obiektami i trójkątną otchłanią z boku przy ścianie. Na stole leżała postać, mały chłopiec, rozebrany i nieprzytomny, po drugiej stronie stała monstrualnie wyszczerzona starucha z lśniącym, ozdobionym groteskową rękojeścią nożem w prawej ręce, w lewej zaś z dziwnie proporcjonalną misą z jasnego metalu pokrytą osobliwymi wizerunkami i zaopatrzoną w delikatne, cyzelowane uchwyty. Zaintonowała ochryłym głosem zapomnianą z dawien dawna inkantację w języku, którego Gilman nie rozumiał, lecz odniósł wrażenie, iż fragmenty jej odnalazł ongiś w budzącym grozę „Necronomiconie”.

W miarę jak scena nabierała przejrzystości, ujrzał, jak starucha nachyla się i przenosi misę nad stołem, a on, nie mogąc zapanować nad swymi odruchami, wyciągnął obie ręce i przejął naczynie, zwracając uwagę, iż było ono zadziwiająco lekkie. W tej samej chwili z trójkątnej, mrocznej czeluści po lewej wyłonił się odrażający w swej szpetocie Brązowy Jenkin. Wiedźma gestem nakazała mu przytrzymać misę w odpowiedniej pozycji, podczas gdy sama uniosła groteskowy nóż nad drobną, białą postacią w wyciągniętej prawie pionowo w górę prawej ręce. Włochate długozębe stworzenie zaczęło chichotać w odrażającej kontynuacji nieznanego rytuału, podczas gdy wiedźma skrzeczała w odpowiedzi. Gilman poczuł, że obrzydzenie, odraza i wstręt jak żywa istota przegryza się przez pancerz jego mentalnego i fizycznego paraliżu, i jasna metalowa misa zadygotała mu w rękach. Sekundę później widok opadającego noża do reszty przełamał czar i Gilman upuścił misę, pozwalając, by z brzękiem spadła na podłogę,

podczas gdy jego ręce wystrzeliły szaleńczo naprzód, by zapobiec bluźnierczemu czynowi. W okamgnieniu dopadł staruchy i wyszarpnął nóż z jej szponiastych palców, po czym cisnął go bezceremonialnie na sam brzeg wąskiej, trójkątnej otchłani.

Jednak już po chwili sytuacja uległa odwróceniu; mordercze jak szpony palce zacisnęły się brutalnie na jego szyi, a pomarszczone oblicze wykrzywił grymas szaleńczej wściekłości. Poczul, jak łańcuszek taniego krzyżyka wpija mu się w szyję i w tej rozpaczliwej sytuacji przez ułamek sekundy zastanawiał się, jak widok krucyfiksu podziałałby na tę złą istotę.

Dysponowała nadludzkimi siłami i gdy nie przestawała go dusić, sięgnął niezdarnie ręką pod koszulę, zacisnął palce na niewielkim metalowym krzyżyku i zrywając łańcuszek, wyjął poświęcony przedmiot na zewnątrz.

Na jego widok wiedźmę ogarnęła panika, a jej uścisk zelżał na chwilę dostatecznie długą, by Gilman całkowicie zdołał się jej wyrwać. Oderwał od szyi zaciśnięte jak szpony żelazne palce staruchy i zapewne zawłókłby czarownicę na krawędź otchłani, gdyby wiedźma nie odzyskała sił i nie schwyciła go raz jeszcze za szyję. Tym razem niezwłocznie przeszedł do czynu i sam sięgnął oburącz gardła diabelnej istoty. Zanim się spostrzegła, oplatał jej szyję łańcuszkiem, a w chwilę potem zadzierzgnął tak silnie, że pozbawił staruchę tchu. Gdy zaczęła po raz ostatni stawiać opór, Gilman poczul, że coś ugryzło go w kostkę, i ujrzał śpieszącego swej pani z pomocą Brązowego Jenkina. Jednym solidnym kopniakiem posłał szkaradzieństwo w otchłań i usłyszał jeszcze tylko płynący z drugiej strony, jakby z oddali, pisk podobnego do szczura chowańca.

Nie wiedział, czy zabił starą wiedźmę, lecz zostawił ją na podłodze, tam gdzie upadła. Naraz, odwróciwszy się, ujrzał na stole coś, czego widok nieomal doprowadził go do obłędu. Brązowy Jenkin, żyłasty i silny, o czterech małych, lecz diabelnie sprawnych, wyglądających jak ludzkie kończynach nie próżnował, podczas gdy on był duszony przez czarownicę i

wszystkie jego wysiłki spełzły na niczym. Nie pozwolił wiedźmie wbić noża w pierś dziecka, lecz nie zdołał powstrzymać żółtych kłów futrzastej, bluźnierczej istoty przed rozplataniem maleństwu nadgarstka i miska stojąca obecnie na podłodze pod pozbawionym życia ciałkiem była napełniona po brzegi.

W sennym delirium Gilman usłyszał piekielny, przesycony obcym rytmem sabatowy zaśpiew płynący z bezkresnej dali, i wiedział, że musiał tam być Czarny Mężczyzna. Chaotyczne wspomnienia mieszały się z jego matematycznymi obliczeniami. Gilman wierzył, że jego podświadomość zawiera w sobie kąty, których potrzebował, by samotnie i pierwszy raz bez pomocy powrócić do normalnego świata. Był pewien, że znajdował się na zamkniętym od niepamiętnych czasów stryszku nad swoim pokojem, wątpił wszelako, czy drogę ucieczki mogły zagwarantować mu otwór w podłodze albo zapadnięte od wielu lat drzwi. I czy nie dostałby się w ten sposób do domu - snu, irracjonalnej projekcji prawdziwego budynku, którego poszukiwał.

Nie był pewien relacji pomiędzy snem a rzeczywistością, a niepewność ta wynikała z jego doświadczeń. Przejście przez mgliste otchłanie zapowiadało się groźnie, rytm Walpurgii wibrował jak oszalały, a jakby tego było mało, musiałyby słuchać tego zawołanego kosmicznego pulsowania, którego tak bardzo się lękał.

Nawet teraz wyczuwał niskie przeraźliwe drżenie, którego tempo było mu nazbyt dobrze znane. W porze sabatu narastało ono niepomiernie i przenikało wszystkie światy, by wezwać wiernych do odprawiania nienazwanych bluźnierczych rytuałów.

Połowa sabatowych pieśni miała za podstawę owo słabo słyszalne pulsowanie, którego żadne ludzkie ucho nie było w stanie znieść w jego jawnym, ponadczasowym plugawym brzmieniu. Gilman zastanawiał się ponadto, czy mógł zaufać swemu instynktowi, że przywiedzie go na powrót



do właściwego zakątka kosmosu. Skąd mógł mieć pewność, że nie wyląduje na zielonym wzgórzu, na jakiejś odległej planecie, na brukowanym tarasie ponad miastem korpulentnych potworów o długich mackach, gdzie poza granicami galaktyki lub w spirali czarnej otchłani owej ostatecznej pustki Chaosu, gdzie króluje bezmyślny demon - władca Azathoth?

Nim zdążył skoczyć w czeluść, fioletowe światło zgasło, pozostawiając go w absolutnych ciemnościach. Wiedźma - stara Keziah-Nahab - to musiało oznaczać jej śmierć. Pośród dźwięków odległej sabatowej pieśni i popiskiwania Brązowego Jenkina w otchłani poniżej wychwyił, jak mu się zdawało, inne, jeszcze dziksze zawrodożenie płynące z nieznanego otchłani. Joe Mazurewicz... modlitwy dla ochrony przez pełzającym Chaosem zmieniły się teraz, nie wiadomo czemu, w triumfalny wrzask... całe światy sardonicznej rzeczywistości zderzające się pośród wirów gorączkowego snu - Iä! ShubNiggurath! Koza z Tysiącem Młodych...

Odnaleźli Gilmana na długo przed świtem, leżącego na podłodze jego niezwykłego, pełnego dziwnych kątów pokoju na poddaszu, gdyż przeraźliwy wrzask natychmiast sprowadził na górę Desrochersa, Choińskiego, Dombrowskiego i Mazurewicza - po drodze obudzili nawet śpiącego smacznie na krześle Elwooda. Gilman żył i miał otwarte oczy, ale wydawał się nieprzytomny. Na szyi miał sińce, ślady morderczych dłoni, a na lewej kostce brzydką ranę, jak od zębów szczura. Ubranie miał fatalnie pomięte, zniknął również otrzymany od Mazurewicza krucyfiks. Elwood zadygotał, lękał się nawet domniemywać, jaką nową formę przyjął somnambulizm jego przyjaciela. Mazurewicz wydawał się na wpół oszołomiony z powodu „znaku”, który jakoby otrzymał w odpowiedzi na swoje modlitwy, i przeżegnał się gwałtownie, usłyszawszy popiskiwanie szczura dobiegające gdzieś spoza ukośnie nachylonej ściany.

Kiedy śpiącego ułożono na kozetce w pokoju Elwooda, posłano po doktora Małkowskiego, tutejszego lekarza domowego, który w razie jakichś kłopotliwych sytuacji potrafił trzymać język za zębami. Doktor zaaplikował Gilmanowi dwa zastrzyki, po których młodzieniec odprężył się i miał zapaść w bardziej naturalny sen. W dzień pacjent co pewien czas odzyskiwał przytomność i nieco chaotycznie opowiadał Elwoodowi swój najnowszy sen.

Szło mu to niesporo i już na samym początku ujawniony został całkiem nowy, niepokojący fakt. Gilman jeszcze tak niedawno mógł poszczycić się wyjątkowo czułym słuchem, a teraz był głuchy jak pień. Doktor Małkowski, którego natychmiast wezwano po raz wtóry, powiedział Elwoodowi, że oba bębny w uszach jego przyjaciela popękały, jakby pod wpływem fali dźwiękowej, której siła i natężenie wykraczały poza ludzkie zdolności pojmowania i wytrzymałości.

Dobroduszny lekarz nie potrafił wyjaśnić, jakim cudem taki dźwięk mógł pojawić się w tej okolicy w ciągu ostatnich kilku godzin, by nie zaalarmować mieszkańców całej doliny Miskatonic.

Elwood zaczął zapisywać swoje pytania i odpowiedzi na papierze, dzięki czemu z chorym nawiązano względnie prosty sposób komunikowania się.

Żaden ze studentów nie wiedział, jak traktować całą tę chaotyczną sytuację, obaj więc zgodnie uznali, że lepiej nie zaprzętać sobie tym głowy i najszybciej, jak się da, muszą wyprowadzić się z tego starego, przeklętego domu.

Wieczorne gazety donosiły o nalocie policji na osobliwą grupę birbantów urządzających nocny piknik w parowie za Meadow Hill, wspominając przy tym, iż tamtejsze białe kamienie wśród zabobonnych ludzi od wieków już owiane były szczególnie złą sławą. Nikogo nie schwytano, a wśród uciekających uwagę stróżów prawa zwrócił pewien wyjątkowo rosły Murzyn.

W następnej kolumnie pisano, iż nie odnaleziono jak dotąd żadnych śladów zaginionego chłopca, Ladislasa Wołejko. Koszmar osiągnął swe apogeum tej samej nocy. Elwood nigdy tego nie zapomni, bądź co bądź, to ze względu na wynikię wskutek tego zdarzenia załamanie nerwowe zmuszony był opuścić do końca semestru wszystkie zajęcia w college'u. Wydawało mu się przez cały wieczór, że słyszy dochodzące z wnętrza ścian drapanie i skrobanie szczurów, lecz nie zwrócił na to większej uwagi.

I nagle, długo po tym, jak Gilman i on zasnęli, rozległy się przeraźliwe, mrozące krew w żyłach wrzaski. Elwood poderwał się, zapalił światło i podbiegł do kozetki swego gościa. Młodzieniec wydawał z siebie zgoła nieludzkie odgłosy, jakby przeżywał właśnie niewyobrażalne, nieopisane katusze. Wił się pod kocem, na powierzchni którego pojawiła się wielka czerwona plama.

Elwood nie ważył się go dotknąć, lecz stopniowo konwulsje ustały, a przerażające wycie ucichło. Do tej pory w progu pojawili się Dombrowski, Choiński, Desrochers, Mazurewicz i drugi mieszkaniec poddasza, a właściciel posłał żonę, by zadzwoniła po doktora Małkowskiego. Wszyscy głośno wrzasnęli, gdy spod okrwawionej pościeli wyprysnęło nagle przypominające sporego szczura stworzenie i przemknęło po podłodze do nowej wyżartej w ścianie dziury. Zanim zjawił się lekarz i odchylił zbrukany krwią koc, Walter Gilman już nie żył.

Barbarzyństwem byłoby opowiedzieć dokładnie, co i jak zabiło Gilmana. W jego ciele dosłownie i w przenośni wyryty został tunel, przez który, precyzyjnie się, coś wyżarło mu serce. Dombrowski poruszony porażką w swej walce ze szczurem, nie przejmując się utratą czynszów, w ciągu tygodnia przeniósł starszych lokatorów do zaniedbanego, lecz nie tak starego domu przy Walnut Street. Najtrudniejsze było obecnie zmuszenie do milczenia Joe Mazurewicza, gdyż posępny mechanik nie trzeźwiał ani

na chwilę i przez cały czas bredził o przerażających zjawach i potwornych istotach.

Wydaje się, że ostatniej upiornej nocy Joe schylił się, by spojrzeć na szkarłatne tropy szczura wiodące od kozetki Gilmana do pobliskiej dziury w ścianie. Na dywanie były one bardzo niewyraźne, lecz między brzegiem dywanu a listwą przypodłogową znajdował się odcinek gołej podłogi. Tam Mazurewicz znalazł coś przerażającego - lub przynajmniej tak mu się wydawało, bo nikt inny nie zgadzał się z nim w pełni, z wyjątkiem tego, że widniejące na drewnie ślady są, delikatnie mówiąc, niezwykłe. Nie przypominały szczurzych śladów, ale nawet Choiński i Desrochers nie chcieli przyznać, że wyglądały jak ślady pozostawione przez cztery małe ludzkie dłonie.

Domu nigdy już potem nie wynajęto. Gdy Dombrowski przeniósł stamtąd swoich lokatorów, budynek zaczął gwałtownie, jakby w przyspieszonym tempie obracać się w ruinę. Ludzie omijali go zarówno ze względu na paskudną reputację, jak i na wyczuwalny od niedawna, nieprzyjemny odór.

Możliwe, że trutka na szczury wyłożona przez byłego właściciela kamienicy spełniła w końcu swoje zadanie, gdyż niedługo po jego wyprowadzce budowla stała się solą w oku okolicznych mieszkańców. Pracownicy departamentu zdrowia wysłedzili, że odór płynął z zamkniętych pomieszczeń nad i obok wschodniego pokoiku na poddaszu i zgodnie przyznali, że liczba padłych szczurów musi być ogromna. Uznali wszelako, że otwarcie z dawna zamkniętych pomieszczeń i poddanie ich dezynfekcji nie jest warte zachodu, gdyż woń wkrótce się ulotni, a dom raczej nie oferował standardów dla wybrednych lokatorów. Szczerze mówiąc, wśród miejscowych krążyły od lat nie do końca prawdziwe opowieści, jakoby na poddaszu Domu Wiedźmy co roku po Nocy Walpurgii i wigilii Wszystkich Świętych czuło się nieprzyjemną woń. W tej sprawie okoliczni mieszkańcy

zgodnie milczeli, lecz odrażający fetor, tak czy inaczej, był jeszcze jednym minusem na całkiem pokaźnej liście wad kamienicy. W końcu inspektor budowlany ostatecznie zdecydował o jej losie. Sny Gilmana i towarzyszące im wydarzenia nigdy nie doczekały się wyjaśnienia. Elwood, którego zdanie na ich temat bywa niekiedy dość skrajne, żeby nie powiedzieć szalone, wrócił jesienią na uczelnię i w czerwcu następnego roku zdał pomyślnie egzaminy końcowe. Stwierdził, że w mieście nie roiło się, jak uprzednio, od mrocznych plotek, i, co było niezaprzeczalnym faktem, pomimo pojawiających się od czasu do czasu doniesień o upiornym chichocie rozlegającym się w opuszczonym domu, które miały niemal równie długi żywot jak sama kamienica, od czasu śmierci Gilmana nikt nie widział już Starej Keziah ani Brązowego Jenkina. To raczej szczęśliwy traf, że Elwooda nie było w Arkham nieco później tego roku, kiedy wskutek pewnych wydarzeń ożyły krążące wśród miejscowych plotki o koszmarach z przeszłości. Oczywiście dowiedział się o tym później i przeżył chwile mrocznej udręki wypełnione najbardziej fantastycznymi domniemaniami, nawet to jednak nie było tak przerażające jak uczestnictwo w owych wypadkach i ujrzanie pewnych wyjątkowo odrażających szczegółów na własne oczy.

W marcu 1931 roku wichura zerwała dach i zwała wielki komin opuszczonego Domu Wiedźmy. W efekcie kaskady cegieł, poczerniałych, omszałych gontów i gnijących belek oraz desek zasypały stryszek i przebiły podłogę poniżej. Całe poddasze zostało zawałone szczątkami dachu, nikt wszelako nie pokwapił się zrobić z tym porządku, licząc na to, że cała skazana na zagładę budowla zawali się sama. Ostatnia kropla przepełniła czarę w grudniu i wtedy właśnie, gdy robotnicy z wahaniem i nie bez obaw weszli, by uprzątnąć pokój Gilmana, pojawiły się pierwsze plotki.

Wśród gruzów, które przebiły się przez prastary, pochyły sufit, znajdowało się kilka rzeczy, na widok których robotnicy przerwali prace i

wezwali policję. Stróże prawa z kolei wezwali koronera i kilku profesorów z uniwersytetu. Odkryto kości, mocno pogruchotane i rozszczepione, lecz bez trudu dające się rozpoznać jako ludzkie i względnie młode, co w zagadkowy sposób przeczyło powszechnie znanemu faktowi, iż miejsce, gdzie niewątpliwie musiały spoczywać na niskim stryszku w pochyłej podłodze, z dawien dawna było zamknięte na cztery spusty i ogólnie niedostępne. Lekarz sądowy ocenił, że niektóre z kości należały do małego dziecka, podczas gdy inne, znalezione wśród strzępów przegniłego brązowego ubrania, raczej do niskiej, przygarbionej i mocno posuniętej w latach kobiety. Przeszukując gruzy, odkryto również wiele drobnych kości szczurów, które zginęły podczas zawalenia się dachu, jak również starsze szczurze kości noszące ślady mniejszych zębów, które to znaki wzbudziły wiele kontrowersji i pytań pozostających bez odpowiedzi.

Wśród innych odnalezionych przedmiotów znalazły się okrutnie zniszczone fragmenty wielu ksiąg i pism, a także żółtawy pył, jedyna pozostałość po jeszcze starszych woluminach i papierach. Wszystkie one bez wyjątku traktowały najwyraźniej o czarnej magii w jej najbardziej zaawansowanych i przeraźliwych formach; fakt zaś, iż pewne przedmioty wydawały się względnie nowe, pozostaje po dziś dzień zagadką, podobnie jak młody wiek niektórych z odnalezionych w ruinach kości. Jeszcze większą tajemnicą jest absolutna jednolitość stylu niewyraźnego archaicznego pisma odnalezionego na plikach papierów, których stan i znaki wodne sugerują różnicę wieku około stu pięćdziesięciu - dwustu lat. Dla niektórych jednak największą ze wszystkich zagadką jest cała masa przedmiotów niejasnego zastosowania, których kształty, struktura, sposób wytworzenia i przeznaczenie mogły niejednego naukowca zapędzić w kozi róg, a które odkryto rozrzucone wśród gruzów, uszkodzone w większym lub mniejszym stopniu. Jedna z tych rzeczy, która szczególnie zainteresowała i zdeprymowała profesorów z uniwersytetu Miskatonic, to mocno

uszkodzony potworny kolos, będący powiększoną kopią osobliwej figurki podarowanej uczelnianemu muzeum przez Gilmana, tyle tylko, że ten był naprawdę olbrzymi, wsparty na dziwnym, kanciastym piedestale, zdobiony nieznanymi hieroglifami i wykuty z jakiegoś niebieskiego kamienia, miał wyrzeźbiony w metalu.

Archeolodzy i antropolodzy wciąż starają się wyjaśnić niezwykle wzory zdobiące zmiażdżoną misę z jasnego metalu, której wewnątrz, gdy ją znaleziono, pokryte było złowieszczymi, brązowymi plamami. Cudzoziemcy i przesądne babiny są równie gadatliwi, jeżeli chodzi o współczesny, niklowany krucyfik z zerwanym łańcuszkiem, znaleziony w rumowisku i zidentyfikowany jako należący do Joe Mazurewicza, który podarował go przed wieloma laty nieszczęsnemu Gilmanowi. Niektórzy wierzyli, że krzyżyk zawlokły na stryszek szczury, inni byli przekonani, że musiał on leżeć przez cały czas w kącie starego mieszkania Waltera. Jeszcze inni, w tym także Joe, wyznawali bardziej fantastyczne teorie, których jednak nie mógłby przyjąć nikt o zdrowych zmysłach.

Kiedy zwalono ukośną ścianę pokoju Gilmana, stwierdzono, że zamknięta ongiś na głucho wolna przestrzeń pomiędzy ścianką działową a północną ścianą domu zawierała znacznie mniej gruzów, niż oczekiwano, zważywszy na jej wielkość. Odkryto jednak w niej coś znacznie gorszego, co sprawiło, że robotnicy pracujący przy rozbiórce przeżyli prawdziwy koszmar. Pokrótce, było to jedno wielkie ossarium - bluźniercze cmentarzysko wypełnione kośćmi małych dzieci, szczątkami zarówno świeżymi, jak i pochodzącymi z tak zamierzchłej przeszłości, że przy lada dotknięciu obracały się w pył. Na szczycie tej usypanej z kości odrażającej sterty szczątków leżał wielki, z wyglądu stary nóż o groteskowym kształcie i bogato zdobionej egzotycznymi symbolami rękojeści.

Pośród tych doczesnych szczątków, zakleszczone pomiędzy złamaną deską i stertą cegieł ze zwalonego komina, znajdowało się coś, co

spowodowało w całym Arkham jeszcze większe zamieszanie, przerażenie oraz nową falę plotek, przewyższając swymi rozmiarami zgrozę i oszołomienie wywołane wielkimi innymi znaleziskami dokonanymi w tym przeklętym budynku. Był to po części zmiażdżony szkielet wielkiego chorego szczura, którego anomalie w wyglądzie są wciąż jeszcze przedmiotem gorących dyskusji i źródłem wyjątkowej powściągliwości wśród wykładowców z wydziału anatomii porównawczej uniwersytetu Miskatonic. Na temat tego szkieletu wiadomo raczej niewiele, przecieki informacji nie były zbyt obfite, lecz robotnicy, którzy go odkryli, pełnym przerażenia szeptem wspominali o długiej brązowej sierści, którą pokryte było truchło.

Jak głoszą plotki, kości łapek tego dziwnego okazu są bardziej charakterystyczne dla pewnego gatunku małej małpki niż dla szczura, podczas gdy drobna czaszka z duży mi, żółtawymi kłami, nawiasem mówiąc, największa u tego okazu anomalia, stanowi po dziś dzień nieodgadnioną zagadkę. Oglądana bowiem pod pewnymi kątami, przypomina miniaturowy, potwornie zniekształcony ludzki czerep, stanowiąc jakby jego bliźniaczą parodię. Robotnicy, natknąwszy się na te plugawe szczątki, zaczęli żegnać się gorączkowo, później jednak wszyscy, bez wyjątku, regularnie zapalili na znak wdzięczności świece w kościele św. Stanisława, byli bowiem przekonani, że już nigdy nie usłyszą tego przeraźliwego, mrozącego krew w żyłach, piskliwego chichotu.